

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Polska. Bogaty kraj biednych
ludzi ▶ **4 Polscy żołnierze**
wysiedlali kobiety ▶ **40**
Seksobseksje lewicy i prawicy ▶ **14**
Obajtek przejmie TVN? ▶ **13**



**WYSOKIE
OBCASY**
**O czym myśli
tata, gdy ułoży
córkę do snu**



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ROMAN
GIERTYCH

Gram ostro,
nie znoszę
przegranej

Lubię
takie
życie

▶ 9

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sobota-czwartek, 14-19 grudnia 2024 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 291.10785, 1

Nakład 84 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

KRAJ/34349755

Kolekcja
wyjątkowej biżuterii
BALERINA



PODARUJ
NA ŚWIĘTA



W.KRUK
1 8 4 0

Znajdź swój pomysł na prezent
w salonach i na wkruk.pl

Syria. Nadzieja mimo wszystko

Takie reżimy mają jedną śmiertelną wadę

Sceny, które dziś oglądamy w Damaszku, zobaczymy w Teheranie, Caracas, Moskwie

Applebaum



Hemingway porównał bankructwo do procesu, który zachodzi stopniowo i powoli, aż w końcu nagle i gwałtownie. Podobnie wygląda upadek autorytarnych rządów. Nie jest to jedynie literacka metafora. Zwolennicy tyrana pozostają wierni tak długo, jak długo jest w stanie zapewnić im ochronę przed gniewem rodaków.

W Syrii wątpliwości wobec prezydenta Baszara al-Asada narastały powoli, odkąd jego rosyjscy sojusznicy zaczęli w 2022 r. przenosić ludzi i sprzęt do Ukrainy. Niedawny izraelski atak na Hezbollah dodatkowo osłabił Iran, drugiego z sojuszników Asada, uniemożliwiając Teheranowi udzielenie pomocy Syrii.

I nagle po tym, jak 29 listopada dobrze zorganizowana i zmotywowana grupa zbrojnej opozycji zdobyła Aleppo, wielu obrońców reżimu nagle zaprzestało walki. Asad zniknął. Sceny, które dziś rozegrały się w Damaszku – obalanie pomników, ludzie robiący sobie zdjęcia w pałacu dyktatora – będą przypominać te, które pewnego dnia zobaczymy w Caracas, Teheranie czy Moskwie, gdy żołnierze tamtejszych reżimów stracą wiarę w przywództwo, a społeczeństwo przestanie się ich bać.

Podobieństwa nie są tylko retoryczne. Są rzeczywiste, ponieważ Rosja, Iran, Wenezuela, Korea Północna i Syria należą do nieformalnej sieci autokracji. Przez ostatnią dekadę rosyjskie wojska i najemnicy walczyli w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Rosyjskie operacje polityczne i informacyjne aktywnie dążyły do osłabienia, zdominowania lub obalenia demokratycznych rządów w Mołdawii, Gruzji, a ostatnio w Rumunii.

Począwszy od 2015 roku, rosyjskie wojska wspierały Asada we współpracy z Iranem i jego narzędziem proxy war – Hezbollahem. Rosyjskie działania wojenne w Ukrainie są możliwe dzięki dronom z Iranu, żołnierzom i amunicji z Korei Północnej oraz tajnej pomocy z Chin. Rosja, Iran, Kuba i Chiny współpracują, aby utrzymać u władzy reżim w Wenezueli, który również katastrofalnie zawiódł swoich obywateli.

Wiele z tych konfliktów ma charakter militarny, ale Władimir Putin uważa również, że toczy wojnę idei, i przekonał innych, by poszli jego śladem. W Syrii i w okupowanej Ukrainie Rosja wspierała lub tworzyła reżimy, które nie tylko represjonowały przeciwników, ale także ostentacyjnie lekcewały prawa człowieka i rządy prawa – idee, które Putin uważa za przestarzałe.

Kiedy mówi o nowym porządku światowym lub „wielobiegunowym świecie”, jak ostatnio w zeszłym miesiącu, właśnie to ma na myśli: budowę świata, w którym jego okrucieństwo nie ma granic, w którym on i inni dyktatorzy cieszą się bezkarnością, a uniwersalne wartości nie istnieją, nawet jako aspiracje.

Skutki są zatrważające. Od 2011 r. Syryjska Sieć Praw Człowieka udokumentowała ponad 112 tysięcy zaginięć – mężczyzn, kobiet i dzieci arbitralnie aresztowanych i uwięzionych bez formalnego ani prawnego uzasadnienia. Reżim torturował dziesiątki tysięcy ludzi w brutalnych więzieniach, trzymając ich w ciemnościach i odcinając od kontaktu ze światem zewnętrznym.

Budzący powszechne oburzenie, Asad użył gazu bojowego przeciwko własnym obywatelom. Wspólne rosyjskie i syryjskie naloty uderzały w szpitale, stosując taktykę „podwójnego uderzenia” – bombardowano cel cywilny, a potem raz jeszcze, aby zabić ratowników.

Rosyjska wojna przeciwko Ukrainie była również okrutna i bezprawna, w wielu przypadkach naśladująca taktyki stosowane w Syrii. W okupowanej Ukrainie tysiące burmistrzów, lokalnych liderów, nauczycieli i postaci związanych z kulturą przepadło w „niewidzialnych więzieniach”. Burmistrz Chersonia, porwany w czerwcu 2022 r., jest podobno przetrzymywany w nielegalnym więzieniu na Krymie; burmistrz Dniprordnego niedawno zmarł w areszcie.

W pozostałej części Ukrainy Rosja atakuje szpitale i infrastrukturę cywilną tak, jak robiły to rosyjskie i syryjskie samoloty rządowe w Syrii. „Podwójne uderzenia” również są powszechne na Ukrainie.

Tego rodzaju zimna, celowa i dobrze zaplanowana brutalność ma swoją logikę: okrucieństwo ma wywołać poczucie beznadziei. Absurdalne kłamstwa i cyniczne kampanie propagandowe mają budzić apatię i nihilizm. Przypadkowe aresztowania zmusiły miliony Syryjczyków, Ukraińców i Wenezuelczyków do emigracji, tworząc przy tym ogromne, destabilizujące fale uchodźców, a tych, którzy zostali, pogrążyły w rozpacz.

Ta rozpacz też jest częścią planu. Reżimy chcą odebrać ludziom samą możliwość planowania innej przyszłości, przekonać ich, że dyktatura jest wieczna. „Nasz przywódca na zawsze” – to było hasło dynastii Asadów.

Jednak wszystkie takie „wieczne” reżimy mają jedną śmiertelną wadę: żołnierze i funkcjonariusze policji również są częścią społeczeństwa. Mają krewnych, którzy cierpią, kuzynów i przyjaciół doświadczających represji i skutków załamania gospodarczego. Oni także mają wątpliwości i oni również mogą poczuć się niepewnie. W Syrii właśnie zobaczyliśmy tego skutki.

Nie wiem, czy dzisiejsze wydarzenia przyniosą Syrii pokój i stabilność,

nie mówiąc już o wolności i demokracji. Grupa nazywająca się Narodowym Rządem Przejściowym podobno wydała oświadczenie, wzywając Syryjczyków do „zjednoczenia się i wspólnego działania”, aby „odbudować państwo i jego instytucje” oraz rozpocząć „kompleksowe narodowe pojednanie”, w tym powrót wszystkich uchodźców.

Wśród przywódców armii rebeliantów są islamscy ekstremiści; ale w wywiadzie dla CNN Abu Muhamad al-Dżaulani, przywódca największej grupy, Hayat Tahrir al-Sham, określił dawne powiązania z Al-Kaidą jako młodzińczy błąd. Może to być taktyka i propaganda. Na razie, gdy piszę te słowa, Syryjczycy w Damaszku płądrują pałac prezydencki.

Niemniej upadek reżimu Asada otwiera nowy rozdział, i to nie tylko w Syrii. Nie ma nic gorszego niż beznadzieja, nic bardziej niszczącego duszę niż pesymizm, żal i rozpacz. Upadek reżimu wspieranego przez Rosję i Iran nagle oferuje możliwość zmiany. Przyszłość może wyglądać inaczej. A ta możliwość wzbudzi nadzieję na całym świecie. ● **Anne Applebaum**

• Przełożyła Patrycja Eiduka
• © 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
• All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

• **„Koncern autokracji”** – nowa książka Anne Applebaum w przekładzie Michała Rogalskiego – ukazała się nakładem Wydawnictwa Agora. Dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl



54 lata

• **rządzili Asadowie**, z czego 24 Baszar, w tym prawie 13, prowadząc wojnę domową

4 wojny

• **przeżyli Syryjczycy za Asadów**.

Dwie domowe w latach 1979-82 z Bractwem Muzułmańskim i obecną – oraz Jom Kipur z Izraelem w 1973 r. i „pełzającą” w Libanie w latach 1976-89, gdzie Damaszek wsparł chrześcijańskie bojówki i Palestyńczyków, a potem stał się z Izraelczykami i chrześcijanami

1000 euro

• **za wyjazd dla uchodźcy zaproponował jeden z liderów CDU**.

Niemcy wstrzymali rozpatrywanie 47 tys. wniosków Syryjczyków o azyl. Diaspora to milion ludzi, w tym 700 tys. uchodźców. Austria, gdzie mieszka 95 tys. Syryjczyków, zapowiada ocenę „sytuację w Syrii, aby w przyszłości umożliwić deportację”.

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU

i bądź na bieżąco przez cały weekend*

99HJ1X1

- Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- Aktywuj dostęp w ten weekend

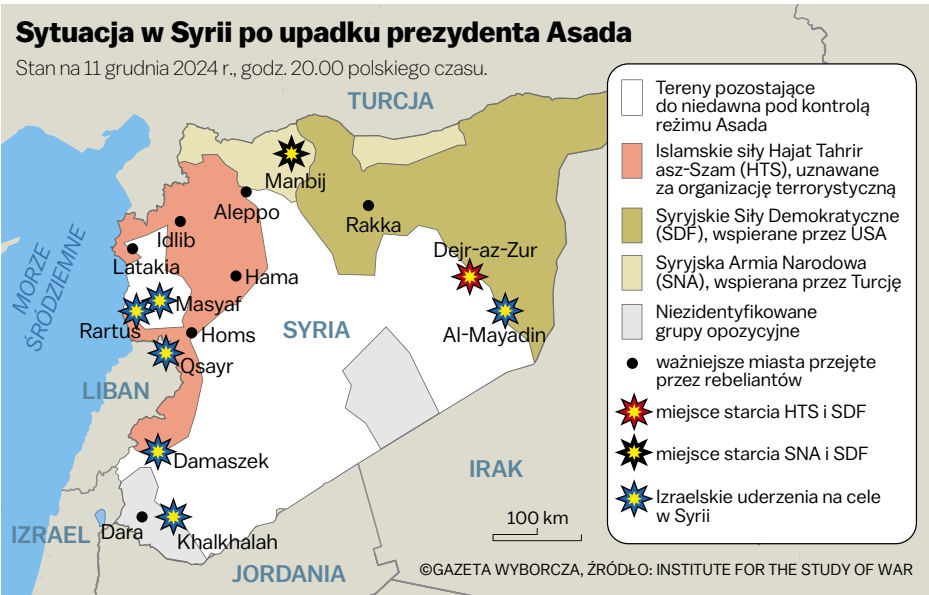
• Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 14-15.12.2024 r.

Andrzej rysuje





FOT. MURAT SENGUL/ANADOLUVA GETTY IMAGES



◀ **Damaśzek**

Co będzie, to będzie,
grunt, że oni odeszli

• **W poniedziałkowy poranek, kilka godzin po tym, jak powstańcy podeszli pod stolicę, a Baszar al-Asad odleciał do Moskwy, Syryjczycy gromadzą się na Placu Umajjadów, by świętować upadek reżimu. To miejsce symboliczne dla syryjskiej państwowości – tu znajduje się Biblioteka Narodowa, opera oraz siedziby telewizji, resortu obrony i sztabu generalnego**

wyborcza.pl

- Co Asad będzie robił w Moskwie
- Czy klienci porzucają Putina
- Co rebelianci zrobią kobietom i chrześcijanom
- Kogo Niemcy odeślą do Aleppo
- Co na to NATO, a co Izrael z Iranem
- I kto za to wszystko zapłaci (oprócz tego, że Europa przy tankowaniu)
- **Wszystko o Syrii na Wyborcza.pl/swiat i Biqdata.wyborcza.pl**

Co ich czeka?

Tu HTS, tam ISIS, pomiędzy Kurdowie, a w tym wszystkim Izrael. Spróbujmy ułożyć syryjską łamigłówkę.

Marta Urzędowska

Od dwóch tygodni świat z niedowierzaniem przygląda się Syrii. Po trzynastu latach wojny domowej rebelianci w kilka dni przejęli wszystkie ważne miasta, okrutny Baszar al-Asad uciekł, z więzień wyszły tysiące torturowanych przeciwników reżimu. Syryjczycy świętują. W natłoku newsów i nieznanym nazwisk łatwo się pogubić. Spróbujmy zwięźle to naświetlić.

Co tam się stało?

Rebelianci z kilku grup, z których najważniejsza to Haiat Tahrir asz-Szam (Organizacja Wyzwolenia Lewantu, HTS), 27 listopada wyruszyli z Idlibu, gdzie od lat mieli ostatni bastion. Po trzech dniach przejęli Aleppo – miasto-symbol wojny domowej, zrównane z ziemią podczas czteroletniego oblężenia – i ruszyli na południe, zajmując Hamę i Homs. Armia uciekała w popłochu, zostawiając puste posterunki i stopy mundurów.

Asad zagroził, że zmiażdży rebeliantów, po czym przez tydzień nie pokazywał się publicznie. Aż w ubiegłą niedzielę rebelianci wkroczyli do Damaśku. – Tyran uciekł, przyszłość należy do nas! – obwieścił dowódca HTS, Ahmad al-Szaraa o przydomku Abu Muhammad al-Dżolani, który pierwszą przemowę wygłosił w słynnym 1300-letnim meczecie Umajjadów. Rebelianci na dobre rozgościli się w stolicy i szybko zmieniają się w regularną władzę – trzymają warty przed budynkami rządowymi, kierują ruchem drogowym.

Podczas 12-dniowej ofensywy zginęło około tysiąca osób, wśród nich dwie setki cywilów.

Co się działo wcześniej?

Wojna domowa wybuchła w 2011 r. na fali arabskiej wiosny – serii nieudanych rewolucji, jakie przetoczyły się przez kraje regionu. Syryjczycy też wyszli pokojowo protestować. Asad posłał na nich bezpiekę i czołgi, połała się krew, ludzie chwycili za broń. Asada z powietrza wsparła Rosja, na ziemi – Iran i Hezbollah. Rebeliantom pomagała Ameryka, Turcja i Arabia Saudyjska. Z okazji skorzystali dżihadysty, w tym tzw. Państwo Islamskie. Liczbę ofiar wojny szacuje się na ponad 600 tys., kilkanaście milionów ludzi uciekło z domów.

Od 2020 r. panował względny spokój. Asad odzyskał kontrolę nad 70 proc. kraju, rebelianci uciekli na północ, do Idlibu, gdzie urządzili namiastkę państwowości, a na północnym wschodzie powstała kurdyjska enklawa.

Dlaczego udało się teraz?

Rebelianci mogli wygrać już lata temu, jednak kiedy po stronie Asada włączyła się Rosja, Iran i Hezbollah, satrapa wygraną miał w kieszeni. W zamian sojusznicy urządzili sobie w Syrii przyczółki – Rosjanie mają bazę powietrzną w Hmejrim i morską w Tartus, Irańczycy – kluczowe ogniwo antyizraelskiej „osi oporu”. Asad od lat nie miał realnej władzy.

Rebelianci zdecydowali się na ofensywę, bo orientują się w sytuacji międzynarodowej. Rosja od dwóch lat ugrzęzła w Ukrainie, Iran od ponad roku zajęty jest wspieraniem Hamasu walczącego z Izraelem w Strefie Gazy i w Libanie. Sojusznicy mieli ważniejsze sprawy niż pilnowanie słabnącego dyktatora. Rebelianci uznali, że taka okazja może się nie trafić.

Szczególnie, że w armii, wykończonych latami walk i głodowego żołądka, morale szorowało po dnie.

Kim są rebelianci?

Mieszaniną rozmaitych ugrupowań mniej lub bardziej radykalnych religijnie. Najważniejsze, HTS, to grupa islamskich ekstremistów wywodzących się z Al-Kaidy i ISIS-Islamic State of Iraq and Syria – czyli tzw. Państwa Islamskiego, którzy dziś zapewniają, że Syria będzie „ojczyzną dla wszystkich wyznań i klas społecznych”.

W 2012 r., jeszcze jako Front Nusra, zasłynęli biegłością w samobójczych atakach. Choć z Asadem walczyli skutecznie, nigdy nie kryli, że to dla nich dżihad, dlatego mieli na pierśniku z koalicją bardziej świeckich ugrupowań. W 2016 r. zerwali z Al-Kaidą. Mało kogo przekonali – dla Amerykanów, Brytyjczyków i ONZ nadal są bandą terrorystów, a Waszyngton oferuje 10 mln dolarów za głowę Dżolaniego, urodzonego w Arabii Saudyjskiej potomka syryjskich emigrantów. Pamiętają, że potencjalny nowy władca Syrii w fachu dżihadysty ćwiczył się, walcząc z US Army w Iraku, a w nienawiści do Zachodu – siedząc kilka lat w tamtejszym amerykańskim więzieniu.

W Idlibie, gdzie rządził przez ostatnie lata, jego ludzie tworzyli własne urzędy, sądy, realizowali projekty w przemyśle i rolnictwie, wydawali nawet dowody osobiste. Utworzyli namiastkę rządu – Syryjski Front Ocalenia – i brutalnie tłumili wszelkie przejawy buntu. Dziś optymiści przekonują, że HTS to nie drugie ISIS, bo nie kazali kobietom zasłaniać twarzy.

Co na to świat?

Zachód chwali upadek Asada i przygląda się radykałom. Joe Biden mówi, że rebelianci mają „niechlubną przeszłość”, Londyn

nie wykreśla HTS z listy organizacji terrorystycznych.

Waszyngton nigdy nie miał spójnego stanowiska wobec wojny w Syrii. Obama wspierał opozycję, dostarczając broń i instruktorów. Jednak choć obiecywał, że jeśli Asad użyje broni chemicznej, Ameryka się zaangażuje, obojętnie przyglądał się setkom ataków na cywilów. Amerykanie na serio zainteresowali się Syrią w 2014 r., kiedy szaleńcy z ISIS ogłosili utworzenie kalifatu, zagrażając regionowi i światu. Amerykanie zrzucali na nich bomby i wspierali wojujących z nimi Kurdów, ale za Trumpa wynieśli się z Syrii.

Rosjanie, choć na obaleniu Asada stracili najwięcej, bo bliskowschodni przyczółek i stację przesiadkową w drodze do Afryki, robią dobrą minę do złej gry. Putin dał satrapie i jego rodzinie azyl „z powodów humanitarnych” – choć ponoć nie pali się do spotkania z Syryjczykiem. Z kolei Irańczycy po latach podsycania wojny zapewniają, że chcą „zakończenia zbrojnego konfliktu w Syrii i nawiązania narodowego dialogu”.

Najbardziej puszy się Turcja, bo to jej protegowani obalili dyktaturę. Ankara zapewnia, że „Syryjczycy muszą sami ukształtować przyszłość swojego kraju”, a jednocześnie nasyła rebeliantów na siły kurdyjskie u swoich granic. Turcy kontrolują strefę buforową wzdłuż północnej granicy Syrii, gdzie mają żołnierzy, a w ostatnich latach kilka razy przeprowadzali operacje wojskowe. Mogą spróbować wykorzystać zmianę sytuacji, by uderzyć w syryjskich Kurdów, którzy oskarżają o współpracę z PKK – partyzantką, z którą wojują od dekad na własnym podwórku.

Uchodźcy wróć do domu?

Większość z blisko 6 mln uchodźców nigdy nie wyjechała z regio-

nu. Przyjęli ich muzułmańscy, niezamożni sąsiedzi – Turcja, Liban i Jordania. Dziś wielu Syryjczyków szturmuje granicę, bo nigdy nie przestali marzyć o powrocie. Sytuacja tych, którzy dotarli do Europy – głównie do Niemiec, bo tylko oni poza regionem przyjęli poważną liczbę uchodźców – zrobiła się niejasna. Kraje Zachodu wstrzymały procedury azylowe, bo nie wiedzą, czy dalej uznawać Syrię za kraj niebezpieczny, gdzie ludziom grożą tortury, prześladowanie albo śmierć.

Co dalej z Syrią?

„Okres przejściowy będzie szybki i płynny” – zapewnia nowy rząd i obiecuje, że „wytyczy ścieżkę wolnej, demokratycznej i pluralistycznej Syrii”. Z pluralizmem może być różnie. Dżolani nie raz napomknął, że marzy mu się Syria sunnicka, bez mniejszości religijnych. Na razie rebelianci ogłosili, że premierem przejściowego rządu będzie Muhammad al-Baszir, który w ostatnich latach szefował administracji rebeliantów w Idlibie.

A kraj płonie. Rebelianci atakują Kurdów, choć Amerykanie próbują ich pogodzić. Wybrzeża Morza Śródziemnego, gdzie bazy ma Rosja, nadal wydają się kontrolować ludzie Asada. Izrael bombarduje porty, lotniska, bazy i magazyny broni, bo – jak wyjaśnia – boi się, że trafią w ręce islamskich radykałów. Amerykanie prowadzą naloty na ISIS w środkowej Syrii.

Choć obalenie reżimu to dobre wieści, dziś w Syrii więcej jest pytań niż odpowiedzi. Czy rebelianci będą w stanie kontrolować cały kraj? Czy poszczególne grupy opozycji potrafią się dogadać? Czy brodaci dżihadysty, którzy dziś spacerują po ulicach Damaśku, dadzą Syryjczykom świecką demokrację i święty spokój, czy islamski reżim i kolejne lata chaosu. ●



RAPORT

O CZYM MARZĄ BIEDNI POLACY

i dlaczego są biedni

Kamil Fejfer

Pani Monika najbardziej chciałaby jeszcze raz zobaczyć morze. Patrzyć na fale, na znikające i wylaniające się zza horyzontu statki, małe miasta, i zanurzyć stopę w chłodnej wodzie.

Ale to skromne marzenie raczej się nie spełni. Nawet nie dlatego, że ma kłopoty ze zdrowiem, ale z powodów finansowych. 58-letniej kobiecie brakuje środków na leki, kosmetyki, chemię domową. Jest jedną z wielu osób opisywanych w raporcie Szlachetna Paczka na temat ubóstwa w Polsce.

Pani Monika pracowała kiedyś w Holandii przy zbiorach szparagów. Mówi, że wtedy zaczęły się jej problemy. Po powrocie do Polski zatrudniła się w kwaciarni.

Jej stan jednak się pogarszał. „Do bolących od dawna pleców wkrótce dołączyły sztywniejące kark, szyja i pośladki. Trudno było stać, siedzieć, nawet zawiązać kokardkę na bukietiku. Pani Monika straciła pracę i zdolność poruszania się, a ukryty sprawca tego zamieszania, guz uciskający nerw, był już nieoperacyjny” – czytamy w raporcie. Z uwagi na chroniczny ból pani Monika w dużej mierze porusza się na wózku.

Jest „za młoda na emeryturę i zbyt zdrowa na rentę”. Z różnych zasiłków udaje się jej miesięcznie uciąć około 960 zł – kilkadziesiąt złotych powyżej granicy skrajnego ubóstwa, czyli najbardziej dojmującej formy biedy.

Przy takim dochodzie normalne życie w zasadzie nie jest możliwe. A wymagające 1,5 – 2 tys. zł. marzenia, jak wyjazd nad morze trzeba odłożyć na wieczne nigdy. Osiągalna rozrywka to telewizor i krzyżówki.

Polaków żyjących za środki poniżej minimum egzystencji według GUS w 2023 r. było 2,5 mln – 6,6 proc. gospodarstw domowych.

Szlachetna Paczka w kontekście tej liczby tworzy metaforę największego miasta w Polsce – Biedańska. „Mieszka” w nim o kilkaset tysięcy osób więcej niż w Warszawie. „Edukacja w Biedańsku rzadko kończy się maturą. Zamiast na studia młodzi trafiają od razu do szkoły życia, by nie być obciążeniem dla rodzin”.

Liczba osób w skrajnym ubóstwie w 2023 r. zwiększyła się o niemal połowę w porównaniu z 2022 r. Skąd tak gwałtowny przyrost? Jak wygląda polska bieda? Kim są polscy biedni? Jak to możliwe, że 2,5 mln ludzi nie ma z czego zaspokoić podstawowych potrzeb, a pracodawcom brakuje rąk do pracy?

I najważniejsze – co zrobić, żeby zmniejszyć skalę zjawiska, które powinno zostać obwołane największym skandalem i największym wyrzutem sumienia wysoko rozwiniętego kraju, jakim jest Polska?

Patrząc na długookresowe trendy, możemy wiwatować. I obiektywne wskaźniki ekonomiczne, i deklaracje samych Polaków nie zostawiają wątpliwości – w kraju żyje się coraz lepiej.

Z danych GUS o przeciętnym miesięcznym dochodzie na głowę w gospodarstwach domowych w latach 2010-23 wynika, że nominalnie wzrósł z 1,2 tys. zł do niemal 2,7 tys. zł. Oczywiście realny wzrost był niższy z uwagi na inflację. Jednak nadal imponujący.

Na to, jak bardzo na plus zmieniała się uśredniona sytuacja materialna gospodarstw domowych, wskazuje też tzw. udział wydatków w dochodzie rozporządzalnym. W 2010 r. wydatki stanowiły 84 proc. dochodu, w 2023 r. stanowiły 61 proc. Czyli ponaddwukrotnie wzrosła ilość środków, które rodziny mogły przeznaczyć na oszczędności lub inwestycje.

Niezaprzecalnie staliśmy się bogatsi. I nie jest to tylko statystyczne przekłamanie wynikające z tego, że bogaci się bogacili, a biedni albo biednieli, albo pozostawali w tym samym punkcie.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę kwintyle dochodowe – po ludzku: równie liczne grupy uszeregowane względem dochodu od 20 proc. najmniej zamożnych do 20 proc. najbogatszych – to we wszystkich grupach widać wzrost dochodów.

Rosnący dobrobyt widać też w badaniach CBOS. Które są o tyle istotne, że przynoszą nie obiektywne – ale niekoniecznie korespondujące z naszym codziennym doświadczeniem – miary ekonomiczne, ale subiektywne opinie na temat własnego dobrostanu. Instytucja zadaje podobne pytania od pierwszej połowy lat 90., jednak aby porównywać porównywalne, skupmy się okresie 2010-23.

Otóż w 2010 roku około 35 proc. respondentów twierdziło, że żyje im się „skromnie” lub „bardzo biednie”. Około 17 proc. było zdania, że powodzi im się „dobrze” lub „bardzo dobrze”.

A w roku 2023? Otóż „skromnie” lub „bardzo biednie” wiodło się blisko 20 proc. badanych, a „dobrze” lub „bardzo dobrze” prawie 30 proc.

CBOS ma już też dane za rok 2024 – i odsetek pierwszych odpowiedzi spadł, a drugich wzrósł.

Innymi słowy, przez mniej więcej 15 lat odwróciły się proporcje. Przybyło znacząco tych, którzy twierdzą, że żyje im się dobrze, ubyło tych, którzy uważają, że żyje im się kiepsko.

Prawdziwą skalę skoku uświadomimy sobie jeszcze wyraźniej, cofając się do transformacyjnego szoku początku lat 90. W 1993 r. ponad 50 proc. osób twierdziło, że żyje im się „skromnie” lub „bardzo biednie”. „Dobre” lub „bardzo dobre” ekonomiczne życie deklarowało... niecałe 5 proc. społeczeństwa.

Postęp ekonomiczny widać również, jeśli spojrzymy na... Nie, nie na PKB, które przekłamuje dobrobyt i poziom życia w kraju, gdyż im więcej ludzi choruje albo musi prywatnie leczyć zęby, tym więcej wydaje na usługi i produkt krajowy brutto rośnie. Musimy spojrzeć na HDI - Human Development Index.



To miara, stworzona przez ONZ, jest bardziej wielowymiarowa, a więc i miarodajna, bo uwzględnia nie tylko dochód, ale też dostęp do edukacji czy oczekiwaną długość życia. Przyjmuje wartości od 0 do 1, obecnie najmniej rozwinięte kraje osiągają HDI na poziomie 0,380 (Somalia, Sudan Południowy), a te najbardziej ponad 0,960 (Szwajcaria, Norwegia, Islandia).

Jak wypada Polska? Ostatnia wartość HDI to 0,881, co sytuuje nas w gronie „krajów o bardzo wysokim poziomie rozwoju społecznego”.

Jak to więc możliwe, że w roku 2023 nie tylko 6,6 proc. obywateli naszego kraju to osoby skrajnie ubogie, ale jeszcze liczba ludzi w takim położeniu wzrosła niemal o połowę i to zaledwie w rok?

Zanim to rozwikłamy, powiedzmy sobie trochę o samej biedzie. Osobom niezaznajomionym z tematem może się wydać dziwne, że nie ma jednej miary ubóstwa. W Polsce cyklicznie bada się trzy jej wymiary. Dodatkowo mamy tzw. ubóstwo ustawowe. Kolejny wskaźnik to „zagrożenie ubóstwem i wykluczeniem społecznym” raportowane przez Unię Europejską.

Zacznijmy od ubóstwa skrajnego, tego, na którego granicy była pani Monika. Jego próg czy też właśnie „granicę”, zwaną również „minimum egzystencji”, wyznacza Instytut Pracy i Spraw Socjalnych.

To – definiuje IPISS – „poziom zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych, poniżej którego występuje biologiczne zagrożenie życia i rozwoju psychofizycznego człowieka. Zaspakajanie potrzeb na tym poziomie i zakresie rzeczowym umożliwia jedynie przeżycie. Oznacza to, że kategoria ta może być uznana za dolną granicę obszaru ubóstwa”.

Próg jest wyznaczany tzw. metodą koszykową: eksperci określają minimalny koszyk dóbr i usług, które miesięcznie powinny zostać zakupione, aby dana osoba mogła zaspokoić minimalne potrzeby. W ramach koszyka sprawdzane są możliwie niskie rynkowe ceny, a następnie wartość ta jest przypisywana do gospodarstwa domowego z korektą na jego liczebność.

Ale skąd to abstrakcyjne i pobrzmiewające biurokratycznie „gospodarstwo domowe”? Bo każdy kolejny członek gospodarstwa domowego nie jest tak samo „kapitałochłonny”. Jeśli żyjemy w jednoosobowym gospodarstwie domowym, to nasze wydatki na głowę są większe, niż gdybyśmy żyli w czteroosobowej rodzinie. W czteroosobowym gospodarstwie nie musimy wydawać cztery razy więcej na ogrzewanie,

na prąd i gaz, nie potrzebujemy cztery razy więcej lodówek i telewizorów.

To jakie są progi skrajnej biedy dla poszczególnych gospodarstw domowych?

W 2023 roku miesięcznie dla jednoosobowego, pracowniczego gospodarstwa domowego minimum egzystencji wynosiło nieco powyżej 900 zł. Mówimy o kwotach netto; dochód w takich zestawieniach właściwie zawsze jest podawany w wartościach „na rękę”.

IPSS podaje też wartość dla jednoosobowych gospodarstw emeryckich – trochę ponad 850 zł.

Żeby się nie było za dużo liczb, powiedzmy jeszcze tylko o dochodowym progu ubóstwa dla gospodarstw czteroosobowych (dwójka rodziców + dwójka dzieci): to miesięczny dochód rzędu niecałych 3150 zł.

Tu zastrzeżenie: mówimy o sumie wszystkich wpływów, czyli nie o pensjach, ale też o zasiłkach.

A więc nie jest tak, że – by przywołać obrzydliwą, szyderczą kategorię z forów internetowych klasy średniej – „Dżesika z bombelkiem uzbiera sobie drugą pensję 800 plus i socjału” ((pisownia oryginalna).

Jeżeli ktoś dysponuje jeszcze mniejszymi dochodami, wpada do kategorii ludzi skrajnie ubogich. To już prawie strefa śmierci – występuje w niej „zagrożenie życia i rozwoju psychofizycznego”.

To pierwsza, najbardziej dojmująca, a dla państwa polskiego najbardziej hańbiąca kategoria ubóstwa. Ale niejedyna. Bo przecież osoba prowadząca jednoosobowe gospodarstwo domowe i mająca miesięczny dochód na poziomie 1 tys., 1,2 tys. czy 1,5 tys. zł nadal nie jest „zamożna”. Nie jest również „średniakiem” – pozostaje w tzw. sf erze niedostatku.

„W odróżnieniu od ubóstwa skrajnego niedostatek bazuje na odmiennych standardach poziomu zaspokojenia potrzeb. Granica sfery niedostatku oparta jest na minimum socjalnym obliczanym przez IPISS” – czytamy na stronie GUS. Również dla takiej sytuacji wyznaczany jest pewien „próg”.

„Minimum socjalne winno zapewnić takie warunki, aby umożliwić reprodukcję sił życiowych człowieka, wychowanie potomstwa oraz utrzymanie więzi społecznych w czasie pracy, nauki i wypoczynku. Minimum socjalne oznacza zaspokajanie potrzeb konsumpcyjnych na relatywnie niskim poziomie, ale uwzględniającym zalecenia nauki (np. w zakresie żywienia) odpowiadającym powszechnie przyjmowanym normom obyczajowym i kulturowym (rekreacja, uczestnictwo w kulturze) oraz obowiązującym normom prawnym (m.in. w zakresie oświaty, ochrony zdrowia)” – czytamy na stronie IPISS.

Otóż w II kwartale 2024 roku owo minimum dla jednoosobowego pracowniczego gospodarstwa domowego to nieco ponad 1820 zł. W przypadku jednoosobowego gospodarstwa domowego emeryckiego nieco poniżej 1,8 tys. zł. Dla czteroosobowej rodziny, czyli pary z dwójką dzieci, już niemal 6 tys. zł.

Przy czym w ostatnich latach gwałtownie wzrósł poziom uznawany za minimum socjalne. Jeszcze w 2022 roku dla jednoosobowego gospodarstwa domowego wynosiło niecałe 1,5 tys. zł.

Skąd ta zmiana? Oczywiście z powodu inflacji. „O wzroście poziomu minimum socjalnego przeważyły wyższe koszty artykułów żywnościowych oraz poziom opłat za mieszkanie i nośniki energii” – czytamy w najnowszym opracowaniu o sferze niedostatku.

A ile osób w Polsce żyje w „sferze niedostatku”? W 2023 r. – uwaga – 46 proc. „To najwyższa odnotowana wartość zasięgu sfery niedostatku w okresie 2010-23, mimo poprawy przeciętnej sytuacji dochodowej gospodarstw domowych” – stwierdza GUS.

Kategoria „minimum socjalnego” koresponduje z tym, o co pytała Szlachetna Paczka: co jest niezbędne, żeby „godnie żyć”. Co odpowiadali ludzie?

Ponad 80 proc. uważa, że do godnego życia potrzebne jest „opłata rachunków na czas”;

80 proc. sądzi, że to „ograniczenie mieszkania”; ponad 80 proc. że „wykupienie niezbędnych lekarstw”, realizacja podstawowych zakupów spożywczych czy własne łóżko.

Ale ok. 70 proc. wskazuje również na posiadanie smartfona, świeże warzywa i owoce oraz kosmetyki do higieny codziennej.

A ok. 60 proc. sądzi że to możliwość opłacenia nałgłego wydatku na poziomie 1 tys. zł, dostęp do internetu, zabawki dla dziecka dostosowane do wieku.

Większość z nas więc intuicyjnie czuje, że „godne życie” to coś więcej niż zaspokojenie absolutnie podstawowych potrzeb. Właśnie tę intuicję obsługuje kategoria minimum socjalnego.

Kolejną, trzecią miarą ubóstwa jest tzw. bieda relatywna. „Zastosowanie relatywnej granicy ubóstwa na poziomie 50 proc. kwoty, którą średnio w miesiącu wydają gospodarstwa domowe w Polsce, umożli-

Staliśmy się bogatsi. I nie jest to tylko statystyczne przekłamanie wynikające z tego, że bogaci się bogacili, a biedni albo biednieli albo pozostawali w tym samym punkcie. We wszystkich grupach widać wzrost dochodów

wia wyodrębnienie tych gospodarstw i osób, których poziom konsumpcji znacząco odbiega od poziomu przeciętnego. Zarówno w 2023 r., jak i w 2022 r. stopa ubóstwa relatywnego kształtowała się na podobnym poziomie – ok. 12 proc.” – piszą eksperci GUS. Bieda relatywna jest w zasadzie rodzajem miary rozwarstwienia ekonomicznego.

Pozostaje jeszcze „ubóstwo ustawowe”. Tu definicja jest prosta i bardziej arbitralna. Chodzi o granice przyznawania zasiłków z pomocy społecznej. Zasięg ubóstwa ustawowego w 2023 r. wynosił nieco ponad 4 proc. i spadł o 2 pkt proc. względem 2022 r.

Czy państwu też coś się nie zgadza? Rośnie bieda skrajna, rośnie sfera niedostatku, ale spada, i to znacznie, ubóstwo ustawowe? Cóż, jest prosty trik – wystarczy nie waloryzować progów uprawniających do pomocy społecznej. Do tego jeszcze wrócimy. Teraz opowiedzmy o najbardziej dojmującej biedzie, czyli o ubóstwie skrajnym.

Kim są osoby skrajnie ubogie w Polsce? Zazwyczaj mamy do czynienia z nakładającymi się na siebie cechami. „Trzeba też pamiętać, interpretując dane dotyczące zróżnicowania zasięgu ubóstwa ze względu na różne charakterystyki gospodarstw domowych, że w praktyce mamy do czynienia nie z jedną determinantą ubóstwa, ale ze współwystępowaniem wielu czynników jednocześnie, zarówno tych o charakterze indywidualnym (np. poziom wykształcenia, wiek, stan zdrowia), jak i tych wynikających z uwarunkowań o charakterze zewnętrznym, związanych np. z miejscem zamieszkania” – czytamy w pracowni GUS „Ubóstwo w Polsce w latach 2021 i 2022”.

Ryzyko wpadnięcia w ubóstwo zwiększa się, jeżeli czynniki się sumują. O jakich mówimy w przypadku ubóstwa skrajnego?

Na mapie polskiej biedy największy zasięg tego ubóstwa dotyczy osób „utrzymujących się z innych niezarobkowych źródeł”.

Co to oznacza? Urząd Statystyczny wymienia: „zasilek pielęgnacyjny, alimenty, świadczenie przedemerytalne (zasilek przedemerytalny), dom opieki (dom dziecka, dom rencisty itp.), zasilek wychowawczy, zasilek rodzinny, renta prywatna”. Innymi słowy, chodzi o osoby niepracujące zarobkowo czy to ze względu na chorobę, wiek, czy na problemy psychiczne, czy z uwagi na pewne „nieprzystosowanie” społeczne. W tej grupie w 2023 r. aż 18 proc. osób było skrajnie biednych.

Kolejną grupą są... rolnicy. Najbardziej dojmująca bieda dotyczyła ponad 14 proc. osób o tym statusie. To o tyle interesujące, że dzisiaj rolnictwo kojarzymy już nie z pijanym chłopem prowadzonym przez rower ze słynnego zdjęcia z lat 90., nie z chłopskimi blokadami dróg Andrzeja Leppera ani nie z ofiarami upadku PGR-ów, lecz z zadbanymi, zamożnymi gospodarstwami z wartym setki tysięcy traktorem w obejściu.

Warto pamiętać, że to część obrazu. W gronie rolników są też ci, którzy nie potrafili lub nie mogli się załapać na modernizacyjny pociąg::

bo mieli zbyt mały kapitał finansowy i kulturowy; bo popadli sami lub ich rodzice w kłopoty

w pierwszej połowie lat 90., kiedy gwałtownie skoczyło oprocentowanie kredytów rolnych, a nie było jeszcze dopłat unijnych;

bo są „małorolni”, czyli odziedziczyli – słynne rozdrobnienie polskiej wsi – małe gospodarstwa, które ledwie produkują na własne potrzeby, o nadwyżce rynkowej nie mówiąc;

bo byli robotnikami rolnymi, którzy stracili zatrudnienie w upadających Państwowych Gospodarstwach Rolnych i w wiejskiej gospodarce pozarolnej – która zaczęła odżywać dopiero po wejściu do UE – a nowej pracy nie było. Dodatkowo na wsiach mamy do czynienia również z większym odsetkiem osób bez wyższego wykształcenia oraz z nadreprezentacją rodzin wielodzietnych.

Co ciekawe, w roku 2023 skrajna bieda dotyczyła również pracowników – aż 6,4 proc. osób w tej grupie

osunęło się poniżej granicy minimum egzystencji.

Prof. Ryszard Szarfenberg, autor raportu Poverty Watch 2024, jeden z najlepszych w Polsce ekspertów od ubóstwa, zaznacza, że pracujących „uważa się za najmniej zagrożoną ubóstwem grupę ze względu na przekonanie, że praca skutecznie przed nim chroni”.

Ale – wbrew wpisom „robić się nie chce”, od których roi się na forach pod tekstami o biedzie czy krzywdzie pracowniczej – nie każda praca chroni przed biedą.

Komentatorzy nie biorą pod uwagę ani tego, że wynagrodzenia mogą być bardzo niskie – kłaniają się tymczasowe umowy-zlecenia na niskie kwoty i coraz częstsza, zwłaszcza w usługach, praca na część etatu – ani też tego, że osoby pracujące mogą mieć inne osoby na utrzymaniu.

I można skwitować drwiącą mądrością z forów, że „na bombelki jest pińcet plus” (pisownia oryginalna), ale co, jeśli ktoś opiekuje się schorowanym rodzicem czy krewnym? W takim przypadku nawet płaca wyższa niż minimalna może nie wystarczyć na zaspokojenie potrzeb całego gospodarstwa domowego. A jeśli nastąpi kumulacja – umowa tymczasowa lub kawałek etatu w nisko płatnej branży plus ktoś na utrzymaniu – nieszczęście gotowe. Innymi słowy, praca nieźle chroni przed biedą, pod warunkiem że jest na pelen etat oraz że nie mamy do czynienia ze specyficznymi, nakładającymi się problemami w rodzinie, takimi jak czyjaś niepełnosprawność.

Co interesujące, niewiele osób – w porównaniu ze średnią – skrajnie ubogich było wśród emerytów – 5,9 proc. Najmniej biednych – tu raczej zaskoczenia nie będzie – było wśród pracujących na własny rachunek: niecałe 3,8 proc.

Kolejnym czynnikiem ryzyka jest duża liczba dzieci. Skrajna bieda dotyczy niemal 7 proc. osób z co najmniej trojgiem dzieci na utrzymaniu.

Na ryzyko wpadnięcia poniżej progu minimum egzystencji bardzo wpływa wykształcenie. Niemal 13 proc. osób, które skończyły edukację najwyżej na gimnazjum, doświadcza najgorszej biedy, gdy wśród osób z wyższym wykształceniem skrajnie biednych jest 3,5 proc.

Z ubóstwem koreluje również miejsce zamieszkania – w biedzie żyje 13 proc. osób na wsiach i 1,6 mieszkających w miastach powyżej 500 tys. Tu ważna uwaga. Otóż minimum egzystencji jest uśredniane dla całego kraju. A w dużych miastach życie jest droższe – mieszkania, usługi, jak również – choć w niewielkim stopniu – niektóre produkty. A więc osoba uzyskująca dochód nieco powyżej granicy ubóstwa w dużym mieście może tak naprawdę żyć na jeszcze niższym poziomie niż ktoś, kto osunął się w skrajną biedę, ale mieszka w małym miasteczku.

Podsumujemy: skrajna bieda to bardzo często nakładające się cechy czy też charakterystyki „indywidualne” – niskie wykształcenie, zamieszkanie na wsi, brak pracy lub praca na niewielką część etatu bądź na czarno, rodzina wielodzietna. Kiedy splecie się wiele takich cech, wyjście z biedy bez solidnego wsparcia instytucji graniczy z cudem.

W zasadzie nie wypada mówić o możliwości indywidualnego wygrzebania się ze skrajnej biedy, bo zazwyczaj mamy do czynienia z nagromadzeniem tak dużej liczby problemów – zdrowotnych, ekonomicznych i osobistych – że bez względu na chęci i wolę zmiany nie da się ich wszystkich pokonać. Opowieści, że „wystarczy chcieć”, mogą się sprawdzać w klasie średniej w kwestii awansu zawodowego (a i tu taka narracja jest uproszczeniem). W przypadku osób bardzo biednych, które muszą wybierać między opłaceniem rachunków a kupnem leków, liczbą ruchów mogących poprawić byt jest niemal zerowa.

A przecież bieda nie kończy się na „charakterystykach indywidualnych”, są jeszcze kwestie szersze, tak zwane systemowe. Tu dochodzimy do odpowiedzi na pytanie, co

się popsulo w bogacącej się Polsce AD 2023, że skrajne ubóstwo skoczyło niemal o połowę. A ona jest dość prosta i sprowadza się do dwóch kwestii – uporczywej i długotrwałej inflacji oraz bierności państwa w ograniczaniu jej wpływu na najbardziej wrażliwych i bezbronnych.

W Polsce od lat widać trend poprawy jakości życia większości obywateli. Poprawę widać było również we wskaźnikach biedy. W 2010 r. żyło wśród nas 17,4 proc. osób relatywnie ubogich. W 2022 r. – 11,7 proc. W 2010 r. odsetek skrajnie biednych wynosił 5,8 proc., po czym nastąpił wzrost do 7,4 proc. – ale w 2022 r. spadek do 4,6 proc. Po czym w roku 2023 mieliśmy eksplozję ubóstwa skrajnego – i jednocześnie spadek ubóstwa ustawowego. Jak to możliwe? Otóż koszyk dóbr stanowiący granicę minimum socjalnego znacznie podrożał w 2023 r.

Względem 2022. Innymi słowy, znacznie obniżyły się progi ubóstwa i bieda w krótkim czasie zaczęła pochłaniać coraz więcej osób.

Ich dochody również rosły, ale znacznie poniżej inflacji, więc niewystarczająco, by wyrównać drożyznę, ale na tyle, by część ludzi straciła prawo do zasiłków. Czyli zostali tak biedni, jak byli, ale bardziej – bo bez dotychczasowej poduszki socjalnej. I tu kolejny niezwykle ważny czynnik. Otóż w latach 2022 i 2023 kwota uprawniająca do świadczeń społecznych dla jednoosobowego gospodarstwa domowego wynosiła 776 zł. I była niższa od minimum egzystencji, które wynosiło odpowiednio w kolejnych latach – 835 zł i 913 zł.

W zasadzie nie wypada mówić o możliwości indywidualnego wygrzebania się ze skrajnej biedy, bo zazwyczaj mamy do czynienia z nagromadzeniem tak dużej liczby problemów – zdrowotnych, ekonomicznych i osobistych – że bez względu na chęci i wolę zmiany nie da się ich wszystkich pokonać

Jak to, że minimum egzystencji odjechało kryterium biedy ustawowej, przekłada się na ludzką codzienność? Ano tak, że osoby schorowane, z mniejszych miejscowości, kiepsko wykształcone, ledwo wiążące koniec z końcem – czyli najbardziej bezbronni członkowie naszego społeczeństwa – którzy wpadli poniżej granicy konsumpcji, tam, gdzie „występuje biologiczne zagrożenie życia i rozwoju psychofizycznego człowieka” – już nie mogli liczyć na środki z pomocy społecznej. Inflacja podjadała więc ich i tak niezwykle skromne budżety domowe, a państwo przyglądało się biernie.

Jak wzrost cen działa na poszczególne grupy dochodowe, pokazują koszyki wydatków. „Metoda koszykowa” jest używana również w szacowaniu inflacji. W skrócie: żeby ją zbadać, GUS musi wiedzieć, jak wygląda uśredniona konsumpcja gospodarstw domowych. Czyli ile wydajemy na mieszkanie, paliwo, ubrania, jedzenie, wycieczki, restauracje i książki. Wie to dzięki badaniom wydatków gospodarstw domowych – odpowiednia próbka rodzin wypełnia „książeczki wydatkowe”. Na tej podstawie każdej kategorii przypisywana jest odpowiednia waga w koszyku.

I tak u statystycznych Kowalskich w 2023 r. żywność i napoje stanowiły 27 proc. wydatków. Użytkowanie mieszkania i energii – 20 proc. wydatków, transport – 10, kultura i rekreacja – ponad 6 proc. Chodzi o wydatki „uśrednione”, ale możemy przyłożyć do tych danych lupę dochodu – i wtedy okazuje się, że zamożne gospodarstwa domowe znacznie mniej procentowo przeznaczają na żywność, a znacznie więcej na rekreację. Za to osoby biedne znacznie więcej niż statystyczny Kowalski przeznaczają na jedzenie. I to widać w koszyku minimum egzystencji – gdy żywność i mieszkanie wypełniają statystyczny koszyk

w 47 proc., w koszyku jednoosobowego gospodarstwa domowego na poziomie minimum egzystencji to ponad 85 proc. wszystkich wydatków!

To oznacza, że kiedy nieproporcjonalnie do innych towarów i usług drożeją nośniki energii i jedzenie – właśnie tak jak w ostatnich latach – to najbardziej po kieszeni dostają najmniej zamożni.

Zanim powiemy, co należy zrobić, żeby problem biedy rozwiązać ustawami – bo, choć skrajni liberałowie gospodarczy będą zgryzać zębami, najlepiej właśnie w ten sposób się nim zaopiekować – rzućmy jeszcze okiem, jak sprawy się mają w kontekście międzynarodowym.

I tu pojawia się kolejna miara ubóstwa. Eurostat, odpowiednik GUS, porównuje kraje, biorąc za miarę tzw. ryzyko ubóstwa i wykluczenia społecznego. W 2023 r. w całej UE obejmowało ono 95 mln ludzi, 21 proc. populacji wspólnoty. A jak z tym było w Polsce? Otóż... bardzo dobrze! U nas w grupie ryzyka znajdowało się około 16 proc. Lepiej było jedynie w Finlandii, Słowenii i Czechach, w których zagrożonych biedą i wykluczeniem społecznym było 12 proc. obywateli.

No dobrze, ale czym jest ten wskaźnik? Powyższe miary ubóstwa ograniczają się do kwestii dochodowych. Europejskie *risk of poverty or social exclusion* jest tzw. wskaźnikiem zagregowanym, na który składa się kilka podwskaźników. „Ryzyko ubóstwa i wy-

kluczenia społecznego nie jest ściśle związane z poziomem dochodów gospodarstwa domowego, może też odzwierciedlać stopę bezrobocia, niską intensywność pracy, status zawodowy lub szereg innych cech społeczno-ekonomicznych” – wyjaśnia Eurostat.

Odsetek osób wystawionych na ryzyko ubóstwa i wykluczenia społecznego oblicza się, łącząc trzy miary: **odsetek osób zagrożonych ubóstwem** (granica jest dochód poniżej 60 proc. mediany w kraju); **odsetek osób doświadczających tzw. ciężkiej materialnej i społecznej deprywacji** (za takie Eurostat uznaje niemożność zaspokojenia kilku potrzeb z zawierającej 13 pozycji listy, m.in.: pokrycia niepodziwianych wydatków, pozwolenia sobie na tygodniowe wakacje raz w roku, ogrzania mieszkania, wymiany zużytych mebli, dostępu do internetu); **odsetek osób żyjących w gospodarstwach domowych o niskiej intensywności pracy** (zatrudnienie poniżej 20 proc. czasu w roku).

Ta skomplikowana miara przedstawia o wiele pełniejszy obraz sytuacji ludzi w trudnej sytuacji życiowej. A dlaczego w Polsce jest z nią tak dobrze? Jest wiele powodów, ale najważniejsze to: bardzo niskie, jedno z najniższych na świecie, bezrobocie, wysokie transfery na dzieci (500+), wysoka w porównaniu ze średnią płacą pensja minimalna (tutaj też jesteśmy znacznie powyżej średniej, jeśli chodzi o kraje rozwinięte).

Patrząc na to wszystko z wysoka, w naszym kraju żyje się całkiem wygodnie. Dlaczego więc jest tak źle, skoro jest tak dobrze? I co zrobić, żeby było lepiej?

Opowieść o pakiecie naprawczym zacznijmy od przypomnienia, że drastyczny wzrost ubóstwa był wynikiem szalejącej przez kilkanaście miesięcy wysokiej inflacji w połączeniu z brakiem waloryzacji progów uprawniających do pomocy spo-

łecznej. Oraz – co nie spodoba się licznym krytykom „rozdawnictwa” – braku waloryzacji 800+.

Niedawno przez media przetoczyła się nawała artykułów o tym, że „500+ nie uchroniło przed biedą”. Nie uchroniło, bo nie mogło – kiedy rosły ceny, wartość wsparcia stała w miejscu. Co nie znaczy, że okazało się zbędne – gdyby nie to świadczenie, ubóstwo wzrosłoby jeszcze bardziej. Nie wzrosło również dzięki temu, że „nieodpowiedzialnie” zwaloryzowano je do 800+, dzięki czemu środki są warte mniej więcej tyle samo, ile w 2016 r., kiedy program startował. A od 2025 roku rząd przewiduje również waloryzację progów uprawniających do pomocy społecznej, tak by przewyższyły próg ubóstwa skrajnego. Innymi słowy, w mijającym i przyszłym roku najdrastyczniej biednych powinno ubywać.

To teraz lyżka dziegciu. Pomimo waloryzacji progów świadczeń wciąż nie mamy zapisanych w prawie algorytmów, które automatycznie podwyższałyby te progi i limity dochodów. Takie rozwiązanie, które proponuje m.in. prof. Ryszard Szarfenberg, zabezpieczałoby osoby najbardziej wrażliwe i bezbronne przed osunięciem się z biedy w nędzę nie z przyczyn losowych, ale biurokratycznych. Takich jak marząca o Bałtyku pani Monika.

Lecz waloryzacja jest mechanizmem wyciągania ze skrajnego ubóstwa czy też ochrony przed nim. A najlepiej eliminować ryzyka, które prowadzą do biedy. Są dobrze rozpoznane: to oddalenie od rynku pracy, niskie wykształcenie, wielodzietność. Ale nie ma jednego „srebrnego pocisku”, który załatwiłby sprawę. Musimy podzielić zagadnienia na mniejsze podproblemy i z nimi pracować. I przykro mi, ale rozwiązania są mało efektywne, trudne do pokazania w wyborczym memie czy na billboardzie. A więc potrzebne są programy aktywizacji osób, które nie pracują. – Przecież je mamy, i to od lat 90.! – zawoła ktoś. Tylko że nie chodzi o teoretyczny wykład o przedsiębiorczości lub kurs florystyczny dla ludzi, którzy do najbliższego miasta mają 45 km i dwa autobusy dziennie.

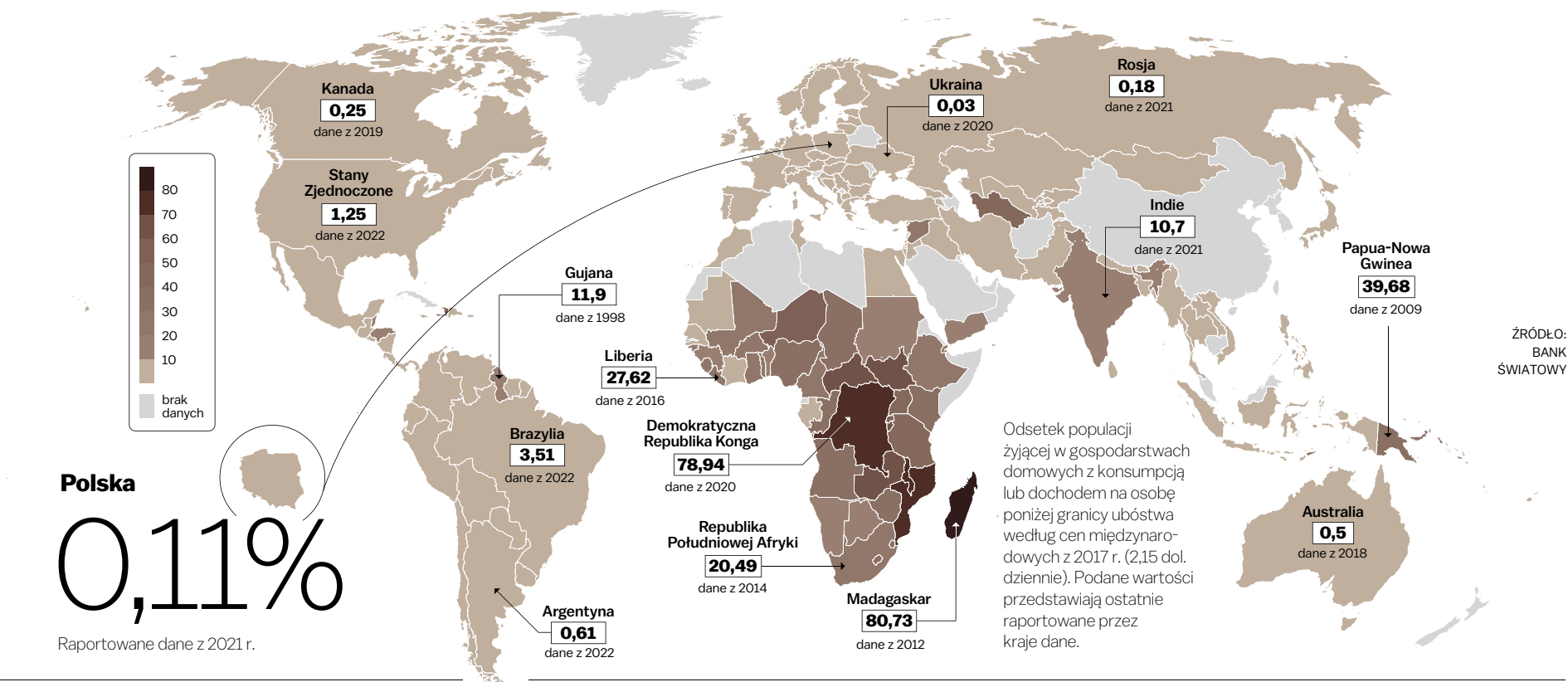
Państwo powinno dokładnie zmapować zagadnienie: ilu wśród niepracujących i nie szukających pracy jest takich, którzy dzięki jakiejś celowanej (z urzędniczo-ekspertkiej nowomowy na nasze – dopasowanej do konkretnego przypadku) interwencji mogliby podjąć zatrudnienie? Być może część osób nie ma dostępu do transportu publicznego, który dowiozłby ich do odpowiadającego ich kompetencjom zakładu pracy? Być może niektórzy zmagają się z jakimś rodzajem kryzysu psychicznego? Być może inni mają lekką niepełnosprawność? Być może część osób jest rzeczywiście, jak mówiono w niewrażliwych na stygmatyzację latach 90., „patologią”, czyli uzależnionych, ale dzięki sprawniejszej opiece społecznej niektórych udałoby się przywrócić do społeczeństwa? No i wykształcenie. Państwo powinno zabiegać nie tylko o to, żeby edukacja była uniwersalna – bo taka przecież jest – ale również wspomagając młodzież, która w szkole z różnych powodów radzi sobie gorzej. A ryzyko związane z wielodzietnością może ograniczyć podwyższanie 800+ względem inflacji.

Czyli potrzebne jest to, za czym politycy nie przepadają, bo jest nieefektywne, a skutki widać w kolejnej kadencji, kiedy okłaski zbiorą rywale; zresztą samorządowcy też nie, bo jest kosztowne i często przetrasta kompetencje urzędników – cały złożony i drogi system. A dla tych osób, których z różnych powodów nie da się złapać w tak utkaną sieć – wspomniane algorytmy podwyższania progów uprawniających do świadczeń.

Podkreśliły to raz jeszcze – Polska jest krajem zamożnym; mamy szczęście żyć w państwie należącym do garstki około 30 najbogatszych narodów świata. Powinniśmy się domagać o wiele ambitniejszych programów, które zadbają o osoby, które miały najmniej szczęścia w życiu. Kto wie, czy i nam... Odpukać w niemallowane. ●

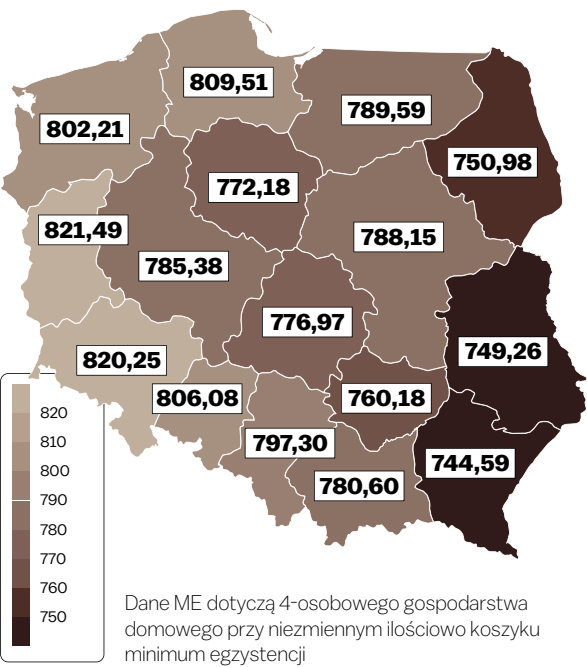
Szkaradne oblicze biedy

Odsetek populacji żyjącej w ubóstwie



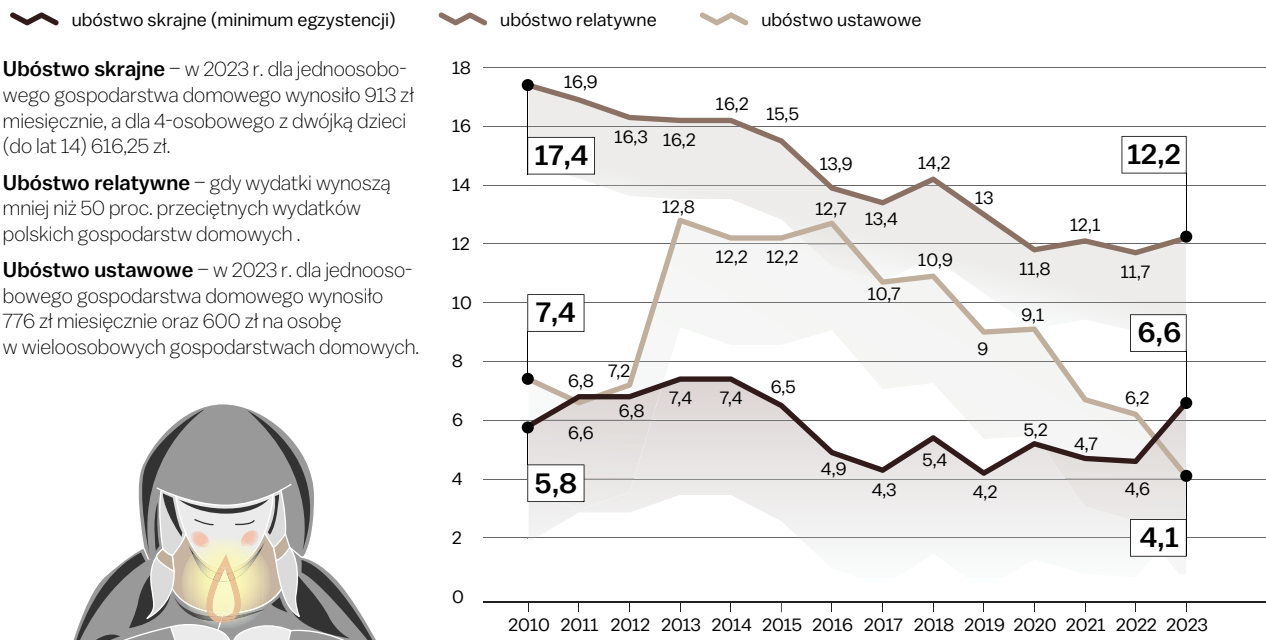
Wartość minimum egzystencji w 2023 r.

Dane w zł na osobę w gospodarstwie domowym



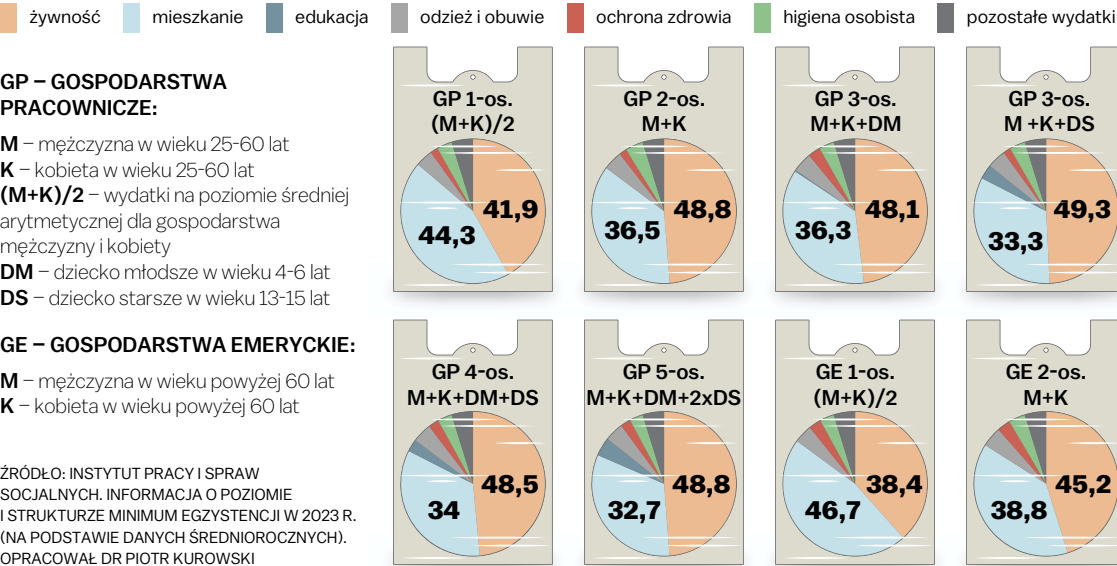
Zasięg ubóstwa w Polsce w latach 2010–2023

Według przyjętych w danym roku granic ubóstwa (proc. osób w gospodarstwach domowych)



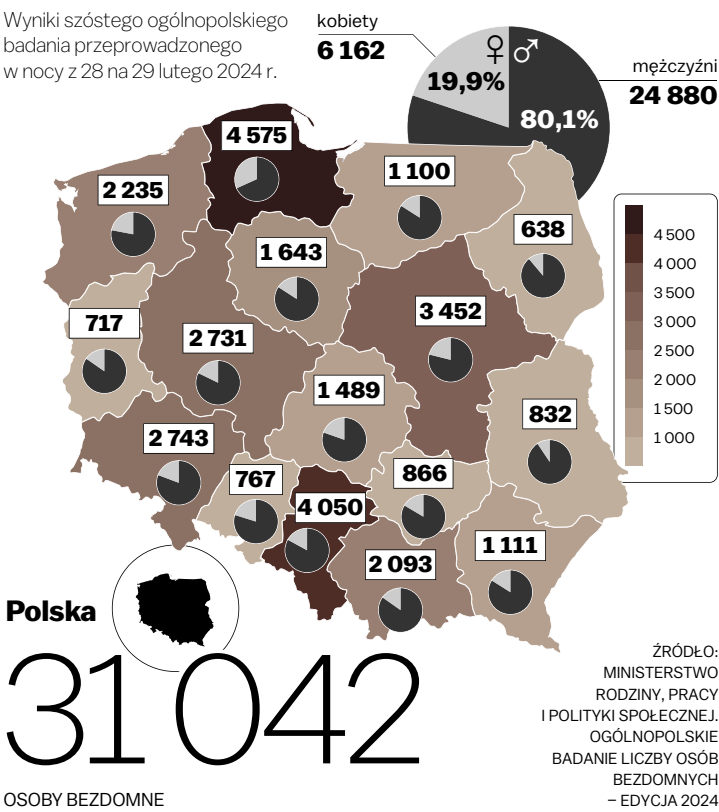
Struktura minimum egzystencji przeciętnie w 2023 r.

Dane w proc.



Osoby bezdomne w Polsce

Wyniki szóstego ogólnopolskiego badania przeprowadzonego w nocy z 28 na 29 lutego 2024 r.



Deprawacja – prawy prosty w wychowanie romantyczne

To właśnie temat autoerotyzmu, przedstawiany w podstawie programowej w sposób neutralny, a nie jako grzech



Onana, wywołał największe poruszenie na prawicy, także sejmowej. Tego nawet nie trzeba psychoanalizować.

Michał Rusinek

W niedzielę 1 grudnia, na placu Zamkowym w Warszawie odbył się protest przeciwko edukacji zdrowotnej, którą planuje wprowadzić do programu nauczania ministerstwo edukacji. Pojawili się na nim oczywiście politycy prawicy, w tym były minister edukacji Przemysław Czarnek oraz kandydat-obywatelski-popierany-przez-PiS doktor Karol Nawrocki. Temu ostatniemu musiało być miło, kiedy czytał na transparentach: „Karol Nawrocki prezydentem Narodu. Wolimy boksera od frajera” oraz „Prawym prostym prezydentem w sitwy i wrogów Narodu” (widać, że prekampania konceptualizowana jest przez zwolenników kandydata obywatelskiego za pomocą metafor bokserskich).

Przed wszystkim jednak warto przyjrzeć się hasłom związanym z tematem protestu.

Hasło przewodnie brzmiało: „Tak dla edukacji, nie dla deprawacji”,

a więc było rymowane i zrytmizowane, czyli dla polskiego ucha mile i wiarygodne, bo, jak wiadomo, Polak wierzy temu, co poetyckie i szczególną estymą darzy poetów. Rym jest w nim gramatyczny, czyli częstochowski, co nadaje hasłu dodatkowy aspekt sakralny.

W podobnym stylu utrzymane było hasło: „To rodzic decyduje jak szkoła wychowuje”, przy czym w pozycji rymowej pojawiły się czasowniki, a nie rzeczowniki. Dostrzec można było również misterniej rymowane hasła, np. „Niechaj w pełni będzie czynne wychowanie prorodzinne”. Mamy tu do czynienia z archaizacją, ale i rymem nieco wymuszonym, bo o wychowaniu rzadko mówi się, że jest czynne lub nieczynne; czynne bywają sklepy i urzędy, u Ujejskiego czynni byli szatani, ale inni. Autor hasła: „Mamo, tato, broń polskiej szkoły, by nie kończyły jej polskie matoly” postawił na rym tzw. uczniowski, nieco drastyczny, ale wpadający w ucho, trudno się jednak domyślić, czemu edukacja zdrowotna miałaby wpływać na niedorozwój umysłowy.

Nieco światła rzucił na to hasło jeden z mówców, który rozszyfrował ukryty cel ministery Barbary Nowackiej. Chodzi jej spowodowanie takich zaburzeń umysłowych wśród dzieci, by – zajmując się wyłącznie swoją seksualnością – stały się niezdolne do jakiegokolwiek innej pracy, jak tylko niewolniczej na rzecz Unii Europejskiej. Przy okazji rzeczony mówca wyjaśnił zatem zasadność rymu z tajemniczego hasła.

Nikt nie podjął się jednak wyjaśnienia matematycznego hasła: „Miłość = mama + tata”. Ro-

zumieć, że chodzi o miłość rodzicielską i przypomnienie, że rodzina jednopłciowa nie jest, zdaniem prawicy, rodziną prawdziwą, a więc nie może być w niej miłości (inne, także rymowane hasło przypominało, że „Polska rodzina to chłopak i dziewczyna”). Czy oznacza ono także, że miłość, jaką poczuje młody człowiek do swojego, rówieśnika czy rówieśniczki, nie jest prawdziwą miłością? („Mamo, poznałam kogoś. Czuję, że to miłość”. „Tylko ci się wydaje. Miłość to my mamy w domu”). Może też, zdaniem autora hasła, uczucie staje się miłością dopiero wtedy, gdy żywiąca je do siebie para – już, jak rozumiem, połączona świętym węzłem małżeńskim – doczeka się potomstwa? Pytania się mnożą

Mnożyły się też hasła atakujące pośrednio lub bezpośrednio resort edukacji, który chce wyręczać rodziców w przekazywaniu wiedzy z zakresu seksualności. Bo, jak wiadomo, rodzice się do tego palą. Albo raczej palą się do milczenia na ten temat. To nawet lepiej. „Dziecko moje, nie systemu” – rozumiem, że chodzi o system edukacji, który chce nam zabrać dzieci. I zdeprawować. Skrót MEN rozszyfrowany został jako „Ministerstwo Eliminacji Normalności”, bo – jak wiadomo – seksualność jest nienormalna.

W czasie demonstracji mogliśmy usłyszeć, że: „edukacja seksualna jest molestowaniem dzieci przez rząd” oraz że „promocja szkolna będzie uzależniona od wiedzy o masturbacji” (swoją drogą, to właśnie temat autoerotyzmu, przedstawiany w podstawie programowej w sposób neutralny, a nie jako grzech Onana, wywołał największe poruszenie

na prawicy, także sejmowej; tego nawet nie trzeba psychoanalizować). Ktoś trzymał transparent z napisem: „Barbara Lewacka – Ministra Masturbacji Narodowej”. Cóż, doceniły przynajmniej posłuszenie się feminatywem

Na szczególną uwagę zasługuje transparent z hasłem: „Chcemy Mickiewicza i poezji jego, a nie seksualizacji dziecka niewinnego”. Mamy tu do czynienia z utrwalonym w kulturze (np. Tuwim, Parnicki, Kofta) przeciwstawieniem słowa i ciała. W dodatku słowa poetyckiego, czyli uduchowionego, a więc automatycznie pojawia nam się tutaj chrześcijańska opozycja sfery duchowej i sfery cielesnej.

Ta pierwsza jest czysta, wzniosła i wieczna, ta druga – doczesna, brudna i grzeszna. Tego uczy nas religia, która powinna być przecież podstawą edukacji w polskich szkołach (stąd hasło: „Nie tęczowa, nie laicka ale Polska katolicka”).

Nieprzypadkowo wybrano tu przykład poety romantycznego, bo to wszak romantyzm powinien kształtować nasz stosunek do rzeczywistości, a nie jakieś modernistyczne czy postmodernistyczne wybryki. Czepialstwem byłoby zwracanie uwagi autorowi hasła, że resort edukacji nie zastąpił wiedzy o romantyzmie wiedzą o seksualności. Obie mogą sobie w programie współgryzować. W dodatku bez zgrzytów.

Centralnym słowem dla tego hasła jest jednak nie romantyzm czy poezja, a „seksualizacja dzieci”. Wyrażenie to pojawiło się w języku „dobrej zmiany” na potrzeby kampanii wyborczej do Parlamentu Europej-

skiego w 2019 roku. Bynajmniej nie w znaczeniu słownikowym. Nie chodziło w nim bowiem o postrzeganie kogoś pod względem jego atrakcyjności seksualnej, ale o najprostsze skojarzenie: seksualizacja to „coś związanego z seksem”. Seksualność ma święte prawo pojawić się dopiero na horyzoncie zainteresowań człowieka, gdy wejdzie on w związek małżeński.

Zdaniem prawicy, młodzi ludzie nie powinni się interesować tą sferą życia ludzkiego, a wprowadzenie jej do dyskursu edukacyjnego może spowodować, że zaczną (jak wiadomo, jeśli o czymś nie mówimy, to coś automatycznie znika – oto przykład na wiarę w magiczną funkcję języka). Seksualizacja byłaby więc uświadomieniem niewinnym młodym ludziom, że istnieje coś takiego, jak seks. Milczenie na ten temat spowoduje za to, że wyrosną z nich zdrowi i cnotliwi Polacy-katolicy.

Obawiam się jednak, że – poza problemami natury psychicznej – będą oni mieli problem ze zrozumieniem np. „Sonetów odeskich” Adama Mickiewicza (nie wspominając o wielu wątkach jego biografii), gdy natrafią na spotykające się usta, miłosną szatę nocy, śnieżne piersi w blasku księżyca, pamięć niebieskiej pieśniedzi oraz szczególnie tajemniczy fragment: „Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta! Pozwól lica... Dobranoc! chcesz na sługi klasnąć! Daj mi pierś ucałować... Dobranoc! zapięta, Dobranoc! Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzaskać./ Dobranoc ci przez kłamkę. Niestety, zamknęta./Powtarzając dobranoc! nie dałbym ci zasnąć!”.●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34349708

DO 20 GRUDNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”

— na styczeń 2025 u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl**
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

*Książka do odbioru od 17 stycznia w punkcie sprzedaży **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej”: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. ***Cena sugerowana



CENA
179,90 zł***



FOT. WALDEMAR GORLEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Maj 2016 r. Roman Giertych pozdrawia manifestację KOD-u „Jestesmy i będziemy w Europie”. – Uznaję, tak samo zresztą uznał mój tata, że sprzeciw wobec wejścia Polski do Unii był moim największym błędem – powiedział w 2021 r. – Tych wszystkich, którzy poczuli się przeze mnie zwiedzeni, chciałbym przeprosić

Całkiem niedawno pewien ksiądz w kościele pod Warszawą nie dał mi komunii. Powiedział: to za in vitro.

Z ROMANEM GIERTYCHEM
ROZMAWIA
EWA KALETA

EWA KALETA: Dzień dobry, panie mecenasie, Ewa Kaleta z „Gazety Wyborczej”, byliśmy umówieni na telefon.
ROMAN GIERTYCH: Proszę? Niczego takiego sobie nie przypominam.

Mówił pan, żebym zadzwoniła za 30 minut. Byliście umówieni na wywiad.
– Wie pani, ja mam problemy z pamięcią. Pamiętam to, co wydarzyło się 30 lat temu, ale czasem nie pamiętam tego, co wydarzyło się 30 minut temu.

Dobrze, to ja panu opowiem od początku, na co się umawialiśmy.
– Niech pani nie żartuje, że mi pani uwierzyła. Żartowałem. Chciałem sprawdzić, jakie

ma pani zdanie na mój temat. I muszę powiedzieć – zawiodłem się.

Dlaczego? Co pan chciał sprawdzić?
– Jak by pani zrobiła wywiad z człowiekiem, który ma demencję?

Ciekawe byłoby to, o czym pan zapomniał, co pana umysł wyrzucił z pamięci. Pamięta pan moment w życiu, kiedy pan się zmienił? Jeden, konkretny, przełom?

– Jeden moment? Takim wydarzeniem była dla mnie wizyta w Izraelu. Ta wizyta zmieniła mój pogląd na historię Polski, Izraela i Żydów.

Co się tam wydarzyło?
– Poszedłem do muzeum Yad Vashem, czytałem relacje Żydów napisane po polsku. Zrozumiałem, jak wielką stratą, wręcz nieprawdopodobną był dla nas Holocaust. Stratą, nie tylko w sensie ludzkości, ale w humanistycznym kontekście, również z punktu widzenia narodu polskiego.

Straciliśmy tych wszystkich utalentowanych, zdolnych, wrażliwych i inteligentnych ludzi bezpowrotnie. Zrozumiałem, że straciliśmy część tożsamości Polski. Zdałem sobie sprawę z tego, że to, cze-

go się uczylem, to pewna idea, a nie etniczne więzy, widziałem Polskę jako ideę, a nie państwo.

Bo przecież polskość taka, jakiej uczymy się z książek, to ta, która została nam wbita do głowy przez XIX-wiecznych pisarzy romantyzmu, pozytywizmu, tych, którzy tego polskiego państwa tak naprawdę nie znali. A polskość, która tworzyła potęgę naszego państwa, jest inna.

Wracając wydarzenia w Izraelu, zrozumiałem, że ci wszyscy, którzy mogliby pomóc nam stworzyć nowoczesny kraj, którzy byłiby jednymi z nas – zostali wymordowani.

Kiedy czytałem listy, świadectwa w Yad Vashem, widziałem u nich podwójną tożsamość, rozumiałem, że one były w nich dwie. Płakałem, a nie płacząc często.

Ile pan miał wtedy lat?
– 45. To było niedawno, osiem lat temu.

– Czy mógłby pan powiedzieć o tym dniu coś jeszcze, coś więcej?
– Poczulem bezsens śmierci, zrozumiałem, że ta strata położyła się cieniem na nas. Przez to również, przez brak wymordowanej części naszego społeczeństwa, tak Polaków mogła uwieść ideologia PiS-u. Zabra-

kło ludzi, po pierwsze, inteligencji, ale także właśnie Żydów, którzy byłiby dla nas ratunkiem, taką kotwicą wobec naszej zgubnej nacjonalistycznej tendencji. Zawsze jedna trzecia naszego społeczeństwa jest fanatyczna, i jest to fanatyzm na wzór wschodni.

Pan poznał tę „wschodnią” część w sobie.
– Jak pani spojrzy na moje życie, to tak, tak to wygląda. Wyzwolilem się intelektualnie z błędów, które mają źródło w myśleniu moskiewskim, rosyjskim. Wyzwolilem się z antysemityzmu, nacjonalizmu, fanatyzmu i przede wszystkim błędu polegającego na tym, że widzi się rolę Kościoła jako część Polski państwowej.

Wyzwolilem się ze starego ładu, który korzeniami sięga aż do bitwy pod mostem Mulwijskim, gdzie Konstantyn ze swoimi oddziałami wygrał wojnę domową. Jego następcy zrobili z chrześcijaństwa religię państwową. Ten błąd jest nadal w Polskim Kościele.

Czy ta zmiana, która się w panu dokonała – jak pan mówi intelektualnie – znalazła odbicie w życiu osobistym?
– Dotyka pani rzeczy bardzo intymnych. Nie wiem, czy jestem gotów na taki eksperyment.

Jest z tym związane osobiste cierpienie?

– Osobiste chyba nie, chociaż może w pewien sposób tak, dlatego że jest mi bardzo przykro. Mówię to szczerze. Jest mi przykro, że poprzez przyjęcie pewnych błędów ideowych tak wiele osób, w tym ja, ulegliśmy etnicznemu nacjonalizmowi.

W XVIII i XIX wieku on w ogóle nie występował. Jak pani spojrzy na historię relacji polsko-żydowskich, zobaczy pani, ilu Żydów przechodziło na chrześcijaństwo we Lwowie. Bo przejście na katolicyzm sprawiało, że automatycznie uzyskiwało się nobilitację, czyli szlachectwo.

To trwało wieki, takich ludzi były tysiące. Naród identyfikował się poprzez ideę, a nie poprzez treść. Łączyła nas koncepcja wolności, to się zmieniło pod koniec XIX wieku i w wieku XX. No i, niestety, obóz polityczny, z którego moje korzenie się wywodzą, też w tym brał aktywny udział. Tak było i jest to dla mnie źródłem przykrości.

Zrozumiałem, że koncepcja katolickiego państwa jest błędna zarówno z punktu widzenia Kościoła, jak i dla mnie jako katolika.

Jest pan pewnie czujny na ten błąd.

– Tak, bo on u nas żyje. Każdego dnia widzimy efekty tej obecności. Fanatyzm religijny jest wyrazem tego błędu. Koncepcja życia państwowego mającego korzenie w sanacji, zamachu majowym stworzyła ten potworek, z którym się dziś mierzymy, którym jest PiS. To emanacja zła w naszej historii, emanacja błędów, które zostały popełnione.

Kiedy pan o tym mówi, przychodzi do głowy słowo „namiętność”.

– Nacjonalizm jest formą namiętności, różni się od patriotyzmu, jak miłość różni się od szału miłosnego. Można się pomylić, ale tak naprawdę zawsze znamy różnicę i rozumiemy ją.

Jaki jest nacjonalizm przeżywany od środka?

– To idea szczególnie prosta i atrakcyjna. Dowartościowuje człowieka w łatwy sposób, daje poczucie siły, bezpieczeństwa, solidarności. Częściowo to prawo naturalne związane z byciem wśród swoich, a częściowo jest namiętnością.

Coś się wydarzyło w pana życiu, że ta idea tak pana uwiodła?

– Zostałem w niej wychowany. Mój dom rodzinny był domem endeckim.

Jeśli nabrał pan krytycznego oglądu wobec tych idei, to musiał pan popaść w konflikt wewnętrzny wobec swojego rodzinnego domu.

– Jestem wyrozumiały.

Dlaczego?

– Bo mój ojciec takiego domu nauczył się w swoim własnym domu, od swojego ojca. A ten z kolei większość swojego życia spędził na emigracji, gdzie kształtowanie tego typu poglądów jest wynikiem tęsknoty za krajem. Ta tęsknota była naturalnie związana z uczuciem degradacji społecznej.

Mój dziadek, przed wojną dyplomata i pisarz, po wojnie był już tylko pisarzem w Londynie. Dla niego powrót do czasów przedwojennych i rozważanie na temat Polski czy Pilsudskiego było formą dowartościowania.

Czy coś jeszcze pan w nich zobaczył? Coś jeszcze pan zrozumiał?

– Biorę pod uwagę, że pokolenie, które przeżyło traumę wojenną, jest inne. Wojna w ludziach się nie kończy. Dla mojego ojca II wojna światowa trwa, on wzdyga się nadal, kiedy słyszy lecące samoloty. Jako dziecko przesiedział powstanie warszawskie w piwnicy na Sadybie.

Myszę, że mamy do czynienia ze stresem pourazowym całego pokolenia, i to nie jest tylko hasło, to wpłynęło trwale na ich perspektywę. Można to lepiej zrozumieć, patrząc dziś na dzieci z Ukrainy, które przyjechały ze swoimi traumami, są już inne. Mają już inną psychikę.



• Zjednoczona opozycja w grudniu 2001 r., świeżo po objęciu rządów przez SLD. Liderzy PO, PiS, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin zgodnie opuścili obrady Sejmu, by zbojkotować głosowanie m.in. nad zmianami w ustawie, które odbierałyby prezesom NIK i NBP prawo do udziału w posiedzeniach rządu

Z Kaczyńskim łączy mnie ta zażartość, jeśli chodzi o wygrywanie

Mój ojciec ma dziś 89 lat, ale on tę piwnicę na Sadybie pamięta z najdrobniejszych szczegółami. Nie pamięta, gdzie położył okulary, ale pamięta, gdzie stał w piwnicy worki ziemniaków w 1944 r. Gdyby go pani zapytała, wskazałby go bez problemu.

Pana żart o demencji wrócił. Nie jest łatwo, domyślam się, oddzielić miłość ojca od namiętności, którą chciał nas zarazić, uważając, że jest czymś słusznym, może nawet ratunkiem.

– Mój ojciec się zmienił, podobnie jak ja. Kto by pomyślał, że profesor Giertych będzie wzywał do głosowania na Rafała Trzaskowskiego w ostatnich wyborach, prawda? Ojciec skończył Oksford jako jeden z najlepszych studentów na roku, przez całe życie ćwiczył się intelektualnie, miał bardzo dużo naukowych publikacji na temat genetyki drzew w najważniejszych naukowych periodykach świata. Miał warunki do tego, żeby się zmienić.

Ale tu nie chodzi tylko o nacjonalizm, chodzi o pewną konkretną formę katolicyzmu. To trudniejsze niż nacjonalizm. To nam się nie udaje.

Opowie pan o tym więcej?

– To widzenie Polski i Polaków jako jednego narodu w tej części świata, tego, który trzyma stronę Pana Boga. To kanale, to obcy chcą nam ukraść umiłowaną ojczyznę, atakują z każdej strony.

Miał pan wpływ na zmianę myślenia ojca?

– Być może, ale z pewnością większy wpływ miał mój stryj. Zawsze łatwiej dać się przekonać bratu niż synowi.

Pan jest wierzący.

– Tak.

Na jakiej podstawie pan wierzy w Boga?

– Bóg jest bardziej obecny niż wszystko inne. Mówię o filozoficznej postawie i dlatego, że wszystko, co jest, musi mieć źródło swojego istnienia. Nie ma na świecie rze-

czy, która istnieje sama w sobie, bez początku. A wszystko przecież musi mieć swój początek. Początkiem naszej rozmowy jest żart o braku pamięci. Początkiem wszystkiego jest Bóg. Jest Osobą, dlatego że świat i nasze myśli, nasze abstrakcje, które formujemy, mają w sposób oczywisty, zawarty w sobie pewien ład. Ten ład bywa zaburzony przez zło, ale nadal istnieje. Ten ład obserwujemy w przyrodzie, w naszym życiu i kosmosie.

Wyedukował pan istnienie Boga poprzez dostrzeganie porządku?

– Można dojść do takiego wniosku filozoficznie, możemy wydedukować istnienie bytu uprzedniego. Bytem tym jest pierwszy Poruszyiciel, czyli Bóg. I to przeświadczenie o pierwszym Poruszyicielu opieram na obserwacji. Ale Bóg ma też inny wymiar, jest dobrem, pięknem, ojcostwem. Doświadczam tego w swoim życiu.

Zdarza się panu, że to, co pan wie i widzi, ma się nijak do tego, co pan czuje? Mam na myśli wewnętrzny chaos.

– Święty Paweł o tym konflikcie, o który pani pyta, mówił bardzo pięknie. Powiedział, że chcę czynić dobro, a robię zło. W związku z tym rozumem moim dostrzegam ład, dobro i chcę czynić to dobro, ale jednocześnie dostrzegam w sobie prawo, które jest sprzeczne z tym, które mnie zachęca do dobra.

Myszę, że to, o co pani pyta, to tak naprawdę nie jest ani emocja, ani myślenie, tylko używając języka filozofii – to jest po prostu grzech. Więc odpowiadając na pytanie: tak, dostrzegam w sobie grzech, który zaciemnia umysł, który powoduje, że człowiek nie jest jednolity, że ma pęknięcia, słabości.

I co dalej z tym grzechem?

– Mój stryj, teolog papieski, mówi, że Kościół w Polsce szczególnie stara się przedstawić Pana Boga jako kogoś, kogo interesują najbardziej nasze grzechy. Boga interesuje przede wszystkim to, co robimy, to, co nie jest ani grzechem, ani świętością, interesuje go nasz codzienny wybór, to, jak staramy się nasze życie poskładać.

Nie zadała pani tego pytania, ale dla mnie Bóg jest przede wszystkim miłością. Kler w Polsce wręcz czasami od tej miłości odstrasza. To mój największy ból. Proszę pomyśleć, ile osób przestało w Polsce wierzyć przez tego pajaca ojca Rydzyska. On jest karykaturą kapłaństwa.

Może mi pan wytłumaczyć, co to znaczy, że Bóg jest miłością, w sposób, w jaki jeszcze nie słyszałam?

– W pewnym sensie cały trud w opisie Boga polega na tym, że nie mamy języka, aby móc Go opisać. Ale spróbuję.

Miłość jest czymś, co jest w nas wieczne. My de facto oceniamy samych siebie i innych ludzi poprzez to, czy żyją miłością. Miłość objawia się na różne sposoby, na przykład przez profesjonalizm, poprzez to, jak wykonujemy rzeczy, jak załatwiamy sprawy. Wiele z rzeczy na co dzień robimy dla innych. Myszę, że gdyby Bóg nie dał nam wolności, nie moglibyśmy go kochać. Mamy wolną wolę być może po to, aby móc dokonać gestu kochania. Bo on bez wolności nie występuje.

Wracając do pana emocji, do ojca. Może pan jest wyrozumiały, bo pan ma nadzieję, że dzięki temu inni będą bardziej wyrozumiali wobec pana?

– To przede wszystkim kwestia mojego zawodu, przychodzą do mnie ludzie, którzy robili różne rzeczy. Nie przyjmujemy tylko świętych. Żeby z takim człowiekiem rozmawiać, pójść na sprawę, pójść do aresztu, trzeba być wyrozumiałym dla ludzkiej słabości. Człowiek od razu czuje, że jest potępiany. Widziałem już wszystko, reprezentowałem zabójców, gwałcicieli...

Dlaczego pan ich reprezentuje?

– Niektórych musiałem, bo takie są przepisy prawa. Innych – bo wierzyłem w ich niewinność, chociaż czasem sam zostaję w niewiedzy. Mam taką jedną sprawę, którą prowadziłem, i do dziś nie wiem, czy mój klient był winny, czy nie. Sprawy bywają niejasne.

A czego się pan dowiedział o ludziach, uprawiając swój zawód?

– Że kłamią. Kiedyś miałem klienta, który mówił mi, że na 100 proc. nie był na pewnym spotkaniu. W trakcie rozprawy świadek zeznał i staje się jasne, że był na tym spotkaniu, świadek pamiętał wiele szczegółów. Po wyjściu z sali zapytałem klienta, dlaczego mi tego nie powiedział, a on na to: „Nie było mnie tam na 99 proc.”.

Myśli pan, że kłamią, bo się wstydzą?

– Tak, człowiek się wstydzi za zło, trudno mu od tego do końca odwrócić wzrok. Czasem nawet przed adwokatem mają problem, aby się w pełni obnażyć, głupio im. Może dlatego, że mam opinię surowego człowieka, i przez chwilę tak się komuś mo-



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Program „Zero tolerancji dla przemocy w szkole”, który Giertych przedstawił w listopadzie 2006 r., zakładał zakaz używania telefonów komórkowych w szkole, wprowadzenie mundurków, publiczną naganę dla ucznia za złe zachowanie, kary dla uczniów w postaci prac społecznych, a najbardziej agresywni trafialiby do specjalnych ośrodków

że wydawać, zanim się nie okaże, że jest inaczej.

Jakim pan był dzieckiem? Posłusznym?
– Nie. Byłem strasznym łobuzem. Strasznym. Nie powiem pani, bo się wstydzę. To były czasy, kiedy świat nie był tak poukładany jak teraz. Małe miasteczko, komunizm, ogromna samodzielność. W jakim wieku jest pani córka?

Ma pięć lat.
– Mój syn ma 14. Jak pomyślę o tym, co robiłem, kiedy miałem 14 lat, jak wielką miałem samodzielność...

Podarowaną przez rodziców, jak rozumiem?
– Tak, ale w tamtych czasach była zupełnie naturalna, wszyscy taką mieliśmy. Wychodziliśmy na cały dzień, wracaliśmy do domów, kiedy skończyliśmy robić to, co mieliśmy do zrobienia.

To pana mroczna strona?
– Nigdy nie byłem mroczny. Ale moja podstawówka to była szkoła przetrwania, przemoc ze strony nauczycieli, przemoc rówieśnicza to była norma.

To ma związek z tym, że został pan adwokatem?
– Myślę, że nie. Zostałem adwokatem, bo nie rozumiałem systemu prawnego. Moim pierwszym kierunkiem była historia. Nie rozumiałem, jak działają podstawowe rzeczy, sądy, państwo itd. To mnie wkurzało, więc zapisałem się na prawo.

Jeśli żył pan w świecie przemocy zgodnie z prawem silniejszego, ale sobie w nim jakoś radził, miał pan kłopot z rozumieniem prawa i jego struktury, to może postanowił pan siebie w jakimś sensie naprostować?
– Może ma pani rację, może coś w tym jest. Kiedy byłem chłopcem, patrzyłem na mojego wujka, bardzo dobrego i znanego poznańskiego adwokata Jacka Nikischa, który zajmował się sprawami korowców w czasie stanu wojennego; on był tą osobą, może pierwowzorem. Bo ja kocham tę pracę, wie pani?

Kocha pan bronić ludzi?
– Kocham reprezentować ludzi. OK, bronić też. Kocham sąd.
I nienawidzę przegrywać. Nienawidzę. Kiedy ktoś nienawidzi przegrywać, to ma

wielką determinację, żeby wygrać. Zawsze to wyczuwam, również u innych. Nigdy nie klepię formulek, zawsze jestem przekonany. Każdego dnia szukam czegoś, co by mnie przekonało. Pieniądze są gdzieś obok, potrafię wziąć sprawę za nic, żeby tylko wygrać.

Kiedy byłem pierwszy raz w sądzie, zrozumiałam uniwersalność systemu prawnego, to znaczy, że każdy z nas, niezależnie od wszystkiego, wie, czym jest sprawiedliwość.
– Byłbym ostatnim niewdzięcznikiem, gdybym nie miał dobrego zdania o sądach. PiS próbował mnie nielegalnie zatrzymać, sąd to uchylił. Próbowali nielegalnie przesłuchać mnie, potem kancelarię, sąd to również uchylił. Uchylił również próbę aresztowania i zabezpieczenia majątku. To były różne składy, w różnych miastach, w różnych sądach, zawsze byli fair.
Mam dług wdzięczności wobec Polskich sędziów. Wobec tych, którzy wydawali orzeczenia, które mnie broniły, i zaraz po ich wydaniu mieli sprawy dyscyplinarne. Jestem pod wielkim wrażeniem tego, jak potrafili się zachować w bardzo trudnych czasach.

Wiem też, że ten sam sędzia skazałby mnie, gdybym popełnił przestępstwo. Zrobiłby to bez zmruczenia oka. I tak powinno być.

Ta rywalizująca strona, o której pan wspomniał, doprowadziła pana do polityki? Pęd do wygranej.
– Oczywiście.

Nie spodziewałam się, że pan tak łatwo się do tego przyzna.
– Taka jest prawda.

Rozumie pan władzę?
– Rywalizację.

I co panu po tym?
– Proszę pani, byłem częścią obozu Donalda Tuska. Wydaje mi się to istotne. Byłem drobną częścią, która przeprowadziła najważniejsze zwycięstwo, jakie mieliśmy w tym wieku. Wygraliśmy z PiS 15 października zeszłego roku. Dla mnie jest to też symboliczne.

Co pan ma na myśli?
– Trzy lata wcześniej zatrzymano mnie i skuto. Dokładnie 15 października. Czy mi to przynosi satysfakcję? To zwycięstwo i ten

*Byłem strasznym łobuzem.
Strasznym. Nie powiem pani,
bo się wstydzę*



FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Roman Giertych i Andrzej Lepper ogłosili w lipcu 2007 r. powstanie nowej partii - LiS (Liga i Samoobrona). Istniała krótko - do 2009 r. - i nie uratowała liderów przed utratą mandatów w przyspieszonych wyborach

symbol? Każdego dnia. Czy jestem nieusatsfakcjonowany z tego, jak my to zwycięstwo wykorzystujemy? Mam pewne niezadowolone. Aczkolwiek ono nie przesłania tego fundamentalnego zadowolenia, że odsunęliśmy PiS.

I to, że jestem atakowany nieustannie, to nic. PiS atakuje Donalda Tuska, Sienkiewicza, Trzaskowskiego to i mi się obrywa. To nie przypadek, ludzie czują charaktery.

Nie boi się pan?
– Chodzi pani o to, że wychodzę publicznie i mówię wprost, że Jarosław Kaczyński powinien odpowiadać karnie za to, co robi?

No na przykład to.
– Ja już przeżyłem wszystko. Zatrzymanie, skucie, próbę pozbawienia wszystkiego do-

konaną przez państwo, instytucje. Mogą mnie jedynie zastrzelić. To jedyne, czego nie próbowano mi zrobić.

Zastraszenie rodziny, córek, dzwonienie do nich z mojego numeru, że tatuś nie żyje, żeby jechały do szpitala, bo miałem wypadek. Albo dzwonienie, podszywając się pod mój numer z informacją, że właśnie mnie zabili, zabrali telefon i czekają na nią z siekierą. Myśmy to wszystko przeżyli. Mnie się nie da zastraszyć.
Wczoraj pojawił się hashtag #giertychdebil. Żona mnie zapytała, czy się przejmuję.

I co pan odpowiedział?
– Nie przejmuję się, ja to nawet lubię. Wiem, że trafiłem, skoro aż tak się wkurzają.

Czuje pan, że nadal jest dla nich ważny.
– Kiedy Rydzyk mówi o mnie publicznie, że jestem satanistą, to znaczy, że stracił nad sobą kontrolę. Bo dostał w zęby.

Pan szuka zemsty?
– Nie. Chociaż trudno to rozdzielić, bo człowiek naturalnie ma ochotę, żeby działa się sprawiedliwość. I ma satysfakcję z tego, jeżeli ona się dzieje. I brak satysfakcji, jeżeli się nie dzieje. Ja bym chciał tych złodziei wsadzić do więzienia.

Kogo ma pan na myśli?
– Kaczyński, Rydzyk, Ziobro, oni na samym czele. Proszę tego nie interpretować jako mojej zemsty, oni zniszczyli życie wielu ludziom i wielu obniżyli jakość życia. Nie wszyscy sobie z tym poradzi. Inflacja została świadomie zaplanowana przez Morawieckiego. Ludzie, którzy żyli na średnim poziomie lub na granicy, dziś są naprawdę ubodzy.

Pani mnie pyta tak, jakby to było personalne, ale nie jest. Ostatnio nawet odezwałem się do Jarosława Kaczyńskiego, kiedy podpisywał się na listach. Powiedziałem: „Dzień dobry, panie prezesie”. Odpowiedział: „Nie doceniłem pana”.

Pan go lubi?
– Nie, nie lubię go. Jest pokreconą osobowością. Z wielką inteligencją i wielkim poczuciem humoru. Ale lubi zło, lubi o nim słuchać, lubi szukać zła w ludziach. Bo sam taki jest.

Coś panów łączy, tak?
– Coś, elementy charakteru. Ta zażartość, jeśli chodzi o wygrywanie. Gdy byliśmy w koalicji, to ona się rozpadła przez nasz konflikt. Nie o Leppera, jak można było to ocenić z zewnątrz, Leppera już nie było przez seksaferę.
Nie chciałem być Ziobrą, byłem pierwszym mianowanym na to miejsce przez prezesa. Pamiętam jedną rozmowę, zanim wszedłem do koalicji, Kaczyński chciał rozwiązać Sejm, zorganizowaliśmy wtedy z Tuskiem dyżur posłów.

To był luty 2006.
– I uchwałę, która zobowiązywała marszałka Jurka do przyspieszenia prac budżetowych, żeby nie rozwiążali Sejmu. I de facto były wówczas dwa Sejmy. Taka była historia, bardzo krótka, ale bardzo intensywna. Kaczyński powiedział mi, że wicemarszałek Kotlinowski, który przegłosował tę uchwałę, idzie na 15 lat do więzienia, a ja na 10. Ja powiedziałem: Lech Kaczyński, prezydent, pójdzie do więzienia, jeśli pan rozwiąże nielegalnie parlament.

Co było dalej?
– Kaczyński mówi, że zamknie Sejm, nie będzie żadnych protestów, będą wybory, prezydent podpisze.

Co pan na to?
– Powiedziałem, że jeśli się nie dogadamy, to za chwilę będzie nowy marszałek i nowy rząd. Blefowałem, marszałka mieliśmy ustawionego, miał nim być Komorowski, ale rząd nie był ustawiony. Blefowałem, że będzie nowy rząd i nie opublikuje postanowienia prezydenta o rozwiązanie parlamentu.

Kaczyński zadzwonił wtedy do brata i odpuścił.

Mówiąc językiem podwórka: ja ciebie zarąbuję, ty mnie nie zarąbiesz, bo ja ciebie zarąbuję pierwszy.

To jest przyjemne?

– Nie.

Jak to nie?

– Rozgrywki z Kaczyńskim zostawiam Tuskwowi.

Dlaczego?

– Bo on jest twardszy. Dla mnie stracie z Kaczyńskim było psychicznie wykańczające, a Tusk jest starszy i ma lepiej wypracowaną inteligencję. To nie ma związku z emocjami, to tylko i aż procesor. Możliwość zarządzania wieloma faktami i informacjami.

Pan jest niejednolity.

– To nie jest nic osobistego. Pani mnie może poznać jako miłego człowieka, możemy porozmawiać o wierze, o prawdzie, ale mam też taką stronę, że nie znoszę przegranej i gram ostro. Mogę iść zagrać w tenisa z kolegą, ale potem brutalnie go zaatakować na sali sądowej. To nie jest nic osobistego.

Kiedy pani do mnie przyjdzie, niezależnie od tego, czy ma pani rację, czy nie, kiedy podpiszemy umowę, będę po pani stronie. Ludzi interesuje tylko to, żeby wygrać sprawę. Tylko to się liczy. Dla mnie też.

Jaka jest pana nagroda?

– Satysfakcja. Proszę sobie wyobrazić, wchodzi pani do aresztu, otwierają się drzwi, wzywają oskarżonego i pani mu mówi: Wychodzimy. Wyciąga go pani z brudu, syfu, w którym dosłownie przed chwilą był. Rozumie pani? Pozbawienie wolności jest dla człowieka w pewnym sensie końcem życia.

Gra pani w szachy?

Słabo.

– To jedna z najbrutalniejszych gier. Ja mam naturę szachisty. Proponowali mi kiedyś grę zawodową, ale nie było nas stać.

Nie boi się pan podążać za tym popędem?

– Nie wiem. Nie można popaść w uzależnienie.

Pokusa.

– Miałem pokusę, miałem taki moment, że zastanawiałem się, czy przyjąć propozycję Lecha i Jarosława. Dawali wszystko za ustabilizowanie sytuacji w 2007 roku, za utrzymanie koalicji, za spacyfikowanie Samoobrony, to było w moim zasięgu. Byli gotowi dać wszystko. Absolutnie. Odmówilem.

Wystraszył się pan?

– Jarek jest złym człowiekiem. Po prostu. Nie podobały mi się jego związki z Rosjanami, jego relacje z Macierewiczem. Ich relacja jest chora i groźna dla nich obu. Postawiłem się w tamtym czasie, stanąłem w obronie Leppera, chociaż o niego mi nie chodziło. Po prostu wbilem nóż w plecy Jarkowi w najbardziej delikatnym momencie politycznym. Grałem przed nim cynika, nie domyślał się, nie spodziewał się, że odmówię.

Pan się czegoś boi?

– Boję się, że nie zdążymy przygotować Polski na konfrontację z Rosją.

Kiedy zapytałam o lęk Leszka Millera, powiedział mi to samo.

– Boję się, czy w porę będziemy na tyle silni, aby ich odstraszyć od ataku.

Gdzie pan będzie, jeśli to się stanie?

– Tu. Byłem wychowany w kulcie mojej rodziny ze strony taty, która od pokoleń uczestniczyła w różnych wojnach. Mój dziadek w roku '20 zapisał się na ochotnika do Armii Ochotniczej i został ranny pod Warszawą 15 sierpnia, w szturmie na pozycję rosyjską. Mój praprapradziadek dostał Virtuti Militari za Olszynkę Grochowską. Moi przodkowie brali udział w wojnie w XVII



• Roman Giertych z żoną Barbarą podczas XVII Charytatywnego Balu Dziennikarzy w Warszawie w styczniu 2016 r. Poznali się na zjeździe Młodzieży Wszechpolskiej w 1993 r. On miał wtedy 22 lata, a ona 16

Mam trzy córki i staram się o prawo jak najlepsze dla kobiet

wieku z Rosjanami. No i mój dziadek brał udział jako oficer w obronie Helu w 1939 r. Jak ja mógłbym uciec?

Przeszłość w panu nadal pobrzmiewa.

– To, że nie podzielał poglądów mojego dziadka w sprawie antysemityzmu, nie znaczy, że nie jestem dumny z tego, że w wieku 17 lat poszedł walczyć z Rosjanami. Ludzie są skomplikowani. Oddzielał to. Jak mógłbym nie być dumny z takiej odwagi – jako chłopak biegł boszo na bagnety pod Radzyminem.

A co zrobić, aby ta wojna do nas nie wróciła?

– Możemy tego uniknąć. Ale warunkiem jest delegalizacja, anihilacja PiS-u.

Co pan sugeruje?

– Musimy zdelegalizować kolaborację z Putinem. PiS to zdrajcy. Szykowali się moim zdaniem do sojuszu z Orbánem, z Le Pen i Rosją po wygranej w Ukrainie. Pisowcy kolaborowali z Putinem przez Orbána. Nie chodzi tylko o przestępstwa gospodarcze, wykradanie państwowych pieniędzy, ale o zdradę, która się szykowała.

Kiedy pan mówi o Kaczyńskim, zmienia się panu wyraz twarzy.

– To śmiertelnie niebezpieczny człowiek. Tylko głupcy się go nie boją.

Mam taką koncepcję, że prawdziwą próbą dla katolika jest to, jak mówi o niewierzących. Czy pana zdaniem można być zbawionym, nawet jeśli jest się niewierzącym?

– Tak. Zgodnie z nauką Kościoła zbawieni są nie tylko ci, którzy wierzą, ale ogólnie ci, którzy postępują z miłością. Sakramenty, łaska to pomoc, w ten sposób łatwiej żyć miłością. Ale ci, którzy tej pomocy nie mają, również nią żyją. Najwięcej miłości ma może matka, która co rano odprowadza dziecko do przedszkola, dba o nie, odbiera, zajmuje się nim, a dla siebie ma tak mało czasu.

Kościół w Polsce jest niedostosowany nie tylko do życia, ale i do swojej własnej nauki. Kościół w Polsce ma cechy Kościoła

ła z XVIII wieku. I to Kościoła, który kończył na szubienicy w czasie powstania kościuszkowskiego. Bo się sprzymierzył z targowicą, z Rosjanami, aby utrzymać konserwatywne wartości i swoje przywileje.

Pamięta pan swoje pierwsze doświadczenia bycia w kościele?

– Chodziłem do kościoła jako małe dziecko, mam wiele wspomnień. Ale szczególnie jest dla mnie to z pobytu w Lubiniu w klasztorze założonym na początku XI wieku. Gal Anonim pisał tam swoją kronikę. Jeździliśmy tam. Oni zawsze wyczytują nazwiska swoich darczyńców. Książę dzielnicowy podarował zakonnikom kawałek ziemi, obiecali mu za to, że będą to wyczytywać i modlić się za niego. I miją 700 lat. I nadal czytają.

Wzrusza to pana?

– Tak, to świadectwo lojalności.

A przytrafiło się panu w kościele coś przykrego? Trudnego?

– Całkiem niedawno, pewien ksiądz w kościele pod Warszawą nie dał mi komunii.

Chciałem przystąpić do komunii, a on mi jej nie dał. Powiedział: „To za in vitro”. Zupełnie tego nie rozumiem. Czy ja mam ludziom poczętym z in vitro powiedzieć, że to złe, że oni się urodzili? Przecież to brak empatii, to zło.

To było poruszające doświadczenie. Nie zapomnę tego momentu, kiedy zostałem sam, klęczący na środku kościoła.

Księża nie są wykształceni, często niewiele wiedzą. Poszedłem do niego potem i powiedziałem, że technologia in vitro się zmieniła, nie trzeba zamrażać zarodków. Odpowiedział, że nie muszą zamrażać, ale mogą. Ale ja nie jestem od tego, żeby ludziom mówić, co mają robić – odpowiedziałem. Ten ksiądz mnie przeprosił. Mam tę sprawę gruntownie przemyślaną, więc wiedziałem, że mam rację.

Nie zgłosował pan za projektem posłanki Zukowskiej w kwestii aborcji. Dlaczego, skoro nie chce pan mówić ludziom, jak mają żyć?

– Nie zgłosowałem. Projekt umożliwiał zrobienie aborcji przez każdego z wyjątkiem lekarza i wszędzie z wyjątkiem szpitala. Nadto wprowadzał całkowitą depenalizację wobec człowieka, np. znachora, który zrobił aborcję, a kobieta zmarła, czy się ciężko pochorowała.

Mam trzy córki i staram się o prawo jak najlepsze dla kobiet. Zaproponowałem, aby aborcja do 12. tygodnia była ścigana wyłącznie na wniosek kobiety, która jej dokonała. Mówiąc językiem prawnym, to zamiast przestępstwa publicznoskargowego na wniosekowe. W takim trybie kiedyś ścigano gwałty.

Ta propozycja całkowicie uniemożliwia ściganie aborcji bez wniosku kobiety, ale jednocześnie umożliwia ściganie partnera, który zmusił ją do aborcji przemocą psychiczną czy ekonomiczną. To są częste przypadki i miałem je w praktyce.

Uważam, że nie powinno się tego całkowicie depenalizować, bo to czyn, który wkracza w wolność drugiego człowieka. Dlatego nie poparłem tej ustawy, uważam, że to kobiety, a nie parlament powinny decydować, czy ścigać aborcję, czy nie. Sądzę, że mój projekt jest najdalej idącym projektem, jeżeli chodzi o zaufanie do kobiet.

A przy okazji powiem pani, że teraz reprezentuję w sądzie kobietę, której policja drastycznie złamała rękę podczas protestu przeciw zastrzeleniu prawa aborcyjnego.

Zrobiłam aborcję w czasie głębokiego PiS-u, nigdy po tym wydarzeniu nie poczułam się ponownie jak ktoś legalny. Zrozumiałam wtedy dobitnie, ile znaczy prawo. Nie odzyskałam siebie, przede wszystkim w kontekście społecznym i prawnym.

– Wie pani co? Chrystus martwił się przede wszystkim o nasz pokój. Bo on przebacza

wszystko. Tylko warunkiem tego jest to, że byśmy przebaczyli najpierw sami sobie.

To jest fragment życia, ktoś, kto nie ma pojęcia o relacjach damsko-męskich, o seksie, o dzieciach, ma nas o tym nauczać? Jaką ma wiarygodność, jaka jest trafność jego oceny? Jaka jest szansa, że nie zrani? Ja widziałem wszystko. Nie można oceniać. Każdy ma prawo do obrony. Wie pani, że mnie miłosierdzie zbliża do pracy?

W jaki sposób?

– Większość klientów nie jest niewinna. Ale każdy ma prawo do tego, aby ktoś stanął w jego obronie i po jego stronie. Każdy ma prawo nie być sam w tym, co zrobił, ma prawo do adwokata, każdy. Reprezentujemy ludzkie słabości. Mówimy: tak wysoki sądzie, może to prawda, że ktoś to zrobił, ale...

To pana postawa intelektualna?

– Nie, na tym polega kochanie ludzi, że akceptujemy to, kim są. Reprezentowałem prostytutkę, kiedy naprawdę biedne – jak tak czasem rozmawialiśmy – otwierały się, opowiadały o tym, co je spotyka. Miały niskie poczucie własnej wartości. Chciały walczyć, bo ktoś im zrobił krzywdę. Chciałem im pomóc odzyskać godność.

A mam taką opinię, że jestem bulterierem Tuska.

Nie ma wyrozumiałości dla pana.

– Taka jest polityka, gram ostro, też wiele osób poraniłem. Nie jestem bez winy. Wszyscy odpowiadamy za tę nienawiść, która się rozlała.

Te rozliczenia nie dają mi spokoju, nie mam z tego satysfakcji. Ciągłe myślę, że mógłbym zrobić coś lepiej. To mnie martwi. Czasem nie daję spać.

Może spróbuje pan odwrócić los, zrobić coś, co sprawi, że przestanie być pan kojarzony ze swoją przeszłością, że to rozliczenie się skończy.

– Ciągłe mnie porównują, ciągle nawiązują do PiS-u. Widzę swoją twarz sprzed lat w telewizji, chcą, żebym tłumaczył się z tego, co powiedziałem 20 lat temu, a sami nie pamiętają, co mówili wcześniej.

Ale nie narzekam. Kocham takie życie. ●

Roman Giertych

• (ur. 27 lutego 1971 r. w Śremie) - polityk, prawnik i adwokat. Ukończył historię i prawo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1989 r. reaktywował Młodzież Wszechpolską, której był prezesem - najpierw faktycznym, później honorowym. Był publicystą mediów narodowych i katolickich na czele z Radiem Maryja. Jeden z liderów Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego i Stronnictwa Narodowego, a następnie Ligi Polskich Rodzin, z list której w latach 2001-2007 zasiadał w Sejmie. Jego dziadek Jędrzej był emigracyjnym działaczem narodowym, a tata Maciej - m.in. politykiem LPR i europosłem w Brukseli, chociaż syn widział go na stanowisku prezydenta RP (kandydat LPR w 2005 r.). W latach 2006-2007 był wicepremierem i ministrem edukacji narodowej w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, gdy LPR wraz z PiS i Samoobroną tworzyły koalicję rządową. Z listy lektur usunął Gombrowicza, chciał ubrać uczniów w mundurki i głosił konieczność walki z „propagandą homoseksualną”. Po przyspieszonych wyborach nie dostał się do Sejmu i utracił prezesurę w LPR. Zajął się działalnością adwokacką. Po latach wrócił do polityki: w 2015 r. bezskutecznie kandydował do Senatu jako kandydat niezależny, w 2023 r. uzyskał mandat z list Koalicji Obywatelskiej. Koordynuje prace zespołu ds. rozliczeń powołanego przez postów KO do zbadania nadużyć władzy w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy, w czasach której Giertych był m.in. nielegalnie zatrzymany przez Centralne Biuro Antykorupcyjne i ścigany przez upolitycznioną prokuraturę Zbigniewa Ziobry.

ROSJANIE NA ZAKUPACH W WARSZAWIE

Nowy właściciel TVN wcale nie jest przesądzony. Ale czy Tusk naprawdę może zablokować sprzedaż komuś związanemu z Kremlen?

Dominika Wielowieyska

Media co chwilę przynoszą elektryzujące informacje o sprzedaży TVN. PiS rozgłasza, że węgierski oferent w zasadzie dogadał się z amerykańskimi właścicielami stacji, i zaraz były prezes Orlenu Daniel Obajtek rozsiał się w fotelu prezesa najważniejszej prywatnej telewizji. To ściema.

Stacja jest własnością amerykańskiego koncernu Warner Bros. Korporacja przeżywa trudności finansowe i dlatego chce spieniężyć polską inwestycję.

Z moich informacji wynika, że proces sprzedaży już się rozpoczął, ale do wyboru oferenta jeszcze długa droga. Na razie Amerykanie wybrali bank inwestycyjny, który jest na etapie przygotowywania dokumentu zwanego w slangu doradców inwestycyjnych „info memo”. To podstawowe informacje o aktywach, sytuacji finansowej, oszacowaniu wartości firmy, która ma być sprzedana.

„Info memo” będzie gotowe na koniec roku – Warner Bros. popędza swojego doradcę. Następnie dokument zostanie wysłany do potencjalnych nabywców. Chętni inwestorzy dostaną kilka tygodni na przygotowanie odpowiedzi i na deklarację, czy są gotowi rozpocząć negocjacje. Gdy Warner Bros. otrzyma od nich niewiążące wstępne oferty, zdecyduje, kto zostanie na krótkiej liście. Ekspertiści szacują, że ostatecznie do sprzedaży może dojść w okolicach września przyszłego roku. Teoretycznie jest możliwe, że Warner bierze jednego inwestora i błyskawicznie dopina z nim deal. Ale co by na to powiedzieli akcjonariusze, którzy chcieliby uzyskać jak najlepszą cenę?

Rząd też wie, że proces sprzedaży ruszył i nie zamierza być bierny. Dlatego Donald Tusk w środę zapowiedział, że TVN i Polsat zostaną wpisane na listę



• Amerykanie z Warner Bros. Discovery dopiero wybrali bank inwestycyjny, który przygotowuje tzw. info memo - dokument z podstawowymi informacjami o aktywach firmy, która ma być sprzedana. Na zdjęciu - studio TVN FO FOT. MARCIN LESZCZYŃSKI

firm objętych ochroną o znaczeniu strategicznym. To oznacza, że nie można ich sprzedać bez zgody rządu. – Chcę potwierdzić te plotki czy pogłoski o tym, że na Wschodzie odnajdujemy zainteresowanych ewentualnym przejęciem mediów albo wpływaniem na pracę mediów w Polsce. Ta sprawa jest bardzo poważna – powiedział premier.

Przypadek Polsatu jest inny – tam mamy spór między Zygmuntem Solorzem, jego nową żoną Justyną Kulką a dziećmi miliardera. Ale rządzący podejrzewają, że w tej grze o sukcesy pojawiły się lub mogą pojawić zupełnie inne lobby.

Kto chce kupić TVN? Od dawna wymienia się najbogatszą Czeszkę Renatę Kellnerową i jej grupę PPF, która jest współwłaścicielem InPostu, stworzonego przez Rafała Brzozkę. Wymienia się też związanego z Viktoriem Orbanem oligarchę Józsefa Vidę. Właściciel ważnej węgierskiej stacji TV2 budzi entuzjazm PiS-u, bo to on mógłby zatrudnić Obajtka w przejętym TVN. Były prezes Orlenu i europosel PiS jest w dobrych relacjach z Orbanem po tym, jak sprzedał węgierskiemu państwowemu koncernowi paliwowemu MOL część Lotosu. Obajtek zatrudnił się nawet w jednej ze spółek z kręgu orbanowskiego.

Jednak wieści, że VIDA już prawie kupił TVN, są nieprawdziwe, a PiS je rozgłasza po to, aby tchnąć w swoich zwolenników i działaczy wiarę w zwycięstwo w najbliższych wyborach prezydenckich.

Pojawia się też hipoteza, że Czesi i Węgrzy mogliby połączyć siły, bo już wcześniej ze sobą współpracowali. Kellnerowa kontroluje PPF po tym, jak jej mąż zginął w katastrofie lotniczej w 2021 r. Petr Kellner był postrzegany jako członek lobby prochińskiego i prorosyjskiego w Czechach. O jego żonie mówi się, że

**Państwo jest
właścicielem Pekao
SA, Orlenu PKO BP
i PZU. Są także polscy
prywatni inwestorzy
zainteresowani
wejściem w takie
przedsięwzięcie.
Bez trudu uezbialiby
8-10 mld zł**

zaczęła żeglować bardziej w stronę Europy. Ale więzi PPF z Rosją i Chinami nadal są. Podobne zagrożenia pojawiają się w przypadku Vidy, bo Orban należy przecież do lobby rosyjskiego.

Ale czy Czesi na pewno staną do wyścigu? Nic w tej sprawie nie jest pewne. Na początku listopada do lobby rosyjskiego. Ale czy Czesi na pewno staną do wyścigu? Nic w tej sprawie nie jest pewne. Na początku listopada do lobby rosyjskiego.

W kręgach rządowych zapanował niepokój: po TVN może sięgnąć kapitał rosyjski, tyle że przebrany w szaty jakiegoś regionalnego, europejskiego inwestora. Czy – jako państwo – mamy szansę na względną kontrolę nad całą operacją? TVN to jedna z trzech ogólnopolskich telewizji, ale możliwości wpływu państwa na bieg wydarzeń związanych ze sprzedażą są ograniczone.

Teoretycznie jakieś narzędzia ma Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji – ale ona pozostaje w strefie wpływów PiS. Jeżeli wybory prezydenckie wygra kandydat Koalicji 15 Października, możliwy jest reset tej instytucji: jeśli Senat, Sejm i prezydent solidarnie odrzucą sprawozdanie roczne KRRiT, wówczas gra z obсадą zaczyna się od nowa. Ale to będzie możliwe we wrześniu. A transakcja może być do tego czasu już zamknięta.

Zresztą sam PiS też już się szykował do podobnej ingerencji w sprawie TVN – w 2015 r. ówczesny prawnik KRRiT Tomasz Zdzikot (późniejszy prezes Poczty Polskiej, który szykował wybory kopertowe) napisał w ekspertyzie, że pole manewru Rady jest niewielkie. Po przejęciu TVN przez jakiegoś inwestora Rada może badać, czy stacja wypełnia warunki koncesji i wyciągać ewentualnie konsekwencje wobec nadawcy. Nadawca ma wtedy prawo odwołania się do sądu. Dlatego Tusk zdecydował się na manewr z wpisaniem obu prywatnych telewizji na listę przedsiębiorstw strategicznych.

Jednak to nie oznacza, że problem jest rozwiązany. Węgrzy mogą argumentować, że przecież są członkiem Unii Europejskiej i NATO, więc jakim prawem ktoś blokuje transakcję? Kto i w jaki sposób dowiedzie, że za Węgrami stoi nieznan kapitał? Mogłyby amerykańskie służby specjalne. Mogłyby, ale prezydent elekt Donald Trump bardzo lubi się z Orbanem.

Na marginesie, fakt wpisania TVN na listę spółek strategicznych nie spodoba się Warnerowi, bo to zniechęci oferentów.

Coraz częściej słychać pytanie, dlaczego 37-milionowe państwo, jedno z największych w Europie, nie jest w stanie położyć na stole polskiej oferty, lecz oddaje wal-

kowerem tak ważne pole krajom o wiele mniejszym od Polski. To dziwne, że nie jesteśmy w stanie stworzyć czegoś w rodzaju publiczno-prywatnego konsorcjum z udziałem Polskiego Funduszu Rozwoju, który angażuje kapitał w rozmaite inwestycje. Państwo jest właścicielem Pekao SA, Orlenu PKO BP i PZU. Są także polscy prywatni inwestorzy zainteresowani wejściem w takie przedsięwzięcie. Bez trudu uezbialiby 8-10 mld zł – bo tyle według nieoficjalnych informacji Warner chce za TVN – tym bardziej, że wartość transakcji może być o wiele niższa.

Kluczowe pytanie jest takie: czy współpraca sektora prywatnego z publicznym jest możliwa w polskich warunkach. Czy jest możliwe stworzenie wehikułu, w którym politycy nie będą odgrywać kluczowej roli, a wszyscy inwestorzy zadeklarują chęć działania na rzecz – nazwijmy go tak roboczo – Fundacji Wolności Mediów, nowego właściciela stacji komercyjnej, mającej koncesję ogólnopolską.

Założenie byłoby takie, że inwestor publiczny miałby mniejszościowy pakiet, a kontrolę operacyjną mieliby inwestorzy prywatni. W finansowaniu transakcji wzięłyby banki Pekao SA i PKO BP.

Lecz to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, w warunkach wojny polsko-polskiej niełatwe do przeprowadzenia. Bo bardzo trudno stworzyć takie bezpieczniki, które uniemożliwiałyby manipulowanie stacją w zależności od tego, kto akurat jest przy władzy. Polski kapitał w TVN poza tym niesie różny ryzyko, bo każdy właściciel chce, aby stacja reprezentowała jego interesy – a to oczywiście rodzi rozmaite zagrożenia, jeśli chodzi o wolność słowa i pluralizm oraz niezależność dziennikarzy.

Może operacja „Sprzedaż TVN” będzie kolejnym testem dla Polaków, na ile są silnym państwem. A może okaże się dowodem, że nie jesteśmy w stanie ze sobą współpracować, tworzyć, rozwijać wspólne przedsięwzięcia, a ważne transakcje odbywają się za naszymi plecami, bez naszego udziału. Przyglądamy się im z daleka. Bezsilnie. W przyszłym roku przekonamy się, który scenariusz będzie realizowany.

O ile cała sprawa nie rozejdzie się po kościach. Bo według moich rozmówców Warner planuje wynegocjować określoną sumę za TVN – a jeśli jej nie dostanie, wówczas może się wycofać ze sprzedaży. Bo cały czas na stole leżą inne scenariusze naprawy finansów koncernu.



Dlaczego dyskusja
o edukacji seksualnej
jest tak płytka?

POZYCJA MISJONARSKA



FOT. SHUTTERSTOCK

Marcin Matczak



Podpisałem list wspierający nowy program edukacji zdrowotnej razem m.in. z Tomaszem Terlikowskim i Błażem Kmiecikiem, byłem przewodniczącym komisji ds. pedofilii. Podpisałem, bo go przeczytałem i uznałem, że jest zbalansowany i sensowny. Ilu ludzi tak zrobi? Prawica zorganizuje na placu Zamkowym protest przeciwko temu programowi jako narzędziu deprawacji. Przykłaśnie Pawłowi Lisieckiemu, redaktorowi naczelnemu „Do Rzeczy” i autorowi książek pod znamienymi tytułami „Imperium Sodomy i jego sojusznicy” czy „Dżihad i samozagłada Zachodu”, który sygnatariuszy tego listu porównał do księży patriotów, którzy w PRL na wezwanie władz pokazywali, że istnieje „katolicyzm oświecony, postępowy i dojrzały, przeciwstawiany zaściankowemu”.

Lewica uzna z kolei to poparcie za oczywiste. Oto nawet w konserwatywnych, męskich lepetynach coś zaczyna kielkować. Któż po tej stronie nie poprze publicysty „Polityki”, który protestujących przeciwko programowi nazywa „prawicowymi dziwolągami” i paternalistycznie uznaje, że nawet tacy „katolicy publicyści” jak Terlikowski i ja „w końcu zrozumieli” potrzebę uczenia o seksualności w szkole.

Dlaczego ta dyskusja jest tak płytka? Czy w sprawie edukacji seksualnej są w Polsce tylko dwa kluby? Albo prawica, dla której to diaboliczny kusiciel, albo lewica, dla której seks to wielki wyzwoliciel? Albo Lech Poznań, albo Legia Warszawa? Czy nie można przynależeć w sprawie seksu do czegoś pomiędzy? Do jakiegoś Gór-

nika Konin? Dlaczego dwa stanowiska zajmują całą przestrzeń debaty?

Od jakiegoś czasu próbuję szerzyć ideę radykalnego centrum – niepopulistycznego podejścia do polityki, wolnego od szaleństwa skrajności. Jest to oczywiście misja Don Kichota. Ludzie są uzależnieni od emocji i chcą igrzysk – nawalanki i masakrowania, czyli tego, co można pokazać na internetowej rolce i zającując popcorn, oglądać. Skrajności – prawicowa i lewicowa (chodzi mi o wizję, nie o partię) – powodują, że normalna dyskusja o seksualności człowieka i wielu innych sprawach nie jest już możliwa. Radykalizm zabija rozumność i coś trzeba z tym zrobić.

Ale co? Może najpierw zrozumieć, jak bardzo ta walka jednej i drugiej stronie nabija punktów. Lewica od lat czyni z seksualności broń polityczną, strasząc przeciwników wizją ciemnogrodu. Prawica w odpowiedzi organizuje swoje ulubione polityczne „Dziady” – chodzi i zawodzi: biada nam, biada. Lewica straszy Gileadem, prawica Sodomą i tak się to kręci – obie strony zyskują na seksie, który uprawia ktoś inny. Takie polityczne sutenerstwo.

Jestem filozofem prawa, co powoduje, że często bardziej niż seks interesują mnie normy – także te społeczne. Interesuje mnie, jak się rodzą, jak ewoluują i dlaczego umierają. Żeby zrozumieć, dlaczego skrajności nie mają racji, trzeba życie tych seksualnych norm prześledzić. Bo wtedy okaże się, że w sprawie seksualności i w wielu innych kwestiach powinniśmy wykształcić pozycję centrową.

Michel Foucault w „Historii seksualności” udowadnia, że kultura zawsze próbowała seksualność ujarzmić normami. I choć to nie do końca prawda, gdyby zapytać wykształconego Polaka, jak to z tym seksem bywało, poleciałby Foucaultem, nawet o tym nie wiedząc: powiedziałby, że tradycja, zwłaszcza religijna, zawsze seksu się bała, że postawiła gmachy normatywne, by go regulować, i że nie bez przyczyny najnudniejsza pozycja seksualna nazywa się misjonarską.

Zmiana nadeszła dopiero w XX wieku wraz z Freudem i tezą jego ucznia Wilhel-

ma Reicha: człowiek jest więziony przez normy seksualne i jeśli chce być szczęśliwy, powinien je odrzucić. Orgazm to kwintesencja wyzwolenia. Nie tylko cielesnego, ale także politycznego.

Idee Reicha pozwoliły lewicy wprowadzić seks z sypialni na polityczne salony. Herbert Marcuse, autor „Erosa i cywilizacji”, pisał, że cywilizacja tłumi naturalne popędy seksualne, aby utrzymać porządek społeczny i produktywność ekonomiczną. Dlatego w rewolucji seksualnej chodzi o coś więcej niż wolny seks – o transformację całego porządku społecznego, który podporządkowuje jednostkę wydajności i konsumpcji. Pokolenia feministek zainspirowane Reichem traktowały seks jako narzędzie walki politycznej. Dla Shulamith Firestone w „Dialektyce seksu” represja seksualna to narzędzie kontroli społecznej nad kobietami. W „Polityce seksualności” Kate Millett widzi seksualność jako „pole polityczne”. Audre Lorde w eseju „Erotyka jako władza” podkreśla wyzwalający potencjał seksualności. Wyzwolenie to miało zwalczyć dominację mężczyzn i obalić kapitalizm. Bo człowiek wyzwolony seksualnie nie daje się zamienić w posłusznego barana, swoim buntem zwalczając patriarchy i konsumpcjonizm za jednym razem. Stąd promocja wolności seksualnej staje się elementem lewicowej agendy politycznej.

Tak było i jest, o czym świadczy chociażby artykuł o Reichu z „Guardiana” z 2021 roku, w którym autorka pisze: „On chciał nas wyzwolić”. Nie tylko z uprzedzeń seksualnych. Dla Reicha „terapia to za mało, polityka to za mało. Tylko seks jest wystarczająco potężną siłą, by przekształcić społeczeństwo”. Ojciec wyzwolenia Wilhelm Reich, czytający Marksa seksualny Che Guevara.

I tu się zatrzymajmy. Reich z całą pewnością kogoś wyzwolił – siebie z oków moralności. Miał romans z niemal każdą pacjentką, a jedną z pierwszych właściwie zabił, dokonując na niej nieudanej aborcji własnego dziecka, po której dostała krwotoku i zmarła, co doprowadziło do samobójstwa jej matki. Później tworzył pseudonaukowe teorie, za co został skazany w USA. A jeśli kogoś prawica mogłaby oskarżyć o zachęca-

nie dzieci do masturbacji, to z całą pewnością Reicha, który w 1950 roku założył ośrodek dla dzieci, w którym pięciolatki stawiały nago przed terapeutami, a Reich na podstawie ich ciał tłumaczył, na czym polega „blokady”. Żeby te blokady usunąć, dzieci były dotykane i mocno naciskane, co powodowało silny ból. Ośrodek zamknięto, gdy matka złożyła skargę, że terapeuta Reicha uczył jej pięcioletniego syna masturbacji.

Skąd to uwielbienie dla człowieka, który mógłby być antybohaterem ruchu #MeToo i ludzi tropiących pedofilii? Bo seks nie jest zwyczajnym tematem dla światopoglądowej lewicy. To temat łom, temat bazuka, najsilniejsze narzędzie walki politycznej. A komuś, kto wspiera tę walkę, wybacza się wszystko.

Dla takiej lewicy wolność seksualna jest narzędziem rewolucji, która ma znieść kapitalizm i patriarchy. Nie chodzi tu o prawo, chodzi o władzę. Ktoś zapyta: Gdzie wady? Otóż tam, gdzie rozbuchana seksualność, jak już rozwalili stare hierarchie, nie zechce się odbuchać i uspokoić, a rewolucja seksualna, jak każda rewolucja, zacznie pożerać własne nomen omen dzieci. Bo jeśli wolność i edukacja seksualna są narzędziem walki politycznej, to czy aby na pewno chodzi w nich o dbałość o dobro dziecka?

Czy dba o to dobro postępową, zasłużoną gazetą publikującą co jakiś czas teksty o kobietach, które zdradziły mężów i „nie żałują”, ale „cieszą się tym”? Te historie nie dotyczą wyrwania się z patologii patriarchy. W tych tekstach nie mówi się zazwyczaj nic o dzieciach. Czy jest im najlepiej w rodzinie, która rozpadła się z powodu zdrady, której się nie żałuje i którą można się cieszyć?

Albo ten świetny żart: „Jezus widzi, co robisz rączkami pod koldrą”. Ha, ha. Bóg, stwórca świata, interesuje się tym, czy się masturbujesz. Idea grzechu powszechnie wyśmiewana w dobie masowego uzależnienia młodych mężczyzn od pornografii i masturbacji już śmieszna nie jest.

Bo nagle to zło, które piętnuje ta niby-śmieszna religijna norma, przynosi swój zgony plon: coraz więcej wolnych seksualnie młodych ludzi nie umie budować normalnej relacji bliskości, a męskie wyobrażenie na temat kobiet kształtowane przez

pornografię samo w sobie jest krytykowane przez lewicę. To dla niej typowe – ma świetne idee, tylko rzeczywistość je psuje.

Lewica nie bierze odpowiedzialności za skutki wykorzystania seksualności człowieka do celów politycznych. Za każdym razem, gdy jej teorie wprowadzone w życie powodują mniejszy lub większy armagedon, krzyczy: to nie idea jest zła, ale jej wdrożenie. Powiesz, że marksizm zabił miliony ludzi, powiedzą, że to nie marksizm, tylko komunizm. To nie programowe uwolnienie seksu spod reżimu norm powoduje kryzys seksualności wśród młodzieży. To kapitalizm, bo czyni z seksu towar. Ale czy czasami ta kapitalistyczna konsumpcja seksu nie stała się możliwa, bo ktoś to ciało i ten seks na agorę wystawił? A teraz ubolewa, że wszyscy nim kupczą.

Lewica lubi demontować systemy, których złożoności nie rozumie. Kiedy jednak demontaż wymyka się spod kontroli, a system upada, wtedy, jak każdy polityczny narcyz, zwała winę na innego. Zachowuje się jak Mao Zedong, który rozpętał kiedyś wojnę przeciwko wróblom. Wybił je, bo uznawał za szkodliwe, i doprowadził do jeszcze większej szkody – bez wróbli rozmnożyły się insekty, zeżarły więcej ziarna niż wróble i zapanował wielki głód.

Tak jak Chińczycy walili chochlami w garnki, żeby wróble straszyc i zmuszac je do tak długiego latania, aż padały, tak lewica długo tłuła w polityczne garnki, żeby pogonić seksualne normy, poczucie wstydu i inne „zabobony”. A potem się okazało, że to nie było zbyt mądre i że sprawa całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Z takimi wrogami jak lewica prawica nie potrzebuje przyjaciół. Przecież to polityczny samograj. Cokolwiek lewi zaproponują w sprawie edukacji seksualnej, już się prawi zbierają na placu Zamkowym i zawodzą: że to już koniec, że się ośmiolatki w Licheniu pod pomnikiem Jana Pawła II będą się masturbować, a jak dorosną, to będą chciały zalegalizowania związków partnerskich z seksualnymi lalkami.

Prawica jest jak Niemcy atakujący Głogów – zawsze ma dzieci na swoich politycznych maszynach obłączniczych. Najmniejsza zmiana w naszych normach zagraża tym najmniejszym – tak też mówiła, gdy znoszone segregację rasową. Ale ponieważ do jednego worka prawica wrzuca sprzeciw wobec rewolucji seksualnej jako gry politycznej i strefy wolne od LGBT, łatwo ich zlekceważyć. Ot, prawicowe oszology, faszysti i kibole. Ale to, że krytykują cię idioci, nie oznacza, że jesteś mądry.

Grzechem lewicy jest naiwna wiara, że potężny instynkt seksualny najpierw obali kapitalizm i patriarchy, a potem się uspokoi i już niszczycielski nie będzie. To ta sama wiara, która przyświeca wypalaczom łąk, którzy potem są zdziwieni, że spłonęła nie tylko trawa, ale także sąsiedni las.

Z kolei grzechem prawicy jest panika moralna, która prowadzi do strategii strusia – może ten seks i związane z nim problemy znikną, jeśli się nie będzie o nich mówić? Krzyczą: „Edukacja tak, deprawacja nie”. Ale jaka ma być ta edukacja? Ma polegać na milczeniu? Na oddaniu sprawy w ręce rodziców, którzy będą wstydić się nawet rozmawiać o pszczołkach zapylających kwiatki? Jest prawica jak ten osilek z internetowego filmu, który zapytany, co ma być na tej prawicowej edukacji seksualnej, najpierw długo myśli, bo właściwie wszystko, co miałoby być, jest bezbożne, a na końcu mówi „Alkohol. No bo on chyba pomaga w tych sprawach”.

To strategia pani Dulskiej – zamieść pod dywan, jakoś to będzie. I podobnie jak lewica, prawica cierpi tu na polityczny narcyzm. Bo jak jakoś nie będzie, jak się zdarzy stoletnia cięża z braku wiedzy, to winni będą inni – pewnie feministki i postmarksści. I tak każdy wydziera się emocjonalnie jak tylko potrafi, a jak się mleko rozleje, oskarży się kapitalizm albo freudomarksizm. Tylko nie ich.

To nie programowe uwolnienie seksu spod reżimu norm powoduje kryzys seksualności wśród młodzieży. To kapitalizm, bo czyni z seksu towar. Ale czy ta kapitalistyczna konsumpcja seksu nie stała się możliwa, bo ktoś to ciało i ten seks na agorę wystawił?

A przecież są zbalansowane podejścia do seksualności. Prawicowa skrajność jednak każdą zbalansowaną ideę zepsuje. Popatrzmy na te idee i to, jak prawicowi harcownicy je wypaczają.

a) Seksualności nie da się sprowadzić do biologii i hedonizmu.

Seks to nie tylko biologia, on ma także wymiar emocjonalny, a nawet duchowy. To żaden wymysł prawicy – już religie Wschodu o tym mówiły. W ujęciu prawicowym jednak ta teza mutuje – w zadziwiający sposób seks w jej narracji staje się tożsamy z hedonizmem i rozpasaniem. Zamiast podkreślać tę jedność ducha i ciała, zamiast głosić wartość seksu jako narzędzia, które pozwala budować głębokie międzyludzkie relacje, prawica sama redukuje seks do grzechu. A potem nim straszy.

b) Niekontrolowana seksualność dehumanizuje i niszczy więzi.

Seksualność to dużo więcej niż wymiana biologicznych impulsów. Jeśli ich nie kontrolujesz, nie zbudujesz stabilnego związku, co zagraża małżeństwu i rodzinie. Oczywiście. Ale daleko stąd do twierdzenia, że edukacja seksualna zagraża więziom rodzinnym. Wszak uczenie gotowania nie musi prowadzić do chorobliwej otyłości. Ale prawica polityczna musi od razu wyrzucić z kultury inne wizje rodziny niż tradycyjna. „Nie ma miejsca w naszej kulturze na LGBT – mówią politycy Konfederacji. – Albo będą związki partnerskie, albo rodzina”. Dlaczego w głowie populisty nie ma miejsca na rozwiązanie pośrednie? Zwoje mu się przepalają, jak oprócz tych dwóch skrajnych stanowisk pomyśli o trzecim, pośrednim? Zbroja husarza mu mięknie, gdy zaczyna myśleć niuansem?

To już koniec, ośmiolatki w Licheniu pod pomnikiem Jana Pawła II będą się masturbować, a jak dorosną, to będą chciały zalegalizowania związków partnerskich z seksualnymi lalkami. Prawica jest jak Niemcy atakujący Głogów – zawsze ma dzieci na swoich politycznych maszynach obłączniczych

c) Seksualność staje się towarem.

Gdy seks z sypialni wychodzi na światło dzienne, zamiast wyzwalać, może zniewalać: bo komercjalizuje i uprzedmiotawia ludzkie ciało. Przemysł pornograficzny redukuje seksualność do towaru, niszczy jej intymny, ludzki wymiar. Zamiast do głębokiego zaangażowania prowadzi do kultury tymczasowości. Promuje powierzchowne relacje i konsumpcję seksualną. Ta idea w ujęciu politycznej prawicy to hipokryzja. Z jednej strony pielgrzymki i egzorcyzmy wypędzające demona edukacji seksualnej, z drugiej pełna wolność działalności gospodarczej: brak granic dla kapitalistycznego wykorzystania seksu.

d) Seksualność upubliczniona niszczy poczucie wstydu.

Wstyd nie musi być czymś złym, bo chroni intymność i godność człowieka. Brak zahamowań niszczy tę ochronę, co prowadzi do publicznej eksploatacji seksualności. Ale wstyd jest zwalczany przez lewicę – według bell hooks „jest narzędziem opresji, sposobem uciszania i kontrolowania kobiet”. Prawicowa skrajność rozumie wstyd jako przymus tabu. Wstyd przestaje być bezpiecznikiem, staje się kneblem – zatyka usta, pozwala sprawom toczyć się tak, jak się potoczą. A one bez rozmowy i edukacji potoczą się źle.

Wprawdzie dzisiaj mało kto odważy się już powiedzieć, że o seksie trzeba milczeć, ale są bardziej wyrafinowane metody. Na przykład krytyka tego, że edukacja zdrowotna ma być obowiązkowa. „Zostawmy to rodzicom – mówią krytycy – konstytucja gwarantuje im prawo wychowania zgodnie ze swoimi wartościami”. Jak daleko sięga ta teza – czy rodzice płaskoziemcy mogą kwestionować obowiązkowe lekcje geografii? Katolicy kreacjoniści lekcje biologii, na których omawia się teorię ewolucji? Prze-

cież tu chodzi właśnie o to, żeby wszystkie dzieci w szkole otrzymywały sprawdzoną, przedyskutowaną publicznie wiedzę, a nie jej ideologiczne skrzywienia, które znajdują przypadkiem w internecie.

Jest możliwa sensowna, centrowa edukacja seksualna. Można mówić o seksie, nie twierdząc, że to tylko kwestia biologii czy popędów, ale pokazując, jak jest zakorzeniony w ludzkich emocjach, duchowości i relacjach. Można nie traktować go jak tabu, ale jednocześnie pochyłać się nad moralnym znaczeniem seksualności. Być otwartym na ludzką seksualność, ucząc jednocześnie szacunku dla granic, intymności oraz znaczenia duchowego relacji seksualnych. Ale nie w ogniu politycznej walki.

Spór lewicy i prawicy to spór o wizję człowieka. O to, czy rację miał Rousseau, że kiedyś byliśmy dobrymi dzikusami, ale potem przyszła cywilizacja ze swoimi normami i nas zepsuła. Żeby powrócić do tego idealnego stanu, musimy odkryć nasze instynkty i te normy odrzucić. Czy może jednak Hobbes, który twierdził, że w stanie natury człowiek jest zły i brutalny, a jedynym lekarstwem na to są normy stanowione przez silne państwo.

Czy ktoś jeszcze podtrzymuje naiwną teorię Rousseau? Oczywiście lewica zakrzyknie, że nie – kto by walczył z potrzebą uczenia dzieci norm. Ale w podejściu do seksu nadal ten dobry dzikus w tle jest. I założenie, że trzeba go uwolnić.

Ale podejście oparte na Hobbesie także nie zdaje egzaminu. Nie ma w nim miejsca na autentyczną wolność tych, którzy są homoseksualni, transseksualni, niebinarni. Państwo prawicy ich nie widzi, nie mają prawa o sobie usłyszeć w szkole, nie istnieją, jakby byli nierealni. Ale ich cierpienie wynikające z tego, że swojej tożsamości nie mogą wyrazić, jest prawdziwe. Prawica każe im jednak milczeć. Dla dobra dzieci. Czy także tych, które z powodu tego cierpienia w końcu się zabijają?

Gdy lewica mówi: religia jest jak penis, warto go mieć, ale nie trzeba się z nim obnosić, prawica się oburza. Nie pozwala zatkać ust identyfikacji religijnej. Ale ta sama prawica to samo mówi o tożsamości seksualnej – osoby homoseksualne mają „nie epatować”, mają zablokować swoją ekspresję, mają być homoseksualne w domu. Każda ze stron jest ślepa na jedno oko.

Dla lewicy wyzwolenie seksualne to narzędzie rewolucji. To wizja, która doprowadzona do końca, nie wytrzymuje krytyki – bo czym jest pełne wyzwolenie seksualne? Czym się różni od wizji z „Nowego wspaniałego świata” Huxleya, w którym „każdy jest dla każdego”?

Prawica sensowną ideę, że ludzkie instynkty trzeba socjalizować, wypacza. Racjonalny pomysł, że gdy podążamy za instynktami agresji i seksu, kończy się to katastrofą, doprowadza do karykatury, w której każdy odruch seksualny człowieka jest podejrzany i powinien być potępiony (oczywiście z wyjątkiem odruchu księdza wobec ministranta, bo potępienie go to zwyczajny atak na wiarę i Kościół).

I lewica, i prawica są na punkcie seksu w pewnym sensie zboczone, bo nie potrafią podejść do niego zdrowo. Tak się nie da rozmawiać. I nie tylko o edukacji seksualnej, ale w ogóle o czymkolwiek ważnym – populizm z lewej i prawej, emocjonalne oskarżenia albo o zboczenie, albo o chodzenie na pasku biskupów. A to wszystko podlane strachem – że albo będzie taliban, albo Gomora, albo piekło kobiet, albo piekło dzieci.

Czy umiemy jako społeczeństwo napisać o sobie historię zbalansowaną, jednocześnie inną niż „Nowy wspaniały świat” i „Opowieści podręcznej”? Czy jest jakaś wizja pomiędzy? Jest, a przynajmniej może być, jeśli ją w dialogu wypracujemy. Ale jeśli to polityczne wariactwo będzie trwać, żadnego dialogu ani żadnej zbalansowanej wizji nie będzie. ●

Włosi wydali już 40 tysięcy euro na pływanie tam i z powrotem z uchodźcami, ale Giorgia Meloni nie podda się

Anna Mikulska



ALBANIA CZĘKA NA MIGRANTÓW

W aly, czarny kot nie miał pojęcia, że jednym skokiem, w ułamku sekundy, uciekł z Włoch do Albanii. – Teraz nie mam jak mu pomóc, nie mogę tam wejść, bo to już nie są Włochy – mówi funkcjonariusz Polizia di Stato i pokazuje na stary drut kolczasty, który oddziela centrum recepcyjne dla migrantów w porcie w Shëngjin od prywatnego terenu jakiegoś albańskiego przedsiębiorcy. Formalnie ja, policjant i kot cały czas jesteśmy w Albanii. Ale centrum, otoczone wysokim, stalowym murem, powstało za włoskie pieniądze i jest pod włoską kontrolą. Więc to fragment Włoch na albańskiej ziemi, do którego wysyłani mają być migranci z Afryki czy Azji, ubiegający się o ochronę międzynarodową. Na małego kota czekała reszta kociej rodziny. Nie udało nam się do niego dostać, ale nie było to ko-

nieczne. Kilkanaście minut później był już razem z mamą. Granice to dla kotów to żadna przeszkoda.

Centrum otwarto 11 października br. Kilka blaszanych kontenerów mieszkalnych i jasnozielona podłoga – tyle udaje mi się dostrzec zza ogrodzenia, bo chociaż o pozwolenie na wstęp na teren ośrodka wystąpiliśmy miesiąc wcześniej, to władze w Rzymie nie kwapiły się, żeby nam go udzielić. Podobno mają zbyt wiele takich prośb. Centrum w Shëngjin to tylko przystanek – tutaj mają się odbywać wywiad medyczny i weryfikacja podstawowych informacji. Pół godziny drogi dalej, tuż przy niewielkiej wsi Gjadër, stanął drugi ośrodek. To już ten właściwy, który ma pomieścić do trzech tysięcy migrantów i gdzie mają czekać na rozpatrzenie wniosków o ochronę. Wygląda podobnie – wysokie ogrodzenie, kontenery, a do tego kilku karabinierów, którzy na chwilę wychylają się do nas zza bramy, gdy dzwoniemy domofonem. Władze w Rzymie wykładają niemałe pieniądze. Na prowadzenie ośrodków przez kolejnych pięć lat

Albania ma otrzymać – według różnych szacunków – od 600 mln do miliarda euro. Ośrodki powstały z inicjatywy premier Giorgia Meloni, liderki altprawicowych Braci Włoskich, która przekonuje, że w ten sposób uda się odciążyć krajowe centra recepcyjne, do których każdego roku docierają dziesiątki tysięcy osób płynących przez Morze Śródziemne. Plan zakłada więc outsourcing procedur azylowych. Osoby próbujące dostać się do Włoch będą przechwytywane przez włoską straż przybrzeżną na otwartym morzu, a po pobieżnym wywiadzie (narodowość, stan zdrowia, wiek, płeć) dzielone: jedni zostaną przetransportowani na włoską ziemię, inni do włoskich ośrodków w Albanii. Jeśli okaże się, że mają prawo do ochrony, zostaną relokowani do Włoch, już jako uchodźcy. Jeśli nie – deportacja do kraju pochodzenia. Tyle teoria. Bo 24 osoby, które od października trafiły do Shëngjin, zawrócono do Włoch w ekspresowym tempie. Pierwsza grupa liczyła 16 mężczyzn z Bangladeszu i Egiptu, druga – 8 Banglijczyków i Egipcjan. Żaden nie został w Albanii dłużej niż trzy



dni. Już na miejscu niektórzy okazali się niepełnoletni, u innych stwierdzono problemy zdrowotne – tych od razu wykluczono z pobytu w albańskim ośrodku.

Mogą tam trafić tylko osoby dorosłe, w dobrej kondycji i pochodzące z tzw. bezpiecznych krajów, a wszystko to weryfikuje Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji – tłumaczy nam osoba blisko związana z włoską ambasadą w Tiranie. Brzmi prosto, ale proste nie jest. 18 października, już po pierwszym transporcie migrantów, sąd w Rzymie uznał, że plan Meloni jest niezgodny z prawem międzynarodowym. Powołał się na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE, zgodnie z którym nie można odsyłać cudzoziemców do kraju pochodzenia, jeśli kraj ten nie jest uznany za bezpieczny – a takim statusem nie mogą się pochwalić ani Egipt, ani Bangladesz. Tymczasem Meloni ma własną listę państw bezpiecznych, znacznie dłuższą niż ta, którą uznaje europejski trybunał. I właśnie tu leży sedno problemu.

Kwestia uznania krajów bezpiecznych jest o tyle istotna, że procedury o ochronę w albańskim ośrodku miały być rozpatrywane zaledwie w ciągu 28 dni – znacznie krócej niż w normalnym trybie we Włoszech czy innym unijnym kraju. Obrońcy praw człowieka przekonują, że w całym projekcie chodzi o to, by jak najszybciej odesłać ludzi tam, skąd przybyli – bez należytego rozpatrzenia powodów, dla których wyjechali. Sądowo-rządowa przepychanka trwa więc w najlepsze, a ośrodki stoją puste – nie licząc znudzonych włoskich służb i albańskiego personelu sprząającego.

Widok na błękitne morze z portu w Shëngjin przesłaniają stare, porzucone statki i ciężarówka, która wywozi ostatnie partie gruzu po budowie ośrodka recepcyjnego. Kiedyś port

• **Ośrodek dla migrantów w Gajder w Albanii podlega włoskiej jurysdykcji. To dawna baza Albańskich Sił Powietrznych, którą Włosi wyremontowali. Składa się z trzech części: ośrodka zatrzymań (880 miejsc), ośrodka repatriacyjnego (144 miejsca) i więzienia (20 miejsc).**

FOT. DIEGO RAVIER / HANS LUCAS / AFP

ka dni, kończy się moja 20-dniowa zmiana, pewnie przyślą kogoś – mówi włoski policjant, którego poznajemy w porcie. Nie ma jeszcze południa, siedzi na plastikowym krześle przed niewielkim barem, w środku dwóch mężczyzn popija zimne piwo.

Razem z nim jest kilku innych i jedna kobieta, wszyscy w cywilu. Kilka minut wcześniej widzieliśmy ich, jak wychodzą zza bramy ośrodka. Gdy zaczęliśmy zadawać pytania, część towarzystwa się rozeszła. Ale on sprawia wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. – Nie zgłaszałem się tutaj, zostałem przypisany. Nie powiem, czy to dobrze, czy źle, po prostu taka zapadła decyzja – mówi patrząc na nas zza ciemnych okularów.

– Pewnie za to stawki są wyższe niż za służbę w kraju? – dopytujemy.

– To zależy, gdzie służyło się wcześniej. Ja mogę wychodzić na tym trochę lepiej, ktoś inny niekoniecznie. A praca? Teraz to głównie papierkowa robota, bo nie mamy żadnych migrantów. W zasadzie nie ma sensu, żebym tu był. Zaraz wracam, bo uznano, że bardziej przydam się w kraju.

Do Włoch wróciły już dziesiątki funkcjonariuszy i pracowników socjalnych. Nie wiemy, ile kosztuje ich wyprawa i odprawa. Za to nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że przewożenie cudzoziemców statkami w tę i z powrotem kosztowało władze w Rzymie już 40 tys. euro.

Na odchodne pytamy policjantów, czy słyszeli o Trattorii Meloni, otworzonej kilka miesięcy temu niedaleko portu. Znają, czasem nawet się tam stołują. – Całkiem niezłe jedzenie – mówią, po czym znikają za kilkumetrową bramą.

Restauracja powstała już po wybudowaniu włoskiego ośrodka. Obok nazwy na szyldzie są jeszcze trzy, dosyć niekorzystne, zdjęcia Giorgii Meloni, przycięte w kontur melona. W środku ponad 80 portretów włoskiej premier – niektóre poważne, inne komiczne, jeszcze inne z okresu dzieciństwa i młodości. W tle leżą zapętlone włoskie przeboje i partyzancka „Bella Ciao”.

Wśród obrazów jeden się wyróżnia. Widać na nim premiera Edi Ramę z Socjalistycznej Partii Albanii, obejmującego i całującego w policzek ubraną w żółty kostium Meloni. Ta scena faktycznie miała miejsce podczas jednej z wielu wizyt szefowej rządu.



• FOT. REUTERS/FLORION GOGA/FILE PHOTO

służył albańskiej marynarce wojennej, dziś obsługuje głównie jednostki towarowe.

W październiku okręty pojawiły się w Shëngjin ponownie – tym razem włoskie, transportujące migrantów. Na nagraniach agencji prasowych widzimy grupę śniadych mężczyzn prowadzonych przez kilku funkcjonariuszy. Towarzyszył im tłum dziennikarzy relacjonujących wydarzenie, które okazało się precedensem w tworzeniu nowej polityki migracyjnej Unii Europejskiej.

Dzisiaj jest tu prawie pusto. W budkach z napisami „kontrola graniczna” i „policja” walają się śmieci, a biuro ochrony sprawia wrażenie, jakby stało opuszczone od lat. Na tym tle włoski ośrodek wygląda dziwnie schludnie i nowoczesnie, chociaż do złudzenia przypomina więzienie. – Wyjeżdżam za kil-

• **Migranci z centrum recepcyjnego w porcie Shëngjin, wsiadają na statek włoskiej straży przybrzeżnej. Centrum podlega Włochom, tak jak obóz w Gajder (19.10.2024).**

Nie jest tajemnicą, że Włoszka i Albańczyk są w bardzo dobrych stosunkach. Ale cały czas nie jest jasne, co Albania zyskuje w ramach wspólnego projektu migracyjnego. Prawdopodobnie chodzi o poparcie Włoch w albańskiej akcesji do UE albo o pokazanie, że Albania może się okazać pomocna w zarządzaniu migracjami także dla innych państw Wspólnoty.

– Istnieje przekonanie, że nasz premier wyświadczył Meloni osobistą przysługę, by wzmocnić pozycję w relacjach z włoskim rządem. To nie pierwszy raz, gdy robi coś takiego. Ale dla naszego kraju budowanie czegoś na kształt więzień dla migrantów to tylko psucie wizerunku – przekonuje Agron Gjekmarkaj, poseł opozycyjnej Demokratycznej Partii Albanii.

Spotykamy się w restauracji przy stacji benzynowej w Shëngjin. Siadamy przy stoliku na zewnątrz,

mimo wiatru, od którego grabieją ręce. W sezonie kilkutyśięczne miasto puchnie od turystów, w listopadzie wydaje się wymarłe.

– Ludzie czują, że to wyłącznie propagandowy ruch włoskiej premierki. Jej kraj ma wystarczające możliwości, by przyjąć tych migrantów u siebie. Chodzi tylko o to, by przekonać swoich obywateli, że pozbyła się problemu. A nas najbardziej niepokoi to, jak nasz premier wykorzystuje władzę do własnych interesów – ciągnie poseł.

O planach Meloni i Ramy do czasu ogłoszenia projektu nie wiedział nikt, nawet członkowie partii rządzącej. Nikogo to jednak nie dziwi, bo premier Albanii, który rządzi od 2013 roku, sprawuje niepodzielną władzę w kraju przeżartym korupcją i bezrobociem.

– Jako naród sami byliśmy kiedyś uchodźcami i otrzymaliśmy schronienie, dlatego nie widzę powodu, by nie dawać go osobom uciekającym z Afryki czy Bliskiego Wschodu. Nie możemy jednak zgodzić się na to, by traktowano nas jak kraj, na który wszyscy inni mogą zrzucać swoje problemy – uważa Gjekmarkaj.

– A co, jeśli nic z tego projektu nie wyjdzie? – dopytujemy.

– Albania nic nie straci, ale Włochy utopia mnóstwo pieniędzy. Dlatego tym ośrodkom sprzeciwia się włoska opozycja.

Sprzeciwia się im też albańska Partia Demokratyczna, która skierowała projekt do Trybunału Konstytucyjnego. Ten jednak nie dopatrzył się sprzeczności z albańskim prawem. Orzeczenie jednak opozycji nie przekonuje.

– Trybunał zadecydował tak tylko dlatego, że jest kontrolowany przez rząd – mówi Gjekmarkaj. Jedyny plus, jaki poseł widzi w tym projekcie, to zysk właścicieli dwóch hoteli w Shëngjin, w których nocują włoscy funkcjonariusze. Zaznacza jednak, że to biznesmeni trzymający się blisko władzy.

Większość mieszkańców portowego miasta o centrum recepcyjnym albo nie chce rozmawiać, albo żadnego pożytku dla siebie w nim nie widzi. Tylko grupka mężczyzn w wieku 20-40 lat próbuje nas przekonać, że wraz z napływem funkcjonariuszy zwiększą się dochody lokalnej społeczności, zwłaszcza poza sezonem.

Spotykamy ich tuż przed wejściem do Trattorii Meloni. Jej właściciel, Gjergj Luca, na Instagramie dedykował restaurację „wspaniałej kobiecie, która skonsolidowała przyjaźń włosko-albańską”. Nie wiadomo jednak, czy uwielbienie dla polityczki wynika ze szczerego serca biznesmena – który oprócz restauracji prowadzi dochodowe zakłady przetwórstwa ryb – czy z jego głębokiej i oplacalnej przyjaźni z premierem Ramą.

Nad ranem wyjeżdżamy do Gjadër, wsi zamieszkiwanej przez około 700 osób, która od kilku miesięcy pojawia się w międzynarodowych mediach z powodu szarych, podłużnych kontenerów ustawionych w rzędach za stałowym ogrodzeniem.

Drugi ośrodek znajduje się kilka minut drogi od samego Gjadër. Otoczony rozległymi polami i górami, tuż przy jedynej drodze w okolicy. Wejścia pilnuje dwóch albańskich funkcjonariuszy, w środku stoi kilku włoskich policjantów i karabinierów. Strzegą pustych pomieszczeń. Idziemy wzdłuż ogrodzenia, kierując się odgłosami piły mechanicznej.

– Zabrali moją ziemię – 69-letni Gjeto Maçi, emerytowany leśnik, który ścina niewielkie drzewa tuż obok ośrodka, od razu przechodzi do rzeczy.

„Oni”, czyli albański rząd. Po upadku komunizmu, mimo orzeczeń sądowych na ich korzyść, wielu Albańczyków nigdy nie odzyskało terenów utraconych dekady temu. Część dawnej działki Gjeto jest więc dziś obszarem wojskowym, obecnie oddanym pod włoski zarząd. – Co niby mam zrobić? Nie mamy władzy, która by nas wysłuchała! – śmieje się, pocierając złoty sygnet z dwugłowym orłem, herbem Alba-

nii. To prezent od jego dwóch córek, które od kilku lat mieszkają w Stanach Zjednoczonych.

Ponad 40 proc. z blisko 5 mln obywateli Albanii pracuje za granicą, z czego najwięcej, prawie 400 tys. osób, we Włoszech. To druga, po Rumunach, najliczniejsza mniejszość narodowa w Italii.

– Tylko dzięki córkom mogę przeżyć. Moja emerytura wynosi 10 tys. lek [około 100 euro], to nie wystarcza nawet na rachunki. Państwo ciągle nas okrada, gdybym tylko miał broń, wystrzelałbym ich! – znów się śmieje i klepie nas po plecach. Naszej rozmowie przysłuchuje się albański strażnik, ale Gjeto się tym nie przejmuje. – Przeżyłem komunizm, już nie mam czego się bać – kwituje.

Dzieci pracujące za granicą to głównie źródło utrzymania większości mieszkańców Gjadër. Niemal wszyscy, których spotykamy, to emeryci.

Gdy dojeżdżamy około południa, kobiety właśnie idą na mszę do niewielkiego kościoła, kilku mężczyzn pije kawę lub piwo w jedynym czynnym barze, ktoś pali papierosa na ławce. Przez wieś prowadzi wąska ulica, przy niej dwa sklepy spożywcze. Kawałek dalej sierociniec prowadzony przez siostry zakonne.

**Mimo że w ośrodku
nic się nie dzieje,
Hana nie straciła stanowiska
– puste pokoje trzeba przecież
utrzymać w czystości.
Pensja – 400 euro
– jest jak na Albanii wysoka
i rekompensuje niewielką
emeryturę
byłej traktorzystki.
– Niektórzy mają już
podpisane umowy,
jako pomoc do sprzątnięcia
czy kucharze
– mówi**

Przed jednym z domów starsza kobieta, Hana, zbiera pomarańcze z drzewa. – Weźcie, serce mi pęknie, jeśli zgniją – mówi i napelnia nam plecak kilkoma kilogramami owoców. Mieszka tu sama, czwórka jej dzieci pracuje za granicą – dwójka we Włoszech, dwójka w Grecji.

Hana jest jedną z dwóch kobiet we wsi, które dostały pracę w ośrodku jako sprzątaczkę zatrudnioną przez albańską firmę. – Przywieźli ludzi dwa razy, na krótko. Ale oni nie wyglądali jak uchodźcy, raczej jak więźniowie. Warunki są za to bardzo dobre, jeśli mieliby nas samych tam przemieścić, to nie byłoby źle – relacjonuje.

Mówi, że cudzoziemców wprowadzono do środka w kajdankach, chociaż nie udało nam się potwierdzić tej informacji w żadnym innym źródle.

Mimo że w ośrodku nic się nie dzieje, Hana nie straciła stanowiska – puste pokoje trzeba przecież utrzymać w czystości. Pensja – 400 euro – jest jak na Albanii wysoka i rekompensuje niewielką emeryturę byłej traktorzystki. – Wieś czeka na migrantów. Niektórzy mają już podpisane umowy, jako pomoc do sprzątnięcia czy kucharze – mówi.

Na początku mieszkańcy Gjadër nie byli nastawieni optymistycznie. Z nimi też nikt projektu nie konsultował, nie wyjaśnił, jak ośrodek będzie działał. Niektórzy bali się, że cudzoziemcy mogą być niebezpieczni. – Zebrałiśmy się i powiedziałem im: zapytajcie swoich dzieci

żyjących za granicą, czy boją się pracować z obcymi – mówi sołtys Aleksander Preka. Szczyci się, że udało mu się przekonać mieszkańców wsi do włosko-albańskiego planu. Siadamy przy ogrodowym stoliku zamkniętej kawiarni, tuż obok jednego z dwóch sklepów.

Preka jest pewien, że gdyby to od niego zależało, migranci nie byłiby zamknięci za wysokim murem ośrodka. – To przecież nie są kryminaliści, tylko osoby, które uciekają przed zagrożeniem.

Ale potem, z każdą kolejną odpowiedzią, coraz bardziej się wikła. Bo jak tu opowiadać się za projektem, który izoluje i przyspiesza deportację migrantów, a jednocześnie utrzymywać, że każdy ma prawo migrować w poszukiwaniu bezpieczeństwa? Dowiadujemy się za to, że Włochy obiecały rozwój lokalnej infrastruktury. – Ambasador obiecał, że Gjadër będzie wyglądać tak jak najlepsze wsie w jego kraju – mówi.

Na razie skończyło się na obietnicach. W niedzielę o 15:00 na ulicy, poza nami i kilkoma szwendającymi się psami, nie ma żywej duszy. Na ruinach pojedynczych, starych budynków nadal widać resztki namalowanych sloganów z okresu komunistycznej autarkii. W opuszczonej sali bilardowej walają się puszki po piwie i butelki.

Gjadër wydłubia się tak jak cała Albania. Od 2011 do 2024 roku populacja kraju zmniejszyła się o 14 proc. W tym samym okresie liczba mieszkańców Polski spadła o 2 proc. Wyjeżdżają głównie młodzi. Rzecz jasna za pracę.

Niektórzy Albańczycy próbują się ubiegać o ochronę międzynarodową w Wielkiej Brytanii, chociaż większości nie grozi niebezpieczeństwo, tylko brak przyszłości. – Pod tym względem sami jesteśmy Afryką Europy – powie nam później Redi Muçi, aktywista i założyciel niewielkiej lewicowej partii Ruch Razem.

Z Mućim spotykamy się w Tiranie, w modnej kawiarni w ścisłym centrum miasta, na placu Skanderbega, albańskiego bohatera narodowego walczącego z Turkami w XV wieku. Wybetonowaną przestrzeń otacza osiem wieżowców – każdy w kompletnie innym stylu, z mieszkaniami w cenach nieosiągalnych dla większości obywateli. Budynki stoją puste, zupełnie jak te dla migrantów w Shëngjin i Gjadër.

– Od początku nasze stanowisko było jasne – to wstyd dla Albanii, która sama jest krajem emigrantów. Co zabawne, nasz premier używa tego samego argumentu, by poprzeć ten pomysł. Mówi: „Sami wyjeżdżamy do innych państw, dlatego powinniśmy przyjmować migrantów u nas”. Ale zamykanie ich w quasi-więzieniach nie ma nic wspólnego z integracją cudzoziemców w społeczeństwie – oburza się i podnosi głos, by przebić się przez głośną muzykę i rozmowy przy stolikach.

Dla Rediego outsourcingowy plan Meloni jest chybiony jeszcze z innego powodu. – Wiele państw, z których pochodzą migranci, nie chce przyjmować z powrotem deportowanych obywateli. Jeśli więc nie otrzymają statusu uchodźcy, to po prostu wyjdą z ośrodka i ostatecznie wyjadą do Włoch czy Niemiec, gdziekolwiek zechcą. Tym bardziej nie widzę sensu w zamykaniu ich tutaj.

Rzeczywiście, nawet jeśli TSUE i Włochy ustaliłyby wspólną listę państw bezpiecznych, do których można odsyłać osoby, którym nie przyznano ochrony, to pozostaje pytanie, czy władze tych krajów zechcą przy deportacji współpracować.

Istnieje też wiele innych czynników, na przykład brak dokumentów potwierdzających tożsamość, które uniemożliwiają zorganizowanie powrotu do ojczyzny. Co więcej, Włochy nie mają umów repatriacyjnych z wieloma państwami imigranckimi. Dlatego w 2022 roku odesłały jedynie 3916 przybyszów.

I dlatego tak naprawdę rząd premier Meloni mimo wstępnej porażki, zamierza

otwierać nowe ośrodki detencyjne [ośrodki strzeżone o więziennym charakterze]– żeby uniemożliwić swobodne poruszanie się migrantom przez chwilę, na parę miesięcy, może rok. To trochę jak wyrok, który po prostu trzeba odsiedzieć, zanim zaczniesz nowe życie.

Co na to wszystko prawa człowieka? Z Eridą Skendaj z albańskiego Komitetu Helsińskiego spotykamy się w siedzibie organizacji w jednej z kamienic niedaleko centrum Tirany. Gdy pada pytanie o włoskie ośrodki, prawniczka odpowiada ciągiem zdań, bez zająknięcia ani cienia wątpliwości. – Po pierwsze, niepokoi nas to, że nie możemy przeprowadzić monitoringu tych obiektów, ponieważ nasz mandat obejmuje jedynie instytucje pod zarządem albańskim. Po drugie, premier Rama prezentował je jako przykład naszej gościnności, tymczasem nie mamy wątpliwości, że to miejsca detencji.

Skendaj podziela też wątpliwości organizacji takich jak Amnesty International. „Osoby znajdujące się w niebezpieczeństwie na morzu będą narażone na długie i niepotrzebne podróże, co stanowi jawne naruszenie włoskiego obowiązku zapewnienia szybkiego zejścia na ląd uratowanych osób w »bezpiecznym miejscu«” – ocenia Amnesty. „Po dotarciu na suchy ląd ludzie będą narażeni na automatyczne, arbitralne i potencjalnie długotrwałe zatrzymanie w Albanii. Chociaż zgodnie z warunkami tego porozumienia osoby te pozostaną pod włoską jurysdykcją, prawdopodobnie ich prawo do ubiegania się o ochronę i sprawiedliwej oceny ich roszczeń zostanie poważnie ograniczone”.

– Włochy chcą wysłać jasny komunikat: jeśli zamierzacie tu przyjechać, to traficie do Albanii, skąd wróćcie do swoich państw – uważa Skendaj. I zauważa, że jeśli Włochy faktycznie zamierzają przyjmować tych, którzy w albańskiej poczekalni dostaną status uchodźcy, to równie dobrze cały proces mógłby się odbywać na włoskiej ziemi. – Rozumiem argument, że Lampedusa nie radzi sobie z dużą liczbą migrantów. Ale Włochy to nie tylko wyspa, mają ogrom przestrzeni. No i wywożenie migrantów do Albanii, a więc poza granicę UE, jest niezgodne z prawem. – Kraje poza Wspólnotą nie zapewniają takiej samej ochrony praw człowieka jak kraje członkowskie.

Mimo to włosko-albański układ nie spotkał się z wyraźną krytyką ze strony UE. Jedyńą przeszkodą pozostaje twarde stanowisko sądu w Rzymie. I choć liberalne media piszą o przyszłości ośrodków w Shëngjin i Gjadër, używając takich słów, jak „fiasco”, „porażka”, „nieudany projekt”, satysfakcja jest przedwczesna.

To flagowy projekt Giorgii Meloni, więc zrobi wszystko, by go uruchomić. – Ten proces już się zaczął i nie ma od niego odwrotu – słyszymy od osoby związanej z włoską ambasadą.

Pytanie, czy śladem Meloni pójdą także inne kraje? Może nie od razu. Ale po tym, jak nowy rząd w Warszawie, zapowiadając nową, restrykcyjną surową strategię migracyjną, wspominał o zawieszeniu prawa do azylu na granicy białoruskiej, przywódcy innych państw Wspólnoty wyrazili pełne poparcie. Na zasadzie: ktoś wrzeszcze głośno powiedział o tym, co wszyscy byśmy chcieli zrobić, może nawet wbrew własnemu światopoglądowi, ale pod presją wyborców, coraz śmielej zerkających ku antyimigranckim pravicowym populistom.

Więc mury Fortu Europa będą coraz wyższe i grubsze, a odmieniane przez przypadki prawa człowieka coraz słabsze i chudsze. ●

Materiał powstał dzięki grantowi Balkan Investigative Reporting Network. Dziękuję za pomoc na miejscu Vladimirowi Karajowi.

REŻYSERIA I SCENOGRAFIA **KRYSTIAN LADA** KIEROWNICTWO MUZYCZNE **LILIANNA KRYCH**

WEILL × BRECHT **MAHAGONNY**

EIN SONGSPIEL



FOTO: NATALIA KABANOW

AFTERPARTY GŁOWICKA × FISZ

KOSTIUMY **TOMASZ ARMADA** REŻYSERIA ŚWIATŁA **ALEKSANDR PROWALIŃSKI** CHOREOGRAFIA **WOJCIECH GRUDZIŃSKI**
DRUGI SCENOGRAF **ŁUKASZ MISZTAŁ** REŻYSERIA DŹWIĘKU **GRZEGORZ BIENKO** DRUGA DYRYGENTKA **JULIA KURZYDLAK** OBSADA **EWA BŁASZCZYK,**
DOMINIK BOBRYK / FILIP KARAŚ, MICHAŁ DEMBIŃSKI, ALBERT MEMETI / JACEK ORNAFA, TOMASZ NOSIŃSKI,
NATALIA RYBICKA / RAMONA REY, MARTA ZIĘBA
THE MAHAGONNY CITY ORCHESTRA

KUP BILET



Sfinansowane przez
Unię Europejską
NextGenerationEU



STUDIO
teatrgaleria



Spektakl współfinansowany przez
Kurt Weill Foundation for Music, Inc., New York, NY

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Ivan Krastev:

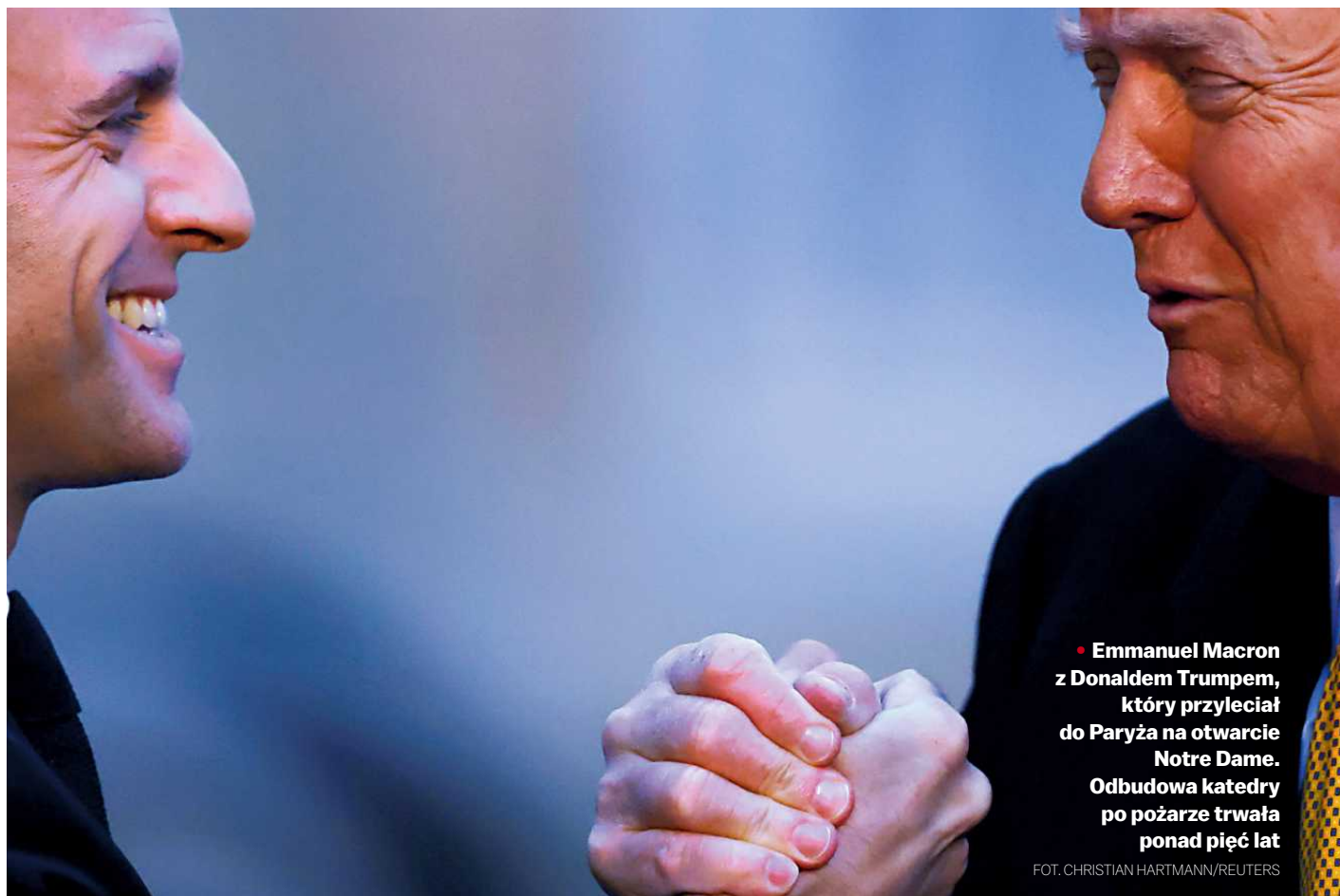
CIERPIMY NA SYNDROM KOŃCA CZASÓW.
TO GROŻNE

– Głębokie pęknięcie polityczne dotyczy dziś całego Zachodu, ale Europy w szczególności. Społeczeństwa pozbawione jasności co do własnej zbiorowej przyszłości doświadczają „syndromu końca czasów”, a to popycha je do skoku w nieznane, czyli ku radykalnym zmianom

– przekonuje politolog Ivan Krastev.

Laure Mandeville

LE FIGARO



• Emmanuel Macron z Donaldem Trumpem, który przyleciał do Paryża na otwarcie Notre Dame. Odbudowa katedry po pożarze trwała ponad pięć lat

FOT. CHRISTIAN HARTMANN/REUTERS

Europa jest uwikłana w wojnę Rosji przeciwko Ukrainie, a zarazem trawi ją coraz głębszy kryzys demokracji przedstawicielskiej. Jak opisałby pan w skrócie ten geopolityczny moment?

– Jako poważny polityczny rozłam. Z tego punktu widzenia jedynym porównywalnym do obecnego doświadczeniem zerwania z przeszłością jest rok 1989, przynajmniej jeśli chodzi o głębokość i zakres zachodzących zmian. Istnieje przy tym zasadnicza różnica, ponieważ wtedy mieliśmy poczucie, że wiemy, dokąd zmierza świat. Było to oczywiście złudzenie, ale jednak mieliśmy poczucie, że nasz pociąg zmierza do jakiejś stacji, a jedynym problemem było to, kiedy tam dotrzemy.

Dziś pociąg jedzie szybko, ale w innym kierunku. Właśnie prędkość zmian wydaje się być tak samo, jeśli nie bardziej, transformująca niż sam ich kierunek. Cokolwiek się dzieje, wydaje się, że jesteśmy pewni, że stanie się to do końca bardzo szybko, tak jakby w naszych głowach wciśnięto przycisk „fast forward”.

Jeśli wrócimy do pożytecznego porównania z rokiem 1989, myślę, że musimy spróbować spojrzeć na sprawy oczami ówczesnych starych komunistycznych elit.

Nie jest to zbyt zachęcające...

– I co gorsza jest to psychologicznie bardzo trudne, ponieważ teraz to nasz świat się rozpada, podobnie jak ich wtedy. Jedną z podstawowych trudności jest zrozumienie, co właściwie się dzieje! A obecnie właściwie wszystko wydaje się niezrozumiałe. Na przykład

wiele osób obserwujących wybory w USA zakończone ponownym sukcesem Donalda Trumpa zadaje sobie pytanie, jak to możliwe, że amerykański miliarder z tak uprzywilejowanego środowiska stał się rzecznikiem antyestablishmentowej rewolucji.

Odpowiadam, że jest to tak samo logiczne, jak fakt, że Borys Jelcyń, przywódca antykomunistycznej rewolucji w Rosji, był członkiem sowieckiego politbiura. Polityczne rozłamy o takiej skali, jak ten obecnie, są zawsze wynikiem niewyobrażalnych dotąd koalicji. Już nie można ich zrozumieć za po-

moć kategorii prawicy i lewicy, ponieważ to, co łączy tego typu koalicje, nie polega na tym, że ich członkowie dzielą tę samą przesłrzeni polityczną, ale na tym, że podzielają intensywność nadchodzącej zmiany.

Wyjaśnia to naturę koalicji, która wybrała Trumpa: z jednej strony mamy tam bardzo tradycjonalistyczne społeczności ewangeliczne, a z drugiej utopijnych technokratów z Doliny Krzemowej, takich jak Elon Musk. Są razem z wybranym przez siebie reprezentantem, ponieważ dzielają poczucie, że żyjemy w rewolucyjnych czasach.

Żyjemy w rewolucyjnych czasach, ale przecież w „koalicji Trumpa” widzimy także silne pragnienie zatrzymania marszu w kierunku, który uważany jest przez konserwatystów za niebezpieczny.

– To prawda, ale interesujące jest to, że uważają oni, że najlepszym sposobem na powstrzymanie upadku wartości jest przyspieszenie rozpadu systemu. Ale jeśli będziemy tu roboczo kontynuować porównanie z rokiem 1989, zastanówmy się: jedyną rzeczą, którą mamy nadal na jego temat w głowach 35 lat później, jest to, że był dla nas przede wszystkim rokiem upadkiem muru berlińskiego, innymi słowy, momentem liberalnym. Tylko że kiedy uważniej spojrzymy wstecz, jasne jest, że rok 1989 był przede wszystkim zmiążdżeniem chińskiej próby osiągnięcia demokracji na placu Tiananmen. To z perspektywy czasu wydaje się coraz donioślejsze.

Wracając do kryzysu demokracji, to Europa znajduje się w najtrudniejszej sytuacji. Ameryka jest liberalnym imperium i pozostanie imperium o wielkiej mocy, ale w Trumpie niesamowite jest to, że udało mu się przeko-

nać większość Amerykanów, iż w ciągu ostatnich 35 lat amerykańskiej dominacji w zglobalizowanym świecie Stany Zjednoczone nie były zwycięzcą, ale przegranym, że nie były hegemoniczną potęgą, ale jedynie zakładnikiem międzynarodowego porządku, który stworzyły. To radykalna zmiana, ponieważ amerykańska wiara w wyjątkowość Ameryki stanowiła fundament ubiegłego wieku.

Myślę, że jesteśmy dziś świadkami faktycznego końca XX wieku z jego paradygmatami, z dwiema wielkimi wojnami i zimną wojną... Dopiero teraz następuje jego koniec, ponieważ to historyczne doświadczenie ubiegłego stulecia po raz pierwszy nie jest już postrzegane jako istotne.

Nie da się ukryć, że to poczucie nieistotności jest coraz intensywniej obecnym i coraz ważniejszym w naszym codziennym życiu...

– Słowa sprawcze XX wieku, słowa, których używaliśmy do mobilizowania ludzi – jak faszyzm czy komunizm – już nie działają. Kiedy amerykańscy Demokraci próbowali użyć słowa „faszyzm” przeciwko Trumpowi, to nie zadziałało, ponieważ jest to teraz tylko kolejne słowo używane do atakowania wrogów i zarazem całkowicie oderwane od pewnego realnego doświadczenia historycznego. Lubimy mówić o instytucjach, ideologiach, nie chcąc dostrzegać, że za tym wszystkim zawsze kryje się konkretne doświadczenie historyczne.

Okres liberalny, którego końca jesteśmy świadkami, został zdefiniowany przez fakt, że w wyniku strasznych wydarzeń w XX wieku wyłoniło się pokolenie, które nauczyło się samoograniczenia, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie.

Coś bardzo interesującego dzieje się w kulturze. Zarówno po prawej, jak i po lewej stronie ludzie zaczęli żyć tak, jakby byli ostatnim pokoleniem. Po lewej stronie z powodu klimatu. A po prawej z powodu demografii. Pierwsi mówią o ostatnim człowieku. Drudzy – o francuskim czy amerykańskim ostatnim człowieku

Doświadczenie wojny, w tym wojny domowej, prawie na całym kontynencie, doprowadziło do przekazania władzy z założenia bezstronnym instytucjom, takim jak banki centralne czy sądy. Potem ten stan rzeczy stał się zwykłym status quo, ale coraz bardziej oderwanym od doświadczeń następnych pokoleń. A te teraz chcą zmian, nie zadając sobie przy tym pytania, jakiego rodzaju mają to być zmiany. Ludzie stali się nagle przekonani, że jakakolwiek zmiana zawsze będzie lepsza niż status quo. Weźmy pierwszą turę wyborów prezydenckich w Rumunii. Ktoś pojawia się znikąd, ale właśnie dlatego, że jest znikąd, jest atrakcyjny.

Europa przeżywa zawrót głowy. Milan Kundera miał piękną definicję zawrotu głowy: dla niego to wcale nie strach przed upadkiem, ale pragnienie skoku, które usiłujemy zwalczyć. Dziś ludzie na całym świecie nagle postanowili jednak skoczyć.

Ale, paradoksalnie, kolejne populistyczne buntury są napędzane potrzebą zakotwiczenia w czymś stabilnym. Ludzie są gotowi do skoku, ale z desperacji.

– Ludzie skaczą ze strachu przed przyszłością, ponieważ przyszłość przestała być realnym projektem do zrealizowania. Po prawej stronie mówi się o tradycjach, ale ma się coraz mniej przekonania, czym on są. Po lewej stronie propozycje są już całkiem niejasne. Przyszłość sprowadza się do prognoz ekonomicznych, demograficznych i klimatycznych. Ilu z nas dożyje starości, ilu nas będzie za sto lat, kiedy woda zaleje wybrzeże, itd. Z powodu tej gęstniejącej mgły ludzie zaczynają obawiać się przyszłości, a zawroty głowy ogarniają zarówno elity, jak i zwykłych obywateli.

Ludzie są wtedy gotowi zaakceptować radykalizm, wierząc, że przecież nie może być gorzej, nawet jeśli w głębi duszy wiedzą, że to nieprawda. Skok w przepaść staje się opcją.

Widać to wyraźnie także na szczytach władzy, choćby po irracjonalnej decyzji prezydenta Macrona o rozwiązaniu parlamentu.

Ludzie panikują. Cała stara polityka oparta na konsensusie odeszła, a wraz z nią przyzwyczajenie przywódców do życia w przytulnym domu. Są teraz na ulicach, zachowują się dziko i to jest brutalne. Europa szczególnie odczuwa ten cios, ponieważ była szczególnie zakotwiczona w normalności, która już nie istnieje. Jest bardzo podobna do człowieka, który spędził życie oglądając telewizję, a kiedy został zaatakowany przez gangsterów w swoim domu, próbował tylko zmienić kanał za pomocą pilota.

Czy rosyjski atak całkowicie nas zaskoczył?

Ten rodzaj apokaliptycznej wizji bardzo mnie martwi. Ponieważ musimy być w stanie uwierzyć, że przyszłość jest otwarta i że my możemy ją zmienić, jeśli demokracja ma działać

– Absolutnie, a nawet skala patriotyzmu Ukraińców, którzy nagle odkryli, że są gotowi umrzeć za swój kraj, okazała się wyzwaniem dla Europy. Ponieważ, jeśli spojrzeć na europejskie przebudzenie, musiało ono zakwestionować wszystkie założenia, na których niby opierało się europejskie bezpieczeństwo. Wierzyliśmy, że współzależność gospodarcza zmniejszy ryzyko. Potem odkryliśmy, że to nie zadziałało z Rosjanami, bo zależność od ich surowców spowodowała zupełny brak bezpieczeństwa. Oczywiście siła ukraińskiego nacjonalizmu jest czymś, co podziwiamy z oddali. Ale zarazem pokazał on przecież słabość naszej idei narodów postheroicznych. Tymczasem kiedy nadchodzi wojna, ktoś musi być gotowy do poświęceń. Wojna w Ukrainie jest z tego punktu widzenia sygnałem alarmowym.

Tak więc odkrywamy na nowo znaczenie narodu politycznego, ale odkrywamy również, że narody są śmiertelne, szczególnie z powodów demograficznych. Większość europejskich narodów jest przekonana, że mogą się już tylko kurczyć. Mają problem z własną tożsamością kulturową. Kiedyś żyliśmy w świecie, w którym jednostki były śmiertelne, a narody trwałe. Wiedzieliśmy, że jeśli zostanie napisana świetna książka, będzie zostana wiecznie. Albo jeśli ktoś zachował się jak bohater, to naród o nim nie zapomni. Teraz już nie możemy być tego pewni – a to wszystko zmienia. W przeszłości, szczególnie z powodów religijnych, były dwie rzeczy, których nikt nie kwestionował: pierwszą była powinność posiadania dzieci, drugą było potępienie samobójstwa. A teraz obie stały się najważniejszymi sprawami, które podlegają debacie.

Obecnie żyjemy w Europie, i na całym świecie, w społeczeństwach, w których współczynnik dzietności jest w większości poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Weźmy szalenie rozwiniętą pod wieloma względami Koreę Południową: jej wskaźnik urodzeń jest tak niski, że grozi jej utrata połowy populacji w ciągu zaledwie 20 lat.

Oczywiście możemy myśleć o korzyściach z większej lub mniejszej populacji, ale rządy zawsze były odpowiedzialne za ukrytą umowę międzypokoleniową, polegającą na wzajemnej opiece. Nie chodzi więc tak bardzo o to, dlaczego ludzie nie chcą mieć dzieci, ale jak ten fakt zmienia nasze wyobrażenie o przyszłości. Czy będziemy np. gotowi ponosić takie same ofiary, jeśli nie będziemy mieć dzieci?

Coś bardzo interesującego dzieje się w kulturze. Zarówno po prawej, jak i po lewej stronie ludzie zaczęli żyć tak, jakby byli ostatnim pokoleniem. Po lewej stronie z powodu klimatu. A po prawej z powodu demografii. Pierwsi mówią o ostatnim człowieku. Drudzy – o francuskim czy amerykańskim ostatnim człowieku.

Ten rodzaj apokaliptycznej wizji bardzo mnie martwi. Ponieważ przyszłość jest bardzo ważną instytucją w naszych demokracjach. Musimy być w stanie uwierzyć, że przyszłość jest otwarta i że my możemy ją zmienić, jeśli demokracja ma działać.

Jakie są szanse Europy, uwięzionej między Ameryką, Rosją i Chinami? Sytuacja nie wygląda zachęcająco – Francja nie ma rządu, a Niemcy pograżyły się w głębokim kryzysie...

– Tradycyjnie uważaliśmy, że zewnętrzne zagrożenie tworzy spójność narodową. Ale to prawda, gdy jest się bezpośrednio atakowanym, jak w Ukrainie. W innych przypadkach jest to trudniejsze. Widzimy, że nawet w Polsce rząd i opozycja, które postrzegają Rosję jako zagrożenie, nie współpracują dzięki temu lepiej. Co więcej, mimo że Komisja Europejska Ursuli von der Leyen zrobiła wiele, aby pomóc Ukrainie, widzieliśmy bardzo ostry podział między tymi krajami unijnymi, które są historycznie rusocentryczne i były przeciwne wojnie, a pozostałymi. Dlatego tak wiele będzie oczywiście zależało w kwestii Ukrainy od Amerykanów.

Paryż również jest gotowy wnieść poważny wkład...

– Prezydent Macron przyznał, że wojna w Ukrainie jest wyzwaniem dla całej Europy. Nie mam wątpliwości, że Francja i Wielka Brytania będą kluczowymi krajami wspierającymi Ukrainę. Możemy też wyobrazić sobie „koalicję chętnych” do wspierania Ukrainy, ze Skandynawami i Europejczykami ze Wschodu. Stanie się to jednak znacznie trudniejsze, jeśli wybuchnie wojna handlowa ze Stanami Zjednoczonymi. Obawiam się bowiem, że w dialogu z Waszyngtonem większość krajów będzie grać kartą wyjątków w odniesieniu do tego czy innego rodzaju produktów.

A to doprowadziłoby do całkowitego rozkładu unijnej polityki wspólnej.

Spójrzmy na prezydenta Macrona, któremu intuicja słusznie podpowiada, że sens ma rozwijanie idei europejskiej suwerenności poprzez stawianie oporu Rosji w Ukrainie, ale także poprzez próbę prowadzenia autonomicznej i zjednoczonej polityki w obliczu Chin i Stanów Zjednoczonych. Problem polega na tym, że gdy ktoś nie jest w stanie skonsolidować swojej władzy w kraju, to to, co mówi za granicą, nie ma już znaczenia.

Alternatywną wizją jest ta opracowana przez Viktora Orbana, który przekonuje, że Zachód stracił przewagę w starciu o Ukrainę, a strategia Węgier nie będzie polegać na tworzeniu atlantyckiego zbliżenia z Trumpem, ale na zachęcaniu do oddzielenia się od Europy w myśl Trumpa. Ponadto Węgry chcą postrzegać siebie jako głównego partnera Chin w UE, a to będzie wymagało zawetowania niektórych ruchów podjętych przez Unię przeciwko Pekinowi.

Te różne, nieraz sprzeczne trendy oznaczają, że dla Europejczyków świat, który się właśnie wykuwa, będzie bardzo trudny.

Europa znajduje się w sytuacji podobnej do imperium Habsburgów w najgorszym okresie: będzie musiała przekonać wszystkich, by bali się upadku Europy. ●



Ivan Krastev

• politolog, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii i wykładowca w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach

programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34349484

Roczna prenumerata

wysokieobcasy
extra

Doskonały
prezent pod
choinkę

ZAMÓW NA PRENUMERATA24.PL

Ludzie uciekają tu od kłopotów, komornika, spapranego życia. I wydaje im się, że zaczną tu wszystko od nowa.

EWA WIELGAT*: O, to tutaj. Widzisz, jeszcze sztuczne kwiaty leżą i krzyż połamany. I poduszka, na której siedział, czarna. Tyle zostało po F.

MICHAŁ OLSZEWSKI: Nie możemy używać nawet imion? Jesteśmy daleko od Polski.

– Nie możemy ani imion, ani miast, z których przyjechali, obowiązuje mnie tajemnica. Możemy natomiast powiedzieć, że w tym amsterdamskim kanałku F., jeden z polskich bezdomnych, rocznik 1953, utopił się w upalny sierpniowy wieczór. I że ta śmierć była jeszcze straszniejsza niż inne, bo akurat czekał na powrót do Polski. Dostał holenderską emeryturę, pracował tu ciężko od 1993 roku aż do wypadku na budowie. Potem tułał się po ulicach i w końcu trafił do nas, pomogliśmy mu stanąć na nogi. Miał wracać lada chwila do

na obrzeżach miasta, pod wiaduktami, w lasach, gdzie wieczorami bezdomni rozkładają namioty. W pustostanach, na barkach.

Chodźmy dalej, pokażę ci nasz ośrodek stabilizacyjny – dawniej był w nim zakład karny dla młodocianych. To jest prawdziwy powód do dumy, wyciągamy ludzi z najcięższych opresji. Mają dach nad głową, opiekę medyczną, jedzenie, ubrania. Dostają szansę od losu.

Mówisz, że kilka schematów da się wyróżnić. W którym mieści się A.? Byliśmy przed chwilą w ośrodku. Zaprosił nas do swojego pokoju i stał na baczność przy łóżku, jakbyśmy byli pracownikami służby więziennej.

– Tak, A. przeszedł przez wiele polskich kryminalów i te zachowania już mu zostaną do końca życia.

I ma pokój, który wcześniej był celą.

– Ale to jednak pokój, a nie cela. Może wychodzić, kiedy chce, jest wolnym człowiekiem.

Jest taka kategoria, którą brzydko nazywam produktem polskiego wymiaru sprawiedliwości. Żeby było jasne – nie zamierzam tu idealizować holenderskiego syste-

SEN O AMSTERDAMIE

Z EWĄ WIELGAT,
PRACOWNICZKĄ SOCJALNĄ
W AMSTERDAMIE ROZMAWIA
MICHAŁ OLSZEWSKI

siebie, na południe Polski, wynająć jakiś pokój na stare lata, stać go było. Cekał tylko na dokumenty.

I co się stało?

– Dostał od opiekuna nakaz opuszczenia ośrodka na kilka godzin za jakieś drobne przewinienie, przyszedł tutaj, nad kanałek, upał był wtedy straszny. Może coś wypił, może się poślizgnął, może poszedł się wysikać, no i wpadł do wody. A wody tu po kolana.

Wystarczyło, żeby się utopić.

To typowa historia polskiego bezdomnego z Amsterdamu?

– Ta jest akurat wyjątkowo tragiczna i absurdalna, jakoś nie mogę jej przeboleć. Powiedziałabym, że są schematy, które różnią się czasami od siebie, a ich mianownikiem jest amsterdamska ulica.

Ilu polskich bezdomnych mieszka w stolicy Holandii?

– Dokładnie nie da się tego policzyć, ale coś wiadomo. W tej chwili liczba bezdomnych w Amsterdamie wynosi ok. 15 tys. Spośród 4 tys. osób, z którymi mieliśmy w tym roku kontakt po raz pierwszy, połowa to Holendrzy, Polaków było 700. Są na drugim miejscu, przed Rumunami i – to nowość – przed Węgrami, których jest coraz więcej.

Zatem gdyby policzyć proporcjonalnie, wyszłoby, że jakieś 20 proc. amsterdamskich bezdomnych to Polacy.

3 tys. ludzi to jak armia.

– Tak, armia, ale taka, która nie rzuca się w oczy, bo policja ją przegania z widoku. Amsterdam jest inny niż Paryż czy Berlin. Tu nawet bezdomność jest dyskretniejsza. Widać ją

mu penitencjarnego, ale polscy wyrokowcy, którzy do nas trafiają, to często obraz mentalnej tragedii. Nie potrafią obsługiwać telefonu komórkowego, karty bankomatowej. Spędzili 15, czasami 20 lat po więzieniach i stracili jakiejkolwiek umiejętności społeczne. Resocjalizacja w Polsce nadal kuleje. Miałam kiedyś klienta, który nie potrafił zrobić zakupów w sklepie z kasą samoobsługową.

Nauczyłaś go?

– Mówił, że nie będzie chodził do sklepów, bo i tak wszyscy od razu widzą w nim złodzieja. Przekonałam go, że Amsterdam to nie Polska, poszliśmy razem, żeby zobaczyć, jak się skanuje produkty. No i przy kasie podeszła do nas ekspedientka z menedżerem, prosząc, żeby rozpiął kurtkę. Zrobiłam awanturę, ale dla niego to było normalne.

Natomiast jeśli chodzi o ludzi po wyrokach: ich droga często prowadzi przez Berlin, gdzie środowisko polskich bezdomnych jest bardzo silne. Jak wychodzisz po wyroku, to więzienne sprawy ciągną się za tobą długo i niektórzy próbują od nich uciec, zaczając od nowa. Wydaje się im, że wyjazd za granicę będzie dobrym rozwiązaniem, bo w Polsce czują się, jakby mieli wyrok wypisany na czole, co czasami jest prawdą.

Tyle że w Berlinie zazwyczaj okazuje się, że świat jest bardzo mały i na ulicy Polacy wiedzą o sobie wszystko. Czasami nawywiają i muszą uciekać, czasami chcą się odciąć. Wtedy przyjeżdżają tutaj, bo gdzieś usłyszeli, że Amsterdam to raj na ziemi, pieniądze leżą na ulicy, no i Polaków mniej.

I co się okazuje?

– Że Amsterdam to wymagające miasto, a ucieczka od przeszłości jest trudna, mimo



że niektórzy szczerze próbują. Znajdują pracę, dostają pierwsze pieniądze, ale że często są uzależnieni od wielu substancji, tracą kontrolę.

Wydają wszystko, potem znajdują inną pracę, dostają pierwszą pensję i tak w kółko. Jeśli nawet wynajmowali jakiś kąt, to w końcu go tracą. Ładują na ulicy i niektórzy trafiają do nas. No i, podobnie jak w Berlinie, ulica szybko wie o tobie wszystko.

Trafiają do was, czyli...

– Do De Regenboog Groep. To drop in [centrum pomocy dziennej] o nazwie AMOC. 18 lat temu, kiedy zaczynałam tu pracować, zajmowaliśmy się wyłącznie uzależnionymi od ciężkich narkotyków. Mieli tu pokój, w którym dzięki programowi redukcji szkód mogli legalnie używać substancji dożylnie bądź palić, siedzieliśmy koło siebie – pracownicy i klienci. Mogli wyprać rzeczy, wziąć prysznic, zjeść.

Od 2010 roku rozszerzyliśmy działalność. Przychodzą do nas ludzie, którzy trafili na ulicę, bo zostali oszukani przez pracodawcę, przychodzą ofiary przemocy seksualnej, ciężko chorzy i potrzebujący natychmiastowej opieki medycznej. Wśród nich Polacy.

Sprawdzamy, co się stało i co można zrobić. Jeśli deklarujesz, że chcesz znaleźć pracę, patrzymy na paszport, sprawdzamy, czy masz numer podatkowy BSN, warunek podjęcia legalnego zatrudnienia.

No i tu zaczyna się prawdziwy test. Mówię: słuchaj, tu jest strona internetowa, sprawdźmy, co dzisiaj oferują, oczywiście poza Amsterdamem, bo tutaj o ofercie zatrudnienia z zamieszkaniem nie ma co marzyć. Zazwyczaj propozycji jest dużo.

Wtedy widać, czy masz ochotę chwycić za słuchawkę, czy też przyszedłeś, żeby odpuścić, ogrzać się, zjeść i wrócić na ulicę.

Mówiłaś o Polakach po wyrokach. A inni klienci?

– Niestety, ale nadal zdarzają się ofiary fikcyjnych agencji pracy. Schemat wygląda tak: zazwyczaj jesteś mieszkańcem małego miasta albo wioski, a może właśnie wyszedłeś z więzienia. Nie znasz języka, nie masz wykształcenia, ale wiesz, że gdzieś daleko jest miejsce, w którym zbija się kokosy. Czasami po prostu chcesz zmienić swoje monotonne polskie życie.

Wstukujesz w internecie „praca w Holandii” i wyskakują zachęcające oferty. Nic, tylko przyjeżdżać. Dzwonisz do agencji pracy, oni kładą się przed tobą dywanem.

Co w tym podejrzanego? Większość agencji działa legalnie.

– Wśród nich nadal zdarzają się agencje słupy. I jeśli źle trafisz, to zapłacisz za transport, prowizję, wysiądziesz z busa przy dworcu w Amsterdamie i zostaniesz z niczym. Upływają kolejne godziny, a obiecany pracodawca nie przyjeżdża. Milczy też telefon w agencji. Stoisz w grupie tobie podobnych. Zostaliście oszukani.

I co wtedy?

– Tych pieniędzy zazwyczaj odzyskać się nie da. Ale najgorszy jest wstyd, że dałeś się tak oszukać. Głupio podkulić ogon i wrócić do domu, niehonorowo. Oczywiście większość wraca, ale są i tacy, którzy zostają w przekonaniu, że przebijdują chwilę na dworcu i jakoś to będzie. Czasami się układa, czasami ładujesz na ulicy.

Jest też kwestia kontraktów: część naszych pracowników nadal podpisuje umowy po holendersku, mimo że dokument powinien być sporządzony w języku ojczystym pracownika – tak stanowią przepisy.



• **Wiele osób wciąż przyjeżdża do Amsterdamu w przekonaniu, że trafią do raj. Wszystko za darmo, dżointy leżą na ulicach, wolność, szczęście.**

FOT: SHUTTERSTOCK

A w kontrakcie może znaleźć się wiele klauzul, które stawiają cię na straconej pozycji. Przez pierwsze tygodnie możesz nie mieć pracy, przez pierwszy miesiąc pracodawca może cię zwolnić z minuty na minutę, bez wynagrodzenia, nie ma słowa o numerze identyfikacji podatkowej, bez której nie dostaniesz pieniędzy. W Amsterdamie na taki numer czeka się kilka tygodni.

Przyszedł ostatnio klient z Polski. Nie dostał wypłaty, bo przez pierwsze dwa tygodnie czekał na pracę, potem, jak już dostał pieniądze, musiał zapłacić za lokum, pracodawca ściągnął mu za ubezpieczenie i mieszkanie, po czym został bez grosza na kolejny miesiąc. Tak zaczyna się korkociąg, który wypycha czasami na ulicę. Nie płacisz za mieszkanie? Masz się spakować i opuścić lokal w kilka minut.

Polacy dochodzą swoich praw?

– Większość, przyjeżdżając tutaj, nie zna swoich praw. Ale ta świadomość rośnie, prasa nagłaśnia skandaliczne przypadki wyzysku robotników z zagranicy, rozpoczęły się procesy. Zdarzają się też przypadki ekstremalne. Opiekowałam się H., miał lekką niepełnosprawność intelektualną, reagował z opóźnieniem, był bezwolny, chyba nawet ktoś go do Holandii przywiózł, bo sam by nie dojechał. Przez wiele lat różni pracodawcy wykorzystywali go do najcięższych prac za beczkę. W końcu trafił do nas, chyba przez adwokata z urzędu i policję. Udało mi się znaleźć dla niego miejsce w specjalnym ośrodku, gdzie mógł zostać do końca życia. Rozchorował się w końcu i zmarł.

Są jeszcze w Polsce ludzie, dla których Amsterdam to ziemia obiecana? Wy-

dawało mi się, że ten mit był żywy 30 lat temu.

– Zdziwiłbyś się, jak wiele osób przyjeżdża tu ciągle w przekonaniu, że trafią do raj. Wszystko za darmo, dżointy leżą na ulicach, wolność, szczęście. Ludzie uciekają od kłopotów, długów, komornika, spaпанego życia i wydają im się, że zaczną tu wszystko od nowa.

I oczywiście jest w Amsterdamie polska diaspora, której się udało, zarabia duże pieniądze i świetnie się tu czuje. Kłopotami tej grupy się nie zajmuję. Natomiast ostatnio przyjechała do nas z Polski kobieta na wózku – nie bardzo wiadomo, co z nią zrobić.

To teraz pokażę ci cmentarz. Jest niedaleko od naszego ośrodka.

Często chodzisz na pogrzeby?

– Jeśli umiera polski bezdomny, idę ja albo koleżanki z Polski, ale też zdarza się, że reprezentujemy ośrodek, kiedy odprowadzamy w ostatnią drogę inne narodowości.

Rodziny nie zabierają ciała do Polski?

– Wiesz, jaki to koszt? Za samą chłodnię szpitalną 400 euro na dobę. Karawan z Polski kosztuje kilka tysięcy euro.

W ciągu 18 lat pracy tutaj tylko raz zdarzyło mi się, że rodzina pokryła koszty transportu do domu. Chłopak utopił się

w kanale. Pił strasznie, ale miał intrygującą osobowość, fajnie się z nim rozmawiało.

Poza tym Polacy, którzy trafiają tutaj na ulicę i w Amsterdamie kończą swój żywot, często zostawiają za sobą spaloną ziemię i rany tak głębokie, że rodziny nie chcą o nich słyszeć nawet po tym, gdy umrą.

Jak wygląda taki pogrzeb?

– Widzisz, tu stoimy przed zbiorową mogiłą, w której chowani są między innymi nasi klienci. Jest pojemna, bo Holendrzy są pragmatyczni, stawiają jedną trumnę na drugiej.

Jak wygląda ta procedura, kiedy umiera Polak na ulicy?

– Policja kontaktuje się z konsulem, który, jeśli ma dokładne dane osobowe, wysyła zawiadomienie do gminy, w której zmarły był zameldowany. Polska policja udaje się na miejsce, przekazuje informację i prosi o decyzję w sprawie miejsca pochówku. Normą jest, że rodzina nie chce sprowadzić zwłok. Sprawa wraca do Amsterdamu.

Gmina organizuje pogrzeb i wysyła pytanie. Ewa, czy znalazł jego znajomych, czy ktoś chce wziąć udział w ceremonii. Zazwyczaj nie przychodzi żaden z kolegów z ulicy. Chociaż zawsze robię plakat i rozsyłam do wszystkich ośrodków. Jeśli Polak, to po polsku, jeśli Włoch, to po włosku. Data i miejsce pogrzebu do tego.

W Amsterdamie jest kilka cmentarzy ze zbiorowymi mogiłami. Zasada jest tak, że nawet jeśli personalia są znane, to nie chowa się pod nazwiskiem, tylko pod numerem administracyjnym. Ale można zapłacić i wtedy na mogile będą personalia.

Co wybieracie?

– Nigdy nie chowamy naszych ludzi bezimiennie. Współpracujemy też z – jak to powiedzieć po polsku – duszpasterstwem uzależnionych. Odprawiają ceremonię pogrzebową. To bardzo przydatne, bo nie jestem sama na cmentarzu.

Sama?

– No tak. Grabarze, ktoś z duszpasterstwa i pracownicy ośrodka. Ostatnio poszliśmy na pogrzeb z dziewczynami. Padło pytanie, czy chcemy coś powiedzieć o zmarłym. Rozumiesz, w pustym domu pogrzebowym. Żeby uniknąć parodii, usiedliśmy przed trumną i powspominaliśmy zmarłego. Wcześniej dobrałam muzykę, „Victorie” Dżemu.

No i poszliśmy w kondukcje, który liczył cztery osoby.

Strasznie dużo o śmierci rozmawiamy.

– No, taki mam zawód, część klientów po prostu umiera. A każda z tych historii jest tragiczna na swój osobny sposób.

Na przykład ten ostatni zmarły. Pan J. Wydawało się, że sprawy idą w dobrym kierunku. Miał poważny wypadek, do rodziny nie chciał wracać. Znaleźliśmy mu bardzo dobry projekt – Emaus w Lublinie. Mieszkanie, praca, dorzucasz się do wspólnej puli i żyjesz. To było jakieś trzy lata temu, zniknął mi z oczu. Niedawno dostaję telefon z gminy z pytaniem, czy znamam Polaka o takim imieniu i nazwisku. Pewnie, że znamam, wyjechał, pracuje w Polsce. Otóż nie żyje, zmarł w parku w Amsterdamie.

Jak umierają polscy bezdomni w Amsterdamie?

– Różnie. Na przykład przestaje ci bić serce albo topisz się w kanale.

Pierwsze, co sprawdzają policjanci po wyłowieniu topielca, to rozporek. Jeśli jest rozpięty, można przypuszczać, że był pijany, poszedł się wysikać i poślizgnął. To zresztą częsta przyczyna śmierci wśród turystów.

Przedawkowania? Samobójstwa?

– Zdarzają się, chociaż rzadko. Uzależnieni od narkotyków po podpisaniu kontraktu mogą używać substancji w naszych ośrodkach, co minimalizuje ryzyko śmierci.

Czasami trudno odpowiedzieć na pytanie, co jest samobójstwem. Miałam wypadek mężczyzny, który po prostu chciał umrzeć. Stabilizowaliśmy go długo w ośrodku, ale miał dosyć. Zostawił w Polsce dzie-

ci, a mimo to nie chciał kontynuować terapii ani wracać do rodziny. Czuł, że zawiódł, nienawidził siebie. Jak wychodził z ośrodka, zrobiliśmy jeszcze sobie wspólne zdjęcie na pamiątkę. No i zapił się na śmierć.

Organizujesz też powroty do Polski?

– Tak, od wielu lat. To są, powiedziałabym, różne odnogi tej rzeki, która płynie na wschód. Zazwyczaj do domu rodzinnego nie ma powrotu, bo rachunek krzywd jest zbyt duży, i wtedy szukamy miejsca albo w gminnych ośrodkach pomocy społecznej, albo w projektach pomocowych.

Polacy są przyzwyczajeni do narzekania, ale uwierz – polski system pomocy jest naprawdę niezłe zorganizowany, a decyzje zapadają dość szybko. Zatem bywa tak, że moi klienci wracają z zagranicznych wojazów do takich ośrodków i tam układają sobie życie. Funkcjonują też Emaus w Lublinie czy w Cieszynie lub inne wspaniałe miejsca, które dają przystań rozbitek.

Polacy wracają też do ośrodków dla uzależnionych. W Holandii trudno dostać się na detoks, bo kolejki są długie, a jednym z warunków jest wskazanie ośrodka, do którego taka osoba może trafić po odtruciu. Ponieważ mam krótkie linie i współpracuję między innymi z Monarem i Probacją w Krakowie, Jump’93 w Warszawie, zawsze mogę zadzwonić i zapytać, czy jest miejsce.

Jeśli jest, to po detoksie pakujemy się, o ile jest co pakować, i ruszamy w drogę.

„My”?

– No tak, towarzyszymy takiej osobie ja albo ktoś z polskich pracowników. Po pierwsze, zazwyczaj jest bardzo słaba, po drugie – mamy pewność, że po drodze się nie zgubi.

Mówisz, że powroty do domów się nie zdarzają?

– Ale od każdej reguły zdarzają się odstępstwa. Jeśli człowiek ma rodzinę, to mimo wszystko zadajemy pytanie, żeby wybać grunt. Są jednak takie rodziny, które czekają niezależnie od tego, jakich cierpień w przeszłości doznały.

Opiekowaliśmy się tutaj 50-letnim S. Pił niewyobrażalnie. 10 lat spędził na budowach, ulicach i przy hodowlach kwiatów, w końcu zachorował na raka, miał już wtedy marskość wątroby. Pamiętam, jak przyszedł do nas tak strasznie pobity, z połamanymi żebrami i ręką, już z brzuchem wzdętym, wielkim. Operacja nie wchodziła w grę.

Mówię mu: „Widzisz, że sytuacja jest graniczna, zadzwonił do twojej rodziny”. Miał mamę i siostrę. Okazało się, że one na niego czekają po tych wszystkich latach i proszą, żeby wrócił; wyobrażasz sobie?

Ale S. miał wątpliwości. Nie wytrzymałam wtedy. Powiedziałam mu, że ja psychicznie następnego pogrzebu nie wytrzymam i tego pustego cmentarza, i tego marszu za trumną. Napisał mi wtedy testament, mam go gdzieś tutaj. Dostyć lakoniczny: „Ewo, wszystko tak, jak sobie życzysz”. Było mu obojętne, co z nim zrobimy po śmierci.

Zaczął wymiotować krwią, było z nim coraz gorzej, ręka źle się zrosła, wydzwanił z innych ośrodków, żebyśmy coś z nim zrobili. Powiedziałam mu w końcu: „Jeśli masz umrzeć, zrób to tak, żeby twoja mama mogła spokojnie zasnąć i żebyś leżał w swoim mieście”. Mamy nie było stać na sprowadzenie ciała S. z Amsterdamu, musiałaby zadłużyć się po uszy. Zgodził się w końcu.

I jak wyglądała ta podróż, skoro był w ciężkim stanie?

– Przyjeśliśmy go do ośrodka, żeby trochę się ustabilizował, jeśli chodzi o picie. Taki krótki, bardzo spokojny detoks.

Potem załatwiłam ambulans, za który zapłaciła gmina Amsterdam. Ja polecałam samolotem, bo w aucie jechało już dwóch sanitariuszy. Polecałam dzień wcześniej, żeby przygotować jego mamę i siostrę, która specjalnie wróciła z Anglii. Wiesz, ta mama przez 10 lat skrzętnie zbierała korespondencję do syna, wszystkie listy od komorników, wszystkie długi. Przygotowałam je psychicznie na to spotkanie, bo był w straszonym stanie, pokazałam zdjęcia. To zresztą

część projektu o nazwie „Miękkie lądowanie”, jaki prowadzimy od kilku lat. Przygotowujemy klienta i rodzinę bądź ośrodek na powrót. Czasami ten proces trwa kilka miesięcy: nie masz pojęcia, jakie to jest trudne dla wszystkich.

W każdym razie widziałam to powitanie, jak wysiadł z ambulansu. Krew przesączyła mu się przez opatrunki, obraz nędzy i rozpaczy. A one tak go przytulały...

Jak się skończyła ta historia?

– S. odżył, przestał pić, mama go odkarmiła. Pomagał jej w ogródku. Wysyłał mi zdjęcia, telefonował, no szczęśliwy był. Niestety, zmarł niedawno. Nie kwalifikował się do przeszczepu wątroby.

Chodź, pokażę ci jeszcze jeden nasz ośrodek. Tam zaczynałam. Widzisz tę flagę, która wisi nad wejściem do ośrodka?

WKR, termometr, śnieżynka i łóżko.

– Winterkouderegeling to „program zimowy”. Wywieszają się ją, kiedy temperatura spada poniżej -1 st. C. Miejskie noclegownie teoretycznie mają obowiązek przyjąć wszystkich potrzebujących, ale miejsc jest o wiele za mało. Nie da się zapewnić dachu nad głową dla tysięcy osób.

W Amsterdamie nie ma noclegowni dla obcokrajowców. Tu nawet Holendrzy mają problem, żeby mieć gdzie spać. Ludzie latami czekają, żeby dostać się do projektu socjalnego.

Toczy się tu walka o przetrwanie?

– Tak i nie. Jeśli chcesz wyjść z bezdomności, państwo ma wiele narzędzi, które w tym pomogą. Procedury czasami trwają bardzo długo, ale jest szansa, że zostaniesz w końcu gdzieś przyjęty. Mówię oczywiście o ludziach, którzy mają prawo do pomocy socjalnej. Co więcej, z polskiego punktu widzenia opiekuńczość Holandii jest niewyobrażalna.

Opiekuńczość? Myślałem, że to cywilizacja śmierci, eutanazja i drapieżny indywidualizm.

– Nie zliczę, ilu ciężko chorym Polakom państwo holenderskie pomogło przez te 18 lat mojej pracy w AMOC. Leczenie hepatitis oznacza dziesiątki tysięcy euro, bo tabletki są bardzo drogie. A Holendrzy organizują programy, dzięki którym klienci z żółtaczką wszczepienia dostają szansę na w miarę normalne życie.

Opiekowaliśmy się kiedyś polskim kryminalistą z 20-letnim stażem w najcięższych polskich więzieniach. Specjalizował się w połykach, więc miał poharatane jelita, ciągnął biegunkę. Pamiętam, że klął się po nogach. I wyobraź sobie, że Holandia zapłaciła za skomplikowaną operację – lekarze pozyszywali mu te jelita.

Czyli rzeczywiście raj.

– Powoli, powoli. Z drugiej strony na tej pierwszej linii ciągle mamy do czynienia z tragicznymi historiami, w których widać, jak dziurawy jest ten system. Tu też dochodzi do przerzucania pacjentów pomiędzy szpitalami. Musimy być bardzo asertywni – mamy tylko 10 miejsc dla nagłych wypadków. Mieliśmy w ośrodku bezdomnego Polaka, nazwijmy go M. Jechał rowerem i potrafiła go ciężarówka. Ponieważ w szpitalu nikt nie mógł się z nim dogadać, co drugie słowo wrzeszczał „kurwa”, dostał nakaz opuszczenia szpitala. Jedyным adresem pomocowym, jaki znał, był nasz.

* Ewa Wielgat

• od ponad 18 lat pracuje jako pracownik socjalny w De Regenboog Groep w Amsterdamie. Była pierwszą polskojęzyczną pracowniczką w User Room, gdzie pomagała uzależnionym ze wschodniej Europy. Fundacja De Regenboog Groep istnieje od ponad 50 lat. Wspiera osoby bezdomne, uzależnione i zmagające się z problemami psychicznymi. Posiada kilka centrów pomocy dziennej (drop in) na terenie całego miasta. Lokalizacja AMOC specjalizuje się w udzielaniu pomocy osobom pochodzącym z Europy.

Taksówka przywiozła go pod drzwi i pod te strome schody, po których wchodziliśmy. Z brzucha wystawała mu jakaś metalowa konstrukcja, rany ropiały, nie mógł poruszać się bez chodzika. Dostałam szalu.

Szpital odmówił powtórnego przyjęcia. W Amsterdamie są trzy miejsca z opieką medyczną, które przyjmują na czas rekonwalescencji osoby bez praw i zamieszkania. Ale kolejka jest bardzo długa i tam też dostaliśmy odmowę. A facet miał dziury w brzuchu! Użyłam argumentu ostatecznego: wysyłałam do komisji, która decyduje o przyjęciu najcięższych przypadków do tych ośrodków stałego pobytu, zdjęcia ran i dziur w brzuchu, informując, że pójde z tym do mediów. Wyleczyli go i nawet dostał wysokie odszkodowanie, bo вина kierowcy była ewidentna.

Stoimy przed zbiorową mogiłą, w której chowani są między innymi nasi klienci. Holendrzy są pragmatyczni, stawiają jedną trumnę na drugiej

Czyli znowu happy end.

– Ja nie jestem od happy endów, tylko od podania ręki w momencie, kiedy tego najbardziej potrzebują. Ale nigdy nie robię tego na siłę. I często pracuję z klientami, dla których każdy tydzień życia jest sukcesem.

Za M. wlokły się wyroki z Polski, przed którymi uciekł do Amsterdamu. Jak wbił go w system, wyroki wyskoczyły i zawisło nad nim widmo deportacji. Znalazłam mu polską adwokatkę. Wyobraź sobie, że po wypadku policja nawet go nie przesłuchiwała: bezdomny, nie zna języka, nie ma się co przejmować. Dopiero prawniczka ruszyła sprawę. I zagrała kartą praworządności: to był czas wczesnego PiS-u i sąd uznał, że polskie prawodawstwo nie gwarantuje bezstronnego wyroku.

Zatem M. nie został deportowany. Miał zagwarantowane pieniądze, dostał nawet mieszkanie poza Amsterdamem od tej firmy transportowej. Ale w międzyczasie odwiesili mu deport i musiał wrócić do Polski, żeby odsiedzieć wyrok. Wysyłał mi regularnie kartki z więzienia.

Ostatnio wyszedł, wrócił do Holandii i zadzwonił, żebym pomogła mu odzyskać pieniądze. Tak, klienci bywają bezczelni. Powiedziałam, że nie ma takiej opcji, moja pomoc została już wyczerpana.

Przepraszam cię, musimy na chwilę przerwać. Zostań tutaj.

(Ewa wybiega. Na dole słychać awanturę, jakaś kobieta krzyczy po węgiersku. Wraca po 10 minutach).

Co się stało?

– Od dwóch lat w Amsterdamie przybywa Węgrów. Ta kobieta została zgwałcona tydzień temu przez swojego partnera, przyjęliśmy ją interwencyjnie. Pogodzili się i wróciła po swoje rzeczy. Z tym partnerem. Mówi, że ją kocha, tylko tak wyszło. Kiedy weszli do środka, doszło do konfrontacji między nimi a innymi Węgrami, którzy kilka dni wcześniej stanęli w obronie poszkodowanej dziewczyny. No i rozróżba. Ale już sobie poszli.

Dużo mówimy o narodowościach. Zastanawia mnie ta statystyka, że najwięcej bezdomnych w Amsterdamie to Holendrzy. Pewnie myślę stereotypowo, ale wydaje mi się, że to przecież zamożny kraj, w którym każdy, niezależnie od wykształcenia, ma jakoś zabezpieczony łąd.

– Na pewno wielką zmianę przyniosła pandemia COVID-19, kiedy ludzie z dnia na dzień tracili pracę, a na ulicach lądowały całe rodziny. Holandia ma poukładane stosunki rodzinne inaczej niż u nas. One są często bardzo luźne. Tu się nie wpada do cioci na kawę bez zapowiedzi.

Wróćmy do Polaków. Ciągłe mówimy o mężczyznach, a co z kobietami?

– To są historie jeszcze trudniejsze. Zdarza się, że samym sukcesem jest uratowanie życia albo ustabilizowanie sytuacji, żeby to życie jeszcze mogło się toczyć.

Często myślę o M. To jedna z najtragiczniejszych historii, jakich przyszło mi tutaj dotknąć. M. wyjechała z Polski do Wielkiej Brytanii już mocno okaleczona psychicznie – mężczyźni zrobili jej taką krzywdę, że próbowała ukrywać swą kobiecość. Ubiera-

ła się jak facet, miała kontakty tylko z kobietami. Nie pomogło – z tego, co udało mi się zrekonstruować, została porwana, wywieziona pod miasto i wielokrotnie zgwałcona. Toczy się w tej sprawie proces.

M., jak już doszła do siebie, przyjechała tutaj. I podczas imprezy została oszołomiona narkotykami i zgwałcona przez kilku mężczyzn. To było swoją drogą złamanie zasad, za które amsterdamska ulica wymierzyła sprawcom brutalną karę.

Bez policji, jak rozumiem?

– M. złożyła zeznania, ale nie wiem, co dalej z tą sprawą. Pomogliśmy jej dojść do siebie. Potem dowiedziałam się, że została zgwałcona raz jeszcze, przez mieszkańca jednego z amsterdamskich ośrodków dla bezdomnych. W końcu stanęła na nogi i pojechała do innego miasta, znalazła pracę. Oby nie stało się jej nic strasznego.

Myślę często o jej rękach. Pociętych od góry do dołu. Próbowałam ją nauczyć innych metod rozładowywania emocji, które jej w końcu pomogły.

Czym różnią się Polacy, którzy przychodzą do ciebie teraz, od tych, którym pomagałaś 18 lat temu?

– Wtedy mieliśmy w ośrodku tylko osoby uzależnione od twardych narkotyków. Grupa z Europy Wschodniej przeważnie przyjmowała dożylnie heroinę i amfetaminę. Prowadziliśmy też program wymiany igieł na squatach.

W 2010 roku otworzyliśmy szerzej drzwi i zobaczyłam ludzi pozostawionych samym sobie, bez pracy, oszukiwanych, wykorzystywanych. Dlatego zdecydowaliśmy się, żeby bezdomnych nie zostawiać bez podstawowej pomocy. Wcześniej nie pomagaliśmy osobom uzależnionym od alkoholu. Łatwiej rozmawiać z uzależnionymi od twardych narkotyków.

Naprawdę?

– Alkohol wyzwała często agresję, szczególnie wśród Polaków. Pijani Polacy bywają bardzo brutalni, czego nigdy nie widziałam wśród osób uzależnionych od opiatów.

Mamy tu na stażach studentów z całej Europy. Czasami trudno im rozpoznać, że ktoś jest pod wpływem alkoholu, że w nim buzuje. Zdarza się, że klient wpada w furję, bo spóźnił się na kolejkę do prysznica i lista jest już zamknięta.

Trafia też do nas coraz więcej Polaków z głębokimi problemami psychiatrycznymi, czasami w ostrych psychozach. Wyjeżdżają z kraju, bo nie chcą po raz kolejny iść do szpitala albo narażać się na ostracyzm w rodzinnym mieście. Po dwóch miesiącach leki się kończą i choroba wraca. Nie masz pojęcia, ilu Jezusów przeszło przez nasz ośrodek. I to jest kłopot najmniejszy. Gorzej, jeśli zdarzają się ostre psychozy połączone z wybuchami agresji.

Wróć do tej historii S. Co to znaczy „łagodny detoks”? A piętro niżej w drug users room siedzą ludzie i wstrzykują sobie heroinę do żył. Czym różni się holenderskie podejście do pracy z uzależnionymi od polskiego?

– Na przykład tym, że jak mamy klienta z atakiem padaczki alkoholowej, to zespół ratowniczy zadaje pytanie, czy w naszej lodówce jest piwo. Dajemy puszkę piwa choremu, żeby się ustabilizował. Jeśli taka osoba dostanie kolejnego ataku, a potem jeszcze jednego i jeszcze jednego, może nawet zejść.

Holendrzy są pragmatyczni. Wiedzą, że człowiek, który zniszczył się alkoholem, bardzo trudno doprowadzić do całkowitej trzeźwości. Detoks jest wstrząsem dla organizmu. Wyobraź sobie, że pijesz, nie wiem, dziesięć lat każdego dnia, i nagle ktoś ci ten alkohol, który stał się częścią organizmu i jego chemii, odbiera.

Podobnie z narkotykami: dlatego państwo uznaje, że lepiej jest zapewnić uzależnionym od narkotyków metadon albo pokój konsumpcyjny, w którym mogą wykonywać zastrzyki, niż szybko zerować.

– Ewo, a jak radzisz sobie ty? Stykasz się z wielkim cierpieniem i wielkim złem, w drodze do swojego pokoju mijasz salę, w której palą crack i kłują się w nogi.

– Tak, to jest trudne. Mam inną mapę Amsterdamu niż z folderów turystycznych.

Na peronie stacji, gdzie codziennie czekam na metro, moja klientka odurzyła się narkotykami tak, że szkłem z butelki poderżnęła sobie gardło. I ja to poderżnięte gardło widziałam w szpitalu. I noszę ten obraz ze sobą. I wiele innych. Na szczęście wentylujemy nasze emocje poprzez interwizje i superwizje.

Nie zgodziłaś się na zdjęcia do wywiadu. Dlaczego?

– Choćby dlatego, że ostatnio znowu pojawił się ten klient, który napisał do polskiej prokuratury, że morduję porządnych Polaków w Amsterdamie, najczęściej topiąc ich w kanalach. I że jestem jego nieżyjącą żoną.

Pogróżki są częścią tej pracy, nie przejmuję się nimi, ale też ich nie bagatelizuję. Dlatego zamknęłam profil na Facebooku, nie robię selfie, nie pokazuję swojej wspańskiej rodziny. Najprostsza i może najbanalniejsza odpowiedź na pytanie, jak sobie radzę, brzmi: przez te 18 lat pomogłam bardzo wielu ludziom. I nawet jeżeli przysyłają pocztówki świąteczne nie z domów rodzinnych, tylko z zakładów karnych, to oznacza, że są cali, że udało im się z moją pomocą kupić czas, że nie utopili się w amsterdamskim kanale.

Po śmierci S. zadzwoniła jego mama. I powiedziała tak: „Ewa, chciałam ci podziękować, że mój syn mógł umrzeć w ludzkich warunkach, że nie zmarł na ulicy”. ●



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współpracujący jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu

Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

FOT. MICHAEL KAPPELER / REUTERS

Garsonka zapięta pod szyję

Czego się nie dowiedziałem
o Angeli Merkel z jej biografii,
a powinienem

Bartosz T. Wieliński



Kanclerz Helmut Kohl, który rządził Niemcami przez 16 lat (1982-98), swoje wspomnienia spisał na 2,5 tys. stron. – Wokół mojej politycznej kariery narosło tyle nieprawdy, że legendy dotyczące historycznych wydarzeń wypierają prawdę o tym, co rzeczywiście się wydarzyło. Dlatego sam chwyciłem za pióro – napisał w przedmowie pierwszego z trzech tomów autobiografii.

Angela Merkel, jego wychowanka, która straciła go w niebyt, rządziła Niemcami tylko dziewięć dni krócej. Ale jej wspomnienia zajęły tylko 600 stron.

Kohl na emeryturze zastrzegał, że zwalczał krążące o nim legendy, ale tak naprawdę pisał biografię, by je odbudować. Bo po ujawnieniu w 2000 r., że brał pod stołem miliony marek na finansowanie CDU, jego wizerunek politycznego herosa legł w gruzach.

Po co biografię pisała Merkel? Po lekturze jej książki nie mam odpowiedzi.

Gdzie się podziała legenda „Mutti”

Była kanclerz z lat 2005-21 w książce ani się nie usprawiedliwia, ani się nikomu nie odświekuje. Z towarzyszącą jej w czasie rządów legendą „Mutti”, dobrej matki narodu, nie tyle w żaden sposób się nie mierzy, co fakt jej istnienia w obiegu, właściwie pomija.

„Wolność” Merkel czytałem także jako zapis historii mojego życia. 20 sierpnia 2005 r. stałem na placu pod operą w Hanowerze na jej wiecu wyborczym. To był mój pierwszy wyjazd na materiał w roli korespondenta „Wyborczej” w Niemczech.

Z bliska obserwowałem dynamiczną kampanię przed przyspieszonymi wyborami do Bundestagu, którą Merkel prowadziła w amerykańskim stylu i którą przegrywała. W ciągu dwóch miesięcy roztrwonila poparcie, minimalnie wygrała z SPD, cudem obroniła się przed puczem partyjnych kolegów i została w końcu kanclerką.

Miała stać na czele rządu na chwilę, aż się do cna skompromituje. Rządziła 16 lat. Oglądałem te rządy z bliska. Mijałem ją na korytarzach Bundestagu, zdarzyło mi się jeździć windami Urzędu Kanclerskiego z jej najbliższymi doradcami. Nieustannie czytałem o niej i oglądałem ją w telewizji. Napisałem o niej dziesiątki artykułów. Byłem u Merkel na obiedzie i w jej gabinecie na wywiadzie. I dlatego jej książka tak mnie uwiera.

W urzędniczym gorsecie

Jest bowiem jak jej słynne garsonki. Zgrzebna, sztywna, nieciekawa. I to nie tylko z powodu gorsetu, jakim jest tradycyjna forma niemieckiej biografii, która musi zacząć się od opisu rodzinnego domu i analizy genealogii przodków. Ani nawet nie z powodu urzędniczego języka, którym Merkel opisuje nie tylko politykę, ale także przyrodę, a co gorsza, przytacza w nim dialogi ze współpracownikami.

Merkel – nie wiadomo czemu – niewiele ciekawego ma do opowiedzenia.

Proszę wybaczyć złośliwość, ale po kimś, który kształtował politykę Europy przez tyle lat, można było spodziewać się większego rozmachu, jeśli chodzi o wspomnienia, pokazanie własnej perspektywy, rozterek, kontrowersji. I nieznanych szczegółów.

Pamiętam na przykład, jakim echem odbiło się ujawnienie przez Stefana Corneliusa, dziennikarza „Süddeutsche Zeitung”, informacji, że dziadek Merkel pochodził z Poznania i nosił polskie nazwisko Kaźmierczak. Tutaj od razu zaznaczę, że w autobiografii Merkel jest sporo wątków polskich. Była kanclerz pisze o fascynacji „Solidarnością”, podróżach w PRL-u, wspomina braci Kaczyńskich i Donalda Tuska, u którego podziwiała „prostolinijność i umiłowanie wolności”. Jak pisze, jego zwycięstwo w wyborach w 2023 r. „bardzo ją ucieszyło”.

Życie w kraju donosicieli

W biografii przeczytałem o pewnych wydarzeniach z jej życia w NRD, o których miałem tylko zdawkowe relacje, np. o próbie zwerbowania przez Stasi, gdy po studiach zamierzała zatrudnić się na politechnice w Ilmenau. Merkel pisze, że udało się jej z tego wykreść, bo powiedziała funkcjonariuszom Stasi, że nie nadaje się na tajną współpracowniczkę, gdyż nie jest w stanie utrzymać niczego w tajemnicy. W autorytarnym kraju, w którym donosicielstwo było powszechne, był to akt odwagi.

Ale większym aktem odwagi była decyzja jej ojca, pastora Horsta Kasnera, by przeprowadzić się z Hamburga w zachodnich Niemczech do NRD i pracować jako duszpasterz tam, gdzie rządzili komuniści. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o jego rozterkach, czy nie żałował wyjazdu, jak znosił życie w NRD, jak oceniał zjednoczenie Niemiec.

We wspomnieniach Merkel jej ojciec jest dość płaską postacią. Z opisów wynika, że był ostrożny i że potrafił się doskonale poruszać w komunistycznym państwie. Ale co miał w sercu? A jego żona Herlind?

O jej pierwszym mężu Ulrichu Merkelu, po którym przyszła kanclerz ma nazwisko, i ich trwających pięć lat małżeństwie nie dowiadujemy się z książki praktycznie niczego.

– Pewnego dnia po prostu się spakowała i wyszła – opisywał rozstanie jej były mąż. A Merkel pisze jeszcze bardziej lakonicznie. Skończyło się i koniec... A dalej opisała, jak opuściwszy męża, została „dziką lokatorką” pewnego wschodniobерlińskiego pułkownika.

Ci Amerykanie nie są tacy źli

W części, gdzie Merkel opisuje siebie jako polityka, jest podobnie. Gładko, syntetycznie, wspomnienia czyta się trochę jak encyklopedię albo podręcznik do historii.

W sumie bezbarwny jest nawet opis tego, co działo się na przełomie sierpnia i września 2015 r., w czasie gigantycznego kryzysu migracyjnego, kiedy Merkel zdecydowała się

przyjąć wszystkich ludzi podążających tzw. bałkańskim szlakiem. Decyzję, która miała kolosalny wpływ na politykę każdego kraju Europy, Merkel opisała bez większych emocji, w zasadzie jako ciąg rozmów telefonicznych z niemieckimi politykami. Być może chodziło jej o to, by w ten sposób dotrzeć do masowego i niewyrobionego odbiorcy.

Jako osoba, która pisała przez wszystkie te lata o Niemczech, mam niedosyt. Znam opowieści np. o wizycie Merkel u Donalda Trumpa w 2017 r., podczas której prezydent USA próbował jej wręczyć kartkę z wycenieniami długu, który Niemcy mają wobec USA, jeśli chodzi o zaniebane wydatki na obronność. To było nie tyle naruszenie dyplomatycznego protokołu, ile po prostu gruba nieuprzejmość. Merkel wspomina grubiaństwo Trumpa, pisze, że nie podał jej ręki, gdy pozowali do zdjęć, a podczas rozmów próbował przypierać ją do muru w wielu kwestiach. Szczegółów jednak nie podaje.

Sporo miejsca poświęca za to żartowi George’a W. Busha na szczycie G8 w Petersburgu w 2006 r. Siedziała sama przy stole obrad, Bush się zakradł i niespodziewanie zaczął masować jej kark. Merkel się wystraszyła, podniosła ręce do góry, ale potem zaczęła się śmiać. Scenę uchwyciły kamery, w Niemczech zaczęła się dyskusja, czy Bush nie napastował Merkel. Ona w książce temu zaprzecza i tłumaczy, że amerykański prezydent próbował tylko rozluźnić atmosferę.

O Bushu wyraża się zresztą życzliwie, co bardzo dziwi. Pamiętam komentarze niemieckiej prasy na temat tego prezydenta, pamiętam niemiecką krytykę inwazji USA na Irak w 2003 r., której skutki odczuwamy do tej pory. Ale Merkel go nie rozlicza. Wspomina za to wizytę na jego ranczo w Teksasie.

Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek

Cała biografia skonstruowana jest tak, żeby o nikim nie napisać złego słowa.

Wspominają premiera Węgier Viktora Orbána, przytacza ich rozmowę na Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej w Brazylii w 2014 r. Siedział przed nią na trybunie podczas finału Niemcy – Argentyna i kazał się jej uspokoić, twierdząc, że Niemcy, strzełwsiży gola w dogrywce, utrzymają wynik.

Dobrze pisała o Nicolasie Sarkozym, prezydencie Francji w latach 2007-12, z którym nieustannie się kłóciła. I o skompromitowanym premierze Włoch Silvio Berlusconi. I o Baracku Obamie, choć za jego rządów amerykański wywiad podsłuchiwał jej komórkę. Ten wątek w biografii pominięto.

Jej relacja z Kohlem była trudna. Gdy była w jego rządzie ministrem, zdarzało się, że wychodziła z posiedzeń z płaczem. Stary kanclerz nie do końca poważał kobietę z NRD, którą do rządu ściągnął jako tzw. paprotkę, a której ambitne pomysły dusił w zarodku.

Ale o tym w „Wolności” też nie przeczytały. Merkel wobec Kohla jest wyrozumiała.

W 2000 r., po wybuchu afery z nielegalnym finansowaniem CDU, gdy ciągnął partię na dno, brutalnie się od niego odcięła. Przejęła dzięki temu przywództwo w partii, ale przylgnęła do niej latka ojcobójczyni. Próbowała odkupić winy, wynosząc – już jako kanclerz – Kohla na piedestał jako ojca zjednoczenia i narodowy autorytet.

Kohl jej chyba nie wybaczył. W 2014 r. powiedział jednemu z dziennikarzy, że Merkel była tak prymitywna, że „nie umiała jeść nożem i widelcem”. Wcześniej, w 2011 r., gdy bankrutowała Grecja, a strefa euro pogrążała się w kryzysie, miał z kolei powiedzieć, że Merkel niszczy jego Europę. Kanclerz Niemiec domagał się od plajtujących państw, by zaciskały pasa, co niosło za sobą koszmarnie skutki.

Opis tego okresu w jej biografii też jest gładki, a grecki premier Aleksis Tsipras, który zwalczał Merkel na wszelkie sposoby – także doczekał się życzliwego opisu.

Zły tylko Putin

Są w tej książce passusy, które czyta się jak opowieść o walce Merkel z męskim światem, który jej nie zauważał, nie cenil, a gdy stanęła na szczycie – zwalczał ją. Merkel jednak bardzo ostrożnie używa słowa „feminizm” i wątku wojny płci w zdominowanej przez mężczyzn niemieckiej polityce nie uwypukla.

Jednoznacznie negatywnie opisuje w zasadzie tylko Władimira Putina. Wypomina rosyjskiemu prezydentowi obcesowość, spóźnienia na spotkania, upokarzające wprowadzenie labradora do sali, w której przebywała (Merkel została kiedyś pogryziona i od tej pory panicznie się boi psów). Oskarża go o wiarołomstwo i napaść na Ukrainę.

Ale kluczowe słowo w odniesieniu do Putina – „zbrodniarz” – pod jego adresem nie pada. Co gorsza, Merkel nie widzi błędów swojej polityki wobec Rosji.

Czytam jej tłumaczenia dotyczące obrad na szczycie NATO w Bukareszcie w 2008 r., gdzie nie zgodziła się na objęcie Ukrainy przygotowaniami do członkostwa w NATO, co byłoby pierwszym krokiem na drodze do wejścia do Sojuszu. Merkel twierdzi, że członkostwo w NATO nie zapewniłoby Ukrainie bezpieczeństwa, a tylko sprowokowałoby Putina. Można z tego wywnioskować, że nie chciała pamiętać o historii swojego kraju. Wszak hitlerowskie Niemcy też próbowano ugłaskać ustępstwami. Nic to nie dało, Hitler rozpętał wojnę.

Merkel stosowała wobec Putina politykę appeasementu, twierdząc, że nie ma innej drogi, choć powinna wiedzieć, że dyktatorzy reagują tylko na argument siły. Tłumacząc czytelnikom, dlaczego zdecydowała się na budowę gazociągów Nord Stream 1 i Nord Stream 2, które łączyły Niemcy i Rosję po dnie Bałtyku, omijając Polskę i Ukrainę, była rozbrajająco szczerą. Niemiecka gospodarka potrzebowała taniego gazu. Sprzeciwu krajów Europy Środkowej i Wschodniej nie miały tu żadnego znaczenia.

Myślę sobie, że będzie jeszcze miejsce na inne biografie Angeli Merkel. Ciekawe, jak by czytało się takie dzieło, gdyby autorką była jej najbliższa długoletnia współpracowniczka Beate Baumann (na stronie tytułowej „Wolności” widnieje jako współautorka). Albo Petra Kelly, makijażystka, która odpowiadała za jej wizerunek. Albo drugi mąż – prof. Joachim Sauer, chemik, który bardzo dbał o wizerunek zupełnie niezaangażowanego w politykę, niezależnego naukowca, choć przecież wcale tak nie było. ●



Angela Merkel, Beate Baumann „Wolność. Wspomnienia 1954-2021”, przeł. Justyna Sarna, Emilia Skowrońska, wyd. Znak 2024.

A na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl także „Angela Merkel. Cesarzowa Europy” Arkadiusza Stempina.



• Santiago 11 września 1983 r. Generał Augusto Pinochet świętuje 10. rocznicę przejścia władzy w wyniku zamachu stanu FOT. ILA AGENCIA/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

ODUCZYLIŚMY SIĘ BUNTOWAĆ

Jan Paweł II, populizm, Stany Zjednoczone, komunizm – W Ameryce Południowej zaczęły mi spadać polskie okulary.

Z **ARTUREM DOMOSŁAWSKIM***
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Gdyby komuś przyszło teraz na myśl zrobienie rewolucji, to od czego powinien zacząć?

– Może od przeczytania książek o poprzednich rewolucjach? Od razu przychodzi mi do głowy przykład nieudanej wyprawy boliwijskiej Che Guevary. Argentyński rewolucjonista od 1966 roku przygotowywał tam oddziały partyzanckie, by w sercu Ameryki Południowej wznieść wielką rewolucję kontynentalną.

Jego diagnozy były jednak błędne. Do boliwijskiej selwy pojechała grupa kilkudziesięciu partyzantów pod przewodnictwem Che – białego Argentyńczyka nie mówiącego w językach rdzennych ludów. Przeciwna wybuchowi wojny partyzanckiej była nawet miejscowa partia komunistyczna, zgodnie z linią Moskwy o „pokojowym współistnieniu” ze Stanami Zjednoczonymi. To nie mogło się udać.

A z drugiej strony rewolucja na Kubie, w której Guevara brał udział, też była improvizacją – a pokonała dyktaturę Batisty. Całe pokolenie zbuntowanych Latynosów uwierzyło w legendę, że partyzanci mogą pobić zawodową armię. A na Kubie armia dyktatora po prostu się rozpadła – wielu marnie opłacanych żołnierzy sympatyzowało z „brodaczami” Fidela i Che. Nie ma więc uniwersalnej recepty na wygraną rewolucję...

Trudno też podać uniwersalny powód, dlaczego do rewolucji czy buntów społecznych dochodzi. Ludzie są w stanie znośić złe warunki życia przez długi czas, aż nagle wystarczy, że władza podnosi cenę biletów na metro – i kraj wybucha.

Tak było w Chile w 2019 roku. Ktoś ze zbuntowanych błyskotliwie stwierdził, że nie chodziło o 30 centów, ale o 30 lat – lat od upadku dyktatury Pinocheta. Były to czasy rządów demokratów, ale takich, którzy, choć uznawali demokrację parlamentarną, zapomnieli o demokracji ekonomicznej, czyli o w miarę równym dostępie do dóbr i praw.

Rewolucje są raczej ekonomiczne niż polityczne?

– Te ekonomiczne głębiej przemebłowują społeczeństwo. W nowej książce „Rewolucja nie ma końca” posługuję się terminem uktym przez Timothy’ego Gartona Asha w odniesieniu do wydarzeń 1989 roku w naszej części świata – „rewolucja”. To połącze-

nie słów „rewolucja” i „reforma”. Czyli mowa o zmianach głębokich jak w rewolucjach, a zarazem dokonanych drogą pokojową, poprzez reformy.

W krajach Ameryki Łacińskiej w ostatnim ćwierćwieczu mamy do czynienia raczej z „refolucjami” niż rewolucjami. Tytułowa rewolucja, która nie ma końca, sugeruje, że marzenia ludzi o lepszym świecie wciąż się odradzają. A także – że nie chodzi tu o jakiś dogmatyczny projekt, ale o nadzieję i horyzont, który zawsze się oddala. „Refolucje” dokonywały się – bądź wciąż dokonują – w krajach mających wolne wybory i miały w przeważającej mierze wymiar ekonomiczny. W Brazylii, Boliwii, Ekwadorze, Urugwaju, Argentynie, Wenezueli... Oczywiście nie można zapomnieć, że w Argentynie obserwujemy dziś skrajnie prawicowy „backlash”; z kolei rewolucja boliwariańska w Wenezueli wyrodziła się w dyktaturę.

Najbardziej spektakularny przykład „refolucji”?

– Szczególnie ciekawa wydaje się w tej panoramie krajów Brazylii, gdzie funkcjonowała ponad setka programów społecznych mających włączyć najuboższych w krwioobiegi systemu – w taki sposób, by i oni byli jego beneficjentami. W ten sposób w ciągu dekad z okładem wyciągnięto z nędzy – bagatel! – około 40 mln ludzi.

W Wenezueli, której władza ma dziś – całkiem zasłużenie – kiepski wizerunek na

świecie, jeszcze za życia „ojca założyciela” Hugo Cháveza, wiele szkół zorganizowano w taki sposób, by dzieci z biednych rodzin dostawały tam jedzenie i mogły zostać po lekcjach, a pracujący rodzice nie musieli się o nie martwić. Bo wielkim problemem ubogich rodzin w wielkich miastach, szczególnie w dzielnicach nędzy, jest to, że dzieci pozostają pół dnia bez opieki; spędzają czas na ulicy i właściwie wychowują się same.

I to ma być ta rewolucja?

– A dlaczego nie? Zmieniło się coś, co możemy nazwać paradygmatem rewolucji. W czasach zimnej wojny królował paradygmat zbrojny. Kolejne pokolenia wyciągnęły z tamtych czasów bolesną lekcję – zbrojne rewolucje tonęły we krwi. Ci, którzy przeżyli, jak i nowe pokolenia uznały, że trzeba podejmować próby przesuwania świata w dobrą stronę centymetr po centymetrze. Nie za pomocą jednego aktu strzelistego, lecz poprzez programy socjalne, poszerzanie praw kolejnych grup, ustawa po ustawie, decyzja po decyzji...

Programy socjalne... Chyba trochę nuda dla reportera?

– „Refolucje” są absolutnie fascynujące! Owszem, czasem mniej spektakularne, ale ich skutki są o wiele trwalsze. Dramaty, niestety, się nie skończyły – jeśli do tego pijesz. Zaczynam książkę od historii bezrolnych odstrzeliwanych przez prywatne milicje wiel-

kich właścicieli ziemskich w Brazylii. Gdzieś dalej są historie studentów w Meksyku „znikniętych” przez osobliwą koalicję lokalnych polityków i przestępczych karteli. Po-tem susze i powodzie... Być może „nudne” światy to są te najlepsze. I te, w których re-porter jest zbędny.

Kiedy po raz pierwszy pojechałeś do Ameryki Południowej?

– Na przełomie lat 1996-97. Od kilku lat by-łem dziennikarzem, zajmowałem się polity-ką krajową. Na antypody pojechałem w po-szukiwaniu nowego wyzwania.

Czego konkretnie?

– Szukałem własnej ścieżki, która nie zamy-kałaby mnie na krajowym poletku – tak wte-dy myślałem. Magnes przyciągał z Amery-ki Łacińskiej. Czy dlatego, że wcześniej fa-scynowała mnie muzyka latynoamerykań-ska, proza Garcii Márqueza i Maria Vargasa Llosy? Nie do końca wiemy, jakie sprężyny wprawiają nas w ruch.

Ale pojechałeś też naładowany tą polską rewolucją?

– Tak – i pewnie dlatego ciekawiły tak bar-dzo latynoamerykańskie transformacje od dyktatur do demokracji i ich rozliczenia. W Polsce po ’89 roku rozliczenia z PRL to był jeden z głównych tematów politycznych. Chciałem zobaczyć, jak z rozliczeniami ra-dzą sobie w Brazylii, Argentynie, Chile.

W Twoich reportażach było bardzo dużo odniesień do „Solidarności”, patrzenia przez polskie okulary. Czasem mnie to irytowało.

– Na początku miałem je po prostu na nosie. Z czasem zaczęły mi spadać, ale wpłatałem spojrzenie przez nie, po to by ułatwić czy-telnikowi w Polsce wejście w historie, któ-re opisywałem. A potem zdejmowałem je całkiem, żeby pokazać, jak wygląda tamten świat, gdy patrzy się przez inne szkła.

Doświadczenie moje i wielu ludzi moje-go pokolenia jest w całej tej opowieści arcy-ważne. A zarazem zwodnicze. Bo wschod-nioeuropejskie okulary zaburzają odbiór tamtego regionu. Tam wszystko jest do gó-ry nogami. Np. my byliśmy i – choć może mniej – wciąż jesteśmy zapatrzeni w Stany Zjednoczone – oni często nienawidzą Wuj-ka Sama. Gdy my mówiliśmy „komunista”, to mieliśmy przed oczami generała Jaruzel-skiego, ZOMO, jakichś aparatchyków. Zbun-towanym Latynosom komunista kojarzy się z kimś szlachetnym, uczciwym, kto z nara-żeniem życia sprzeciwia się niesprawiedli-wości. Gdy w 1981 roku Lech Wałęsa spo-tkał się z Lulą, wówczas przywódca związ-kowym, miał powiedzieć z przekąsem, że on walczy z komunizmem, a Lula – o komu-nizm. W Ameryce Łacińskiej Pinochet jest powszechnie postrzegany jako zbrodniarz. W Polsce byli i są ludzie myślący o nim jako o bohaterze „walczącym z komunizmem”, a inni – jako o kimś, kto może trochę przesa-dził z tymi represjami, ale ustanowił dobry porządek społeczno-ekonomiczny.

Nie mogę więc od polskiej perspektywy abstrahować, bo ona kształtuje pozycję, z ja-kiej opowiadam – nawet jeśli radykalnie się jej sprzeciwiam. Pokazuję czytelnikom swo-ją przemianę i zapraszam do odbycia po-dobnej podróży. Mojej opowieści o prze-mianach w Ameryce Łacińskiej towarzyszy – na drugim czy trzecim planie – opowieść o przemianie narratora.

To kto opowiada w książce „Rewolucja nie ma końca”? Ktoś rozzarowany polską rewolucją czy ktoś wciąż żyjący jej mitem?

– Ktoś, kto próbuje zrozumieć ludzi w in-nej części świata, ich historię, zapatrywania, dramaty, bolączki – i kto sam przechodzi głęboką przemianę. Z tej przemiany wynika też krytyczne spojrzenie na niektóre aspekty naszej transformacji, owszem.

Ładnie powiedziane, ale konkretniej?

– Przemiana zaczyna się od podważenia własnego „wyposażenia”. Od dostrzeżenia,

że utrudnia ono zrozumienie innego do-świadczenia, które nie było moim udziałem. Czy miałbym komuś z kraju, w którym do-szło do krwawego zamachu stanu wspie-ranego przez Waszyngton, tłumaczyć, że się myli, bo przecież Stany są fajne? Chcia-łem zrozumieć, dlaczego wielu Latynosów ma perspektywę diametralnie różną od mo-jej – w tej i wielu innych sprawach; niejako „przepuścić” ją przez swoje doświadczenie. W efekcie takiego spotkania człowiek two-ry sobie – mam taką nadzieję – pełniejszy obraz świata. I weryfikuje własne przekona-nia oparte o dalece niepełne, czasem zupeł-nie fałszywe dane wyjściowe.

Stosunek wobec Jana Pawła II zweryfiko-wałeś chyba wcześniej niż wielu Polaków.

– Być może. Być może „sprawa Jana Pawła II” była pierwszą, która zmieniła moje spoj-rzenie na różne kwestie w Ameryce Łaciń-skiej. Pisałem o niej jeszcze jako dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

Watykan, a w szczególności papież i kar-dynał Joseph Ratzinger, przyszły papież Be-nedykt XVI, oskarżali teologów wyzwolenia o komunizowanie, robienie z Kościoła ka-tolickiego organizacji rewolucyjnej. To się działo w czasach zimnej wojny, gdy w Bra-zylii, Argentynie, Chile, Urugwaju czy w Bo-liwii panowały antykomunistyczne dykta-tury. U Ratzingera grały, jak przypuszczam, kwestie raczej doktrynalne. U Wojtyły – pol-skie doświadczenie. Gdy jednak próbuje się wejść w buty księży buntowników, oka-zuje się, że to oni stali po dobrej stronie hi-storii. Sprzeciwiali się dyktaturom, upomi-nali o biednych i prześladowanych, bronili praw człowieka. Ówczesny argument, że Ko-sciół nie jest od politykowania, można wło-żyć między bajki – w tym samym czasie po-litykowanie księży w Polsce było dla papie-ża w porządku.

Zarówno w Polsce, jak i w Brazylii Ko-sciół w latach 80. wspierał bunt przeciw autorytarnej władzy. Mój rozmówca – bra-zylijski filozof wykształcony też w Polsce Rubem César Fernandes – mówi, że Kościół był „sanktuarium obywatelskiego nieposłu-szeństwa”. W obu krajach katolicy walczyli przeciw dyktaturom, niesprawiedliwości, ła-maniu praw człowieka. A jednak w oczach papieża z Polski teologia wyzwolenia by-ła głównie koniem trojańskim marksizmu w Kościele. Nawet jeśli nie lubił marksizmu – dlaczego nie dostrzegł w niej przede wszystkim ruchu na rzecz sprawiedliwości, w obronie ludzkich praw?

Jedziesz do Ameryki Łacińskiej, wracasz i myślisz sobie: papież zły?

– To był proces trwający kilka lat, nie żad-ne olśnienie. Podobnie było ze stopniowym przyjmowaniem do wiadomości, jaką ro-lę w tamtym regionie odegrały Stany Zjed-noczonych – opowiadam o tym w „Gorącz-ce latynoamerykańskiej”. Gdy kardynał Pau-lo Evaristo Arns z São Paulo, słynny obrońca praw człowieka, opowiadał mi, że Ameryka-nie szkolili latynoskich wojskowych, jak tor-turować więźniów, żeby zbyt szybko ich nie zabić, początkowo nie chciałem w to wie-rzyć. Te szkolenia odbywały się w osławio-nej School of Americas w stanie Georgia. Na spotkaniu w redakcji „Wyborczej” spytałem o nie Henry’ego Kissingera, zaprzeczył bez mrugnienia okiem. Czyli skłamał. Dużo łat-wiej było z Pinochetem, którego niektórzy w Polsce niemal czcili.

To, że byli ludzie, którzy uważali, że do Pinocheta można mieć – eufemistycznie mówiąc – pozytywne emocje, zawsze mnie zaskakuje.

– W 1998 r. Augusto Pinochet, były dyktator, przywódca junty wojskowej w Chile i wie-łoletni prezydent tego kraju, został areszto-wany w Londynie. Do zatrzymania doszło na prośbę hiszpańskiego sędziego Baltaza-ra Garzona. Zarzucał Pinochetowi, że stał za zabójstwami kilkudziesięciu hiszpańskich obywateli w Chile. I oto po zatrzymaniu by-łego dyktatora nastąpił w Polsce wysyp tek-stów o nim, o Chile, o czasach dyktatury – zwykle niekompetentnych i ideologicznie

Nasze historie, demokracje, kapitalizmy są różne. Łatwo powiedzieć „demokracja przeżywa kryzys”. Ale co to naprawdę znaczy? Czy to samo w każdym miejscu na świecie? Jakich odpowiedzi wymaga kryzys demokracji w Argentynie, a jakich w Polsce?

kompletnie szalonych. Ale to nie brak kom-petencji był uderzający, lecz sympatia do okrutnika. Argumenty? „Pinochet był dobry, bo walczył z komunizmem i bronił chrześci-jarńskiej cywilizacji”. „Wyborcza” była jedną z nielicznych gazet, która opisywała potwor-ności, za jakie był odpowiedzialny.

To był jeden z momentów, które związały mnie mocniej z Ameryką Łacińską. Pozna-łem wtedy Maria Galdameza, politycznego uchodząc z Chile, który w latach 70. osiadł w Polsce. Gdy w mediach toczyły się bata-lie o Pinocheta, Mario opowiedział mi swoją historię. Dyktatura „zniknęła” jego ojca, on sam przeszedł bestialskie tortury, a gdy wy-szedł na wolność, postanowił uciec z Chile... Jego opowieść stanowi ważną część „Go-rączki latynoamerykańskiej”.

Starsi czytelnicy „Wyborczej” może pa-miętają, ale ja nie: kto bronił Pinocheta?

– Prawicowe dzienniki i tygodniki, politycy AWS i na prawo od AWS. Marek Jurek, Mi-chał Kamiński i nieżyjący już Tomasz Wolek polecieli do Londynu, by bronić Pinoche-towi ryngraf z Matką Boską. Pinocheta lubi-li też niektórzy liberalowie, bo podobał im się wprowadzony za rządów chilijskiej junty model ekonomiczny. Jego autorami byli Chi-cago Boys, uczniowie Miltona Friedmana.

Gdy byłem na początku drogi i dopie-ro uczyłem się nowego dla mnie świata, nie miałem wystarczającej wiedzy, by stwier-dzić, że ten model był dla chilijskiego społe-czeństwa dewastujący. A do tego doświad-czenie wyniesione z końcówki PRL – że pań-stwo to zło, a rynek dobry, a na pewno za-wsze lepszy od regulacji – wciąż jeszcze „pracowało” i robiło swoje. Już wiedziałem, że wielu ludzi w Chile nie korzysta z przy-wilejów, jakie ów model dawał nielicznym, a zarazem wciąż pokutowało przeświad-czenie, że to przejściowe. Moja przemiana dopiero się zaczynała... I znówu: Mario był chyba pierwszym, który zwrócił mi uwagę na niszczące dla społeczeństwa skutki ładu wprowadzonego przez Chicago Boys.

Tym razem protestować zaczęto nie przeciwko zbrojnym dyktaturom, ale modelowi ekonomicznemu?

– Pod koniec XX wieku w Ameryce Łaciń-skiej nie było już prawicowych dyktatur, królował neoliberalny model, który zbijał inflację, ale produkował biedę i nierówno-ści. Narastał więc społeczny ferment.

Pierwszym wybuchem było powstanie zapatystów w meksykańskim stanie Chia-pas, któremu przewodził wicekondendant Marcos. Był to bunt regionalny, głównie rdzennych mieszkańców biednego i zanie-dbanego regionu, który stał się zaczynem późniejszej krytyki neoliberalizmu, czyli modelu, w którym zmarginalizowano spo-lęczną rolę państwa i faworyzowano tych, którzy już na starcie byli uprzywilejowani. Wynoszono na ołtarze wolny rynek, ale dość obłudnie, bo rynek kończył się wtedy, gdy trzeba było ratować uprzywilejowanych; np. długi prywatnych banków „uspołecznia-no” i spłacali je wszyscy. Powstanie zapaty-stów było sygnałem fermentu narastającego w wielu krajach Ameryki Łacińskiej.

„Gorączka latynoamerykańska” kończyła się z krachem w Argentynie w 2002 roku.

– W momencie, w którym nie było jeszcze wiadomo, w którą stronę to wszystko pój-dzie. Co prawda w 1998 roku w Wenezueli wybory wygrał Hugo Chávez, a w 2002 roku w Brazylii – Lula, ale nie było pewności, czy to odosobnione zdarzenia, czy nowy trend. Na dobre zaczęło się dziać chwilę potem. W 2005 roku w Urugwaju do władzy do-szła koalicja Frente Amplio (Szeroki Front), a jej lider Tabaré Vázquez został prezyden-tem. W tym samym roku władzę w Boliwii zdobył przywódca rdzennych mieszkańców Evo Morales. W Argentynie od 2003 roku rządził Nestor Kirchner, lewicujący peroni-sta, ale na początku nie było pewne, czy sta-nie się przywódcą o progresywnej agendzie – peronizm to eklektyczny ruch, który mo-że pójść w różne strony. W 2007 r. w Ekwa-dorze władzę zdobył Rafael Correa – i moż-na już było mówić o „różowej fali” w całym regionie.

Wszystkie te „refolucje” dokonują się nie poprzez siłę, nie w wyniku np. wojen party-zanckich, lecz przy urnach wyborczych. Do-brze przypomnieć, że to jest moment koniunktury światowej na surowce i produk-ty rolne, która wszystkim wymienionym krajom przynosi nadwyżkę. I z tej nadwyż-ki egalitarne rządy finansują duże programy społeczne.

Dzieje się więc naprawdę dużo, a społe-czeństwa pod nowym przywództwem prze-nika nastroj nadziei: trzeba naprawić sys-tem, uczynić kapitalizm znośniejszym. Nie wywracamy porządku, lecz chcemy w nim uczestniczyć na pełnych prawach – oto na-czelna idea. Stare elity gospodarcze, oczywi-ście, nie zniknęły, trzymają się mocno – i też one zyskują na koniunkturze. Ale – jak po-każe przyszłość – chętnie skorzystają z oka-zji, by wywrócić progresywne rządy.

Podróżujesz do Ameryki Łacińskiej, wracasz do Polski. Tam zmiany „na lewo”, tu raczej „na prawo”. Tam optymizm, tu mieszane nastroje. Tam lewicowe pomysły, tu neoliberalizm ma się świetnie.

– Zdarzało się, że po dłuższym pobycie tam, trudno mi było się w Polsce odnaleźć. Ży-cie rodzinne i zawodowe miałem oczywiście tu, ale głowa żyła w dwóch światach i tro-chę w różnych czasach historycznych, choć w tym samym czasie fizycznym. Zachodzi-ła we mnie przemiana, którą szkicuję w tle opowieści zawartych w „Rewolucji...”.

W Polsce czasem, przedstawiając to, co się dzieje w Ameryce Łacińskiej, mówiło się o populizmie.

– U nas to negatywna i wszechobecna ety-kieta. Dla jasności opisu czy wywodu naj-lepiej byłoby zawiesić jej używanie. Bo cóż ona oznacza? Może opisywać ruchy poli-tyczne, które stawiają na pierwszym planie interesy ludzi biednych – bez żadnego war-tościowania. Dziś jednak uważa się, że po-pulizm to „kupowanie biednych” czy schle-bianie im w zamian za poparcie. Tak się cza-sem zdarza, ale używanie tu dużego kwan-tyfikatora jest nietrafne i niesprawiedli-we. Słowo „populizm” idealnie wpisuje się w czasy serwisów społecznościowych, gdzie przebijają się mocne etykiety i stanowcze oceny. Oraz upraszczanie, które wykrzy-wia obraz, zafałszowuje. A potem zbieramy owoce: nietrafne rozpoznania rodzą błędne odpowiedzi.

Ze słowem „populizm” jest jeszcze jeden problem. Używamy go do opisywania za-równo naszej rzeczywistości, jak i tego, co wydarza się na innych kontynentach. I ży-wimy złudzenie, że wszystko rozumiemy, bo przecież żyjemy w globalnym społeczeń-stwie naczyni połączonych. A nasze histo-rie, demokracje, kapitalizmy są różne. Ła-two powiedzieć „demokracja przeżywa kry-zys”. Ale co to naprawdę znaczy? Czy to sa-mo w każdym miejscu na świecie? Jakich odpowiedzi wymaga kryzys demokracji w Argentynie, jakich w Wenezueli, a jakich w Polsce?

Mówisz jednak o przesuwaniu się na osi. Od liberala do socjalisty? Szykować nagłówek: „Domosławski komunista”?

– Nie, ponieważ nie byłby prawdziwy, a nie dlatego, że uważam taką kategorię za obraźliwą. Definiowanie się poprzez ideologiczną pieczętkę jest dla mnie trudne choćby dlatego, że nie mam poukładanych odpowiedzi na wiele pytań; nieustająco jestem w drodze, procesie.

No i dogmaty – precz! Owszem, sympatyzuję z ruchami politycznymi, które określa się mianem progresywnych czy egalitarnych; takimi, które zabiegają o poszerzenie praw jednostek, różnych grup i społeczności. Ale od tego do jakiejś deklaracji ideolo jest kawał drogi. Definiuję się raczej jako pisarz, dziennikarz, ktoś w drodze...

Ale twoje pytanie o komunizm zawiera ciekawą intuicję, a na polskim gruncie – prowokację. Czym mogłaby być idea komunizmu dziś? Przecież nie stalinizmem czy maoizmem. Może komunizmem dziś jest postulowanie odejścia od modelu rozwoju opartego na eksploatacji surowców i szukanie innego, który wyhamowałby globalne ocieplenie, plus zabieganie o sprawiedliwy podział tego, co „produkujemy”, również wirtualnie, plus demontaż patriarchatu, plus uznanie praw osób wszelkich? Nie zagłosowałbyś na taką „partię komunistyczną”?

Być może. Kilka lat po upadku komunizmu wyjeżdżasz do krajów, gdzie słowo „komunizm” rozumiane jest zupełnie inaczej.

– No i ten świat mi się zaczyna komplikować. Zdarzało mi się wtedy pisać artykuły niekoniecznie o Ameryce Łacińskiej, które odbiegały, powiedzmy, od niektórych fundamentalnych przekonań ludzi, z którymi pracowałem i się przyjaźniłem. Na przełomie stuleci rzadko w prasie głównego nurtu pojawiały się artykuły wyrażające powątpiewanie wobec neoliberalnych dogmatów, pisane przez kogoś „ze środka”. A jednak „Wyborcza” publikowała je, co bardzo doceniam. Warto przypomnieć, że to był czas, w którym, gdy ktoś krytykował „wypaczenia kapitalizmu”, w oczach dogmatyków staczał się w „odmęty bolszewizmu”. Ja zresztą pisałem w duchu „kapitalizmu społecznego”, czyli takiego, który chroni słabszych. Nie postulowałem rewolucji – mógłbym się teraz uśmiechnąć i dodać, że miałem w sobie za mało latynoskiego ducha buntu.

Nie sądzę w ogóle, by wszystkie argumenty i doświadczenia, o jakie wzbogaciłem się za oceanem, miały zastosowanie tu. Polska ma jednak inną historię. Za sprawą realnego socjalizmu ominęły ją nierówności i bieda w skali takiej jak w Ameryce Łacińskiej.

A nowe nierówności i nowa bieda czasów kapitalizmu nie zbliżyły się nawet do rozmiarów latynoamerykańskich. Nie narodziły się też u nas inne problemy, które hamują rozwój tamtych krajów. A zarazem ze względu na ich zagęszczenie tam dużo lepiej widać, do czego może prowadzić model, w którym również my jesteśmy zanurzeni.

Kiedy w twoim myśleniu nastąpił przełom?

– Przełomowe było alterglobalistyczne Światowe Forum Społeczne w Porto Alegre w 2002 r. Zetknąłem się tam z masą ruchów z krajów Globalnego Południa, które kontestowały dominujący model kapitalizmu. Różnorodne towarzystwo – od reformistycznej partii Luli przez bezrolnych z Boliwii po organizację konsumencką z USA i przedstawicieli różnych społeczności z krajów afrykańskich, którzy wnosili na forum swoje sprawy. Uczyłem się świata, o którym coś już wiedziałem, ale wciąż za mało. Szukałem argumentów. Motorem była intuicja, że coś z tym naszym ładem neoliberalnym jest nie w porządku, a zarazem brakowało mi języka do mówienia na ten temat.

Potem zrozumiałem – m.in. dzięki prof. Michałowi Głowińskiemu – że częścią problemu była pułapka językowa. Zaczynasz krytykować błędy i wypaczenia kapitalizmu, a ludzie w Polsce słyszą nostalgię za PRL-em albo – co gorsza – propagandę PRL-owską. Musiało upłynąć więcej czasu, musieliśmy lepiej poznać ciemne strony kapitalizmu, a na scenę publiczną musiały wejść kolejne roczniki czy pokolenia, m.in. twoje, żeby ta krytyka miała się, na kim i na czym osadzić. W Ameryce Łacińskiej nie było tego problemu, bo tam kapitalizm w wersji najpierw kolonialnej, a potem post- i neokolonialnej mają non stop.

Jeszcze jedno: w dostarczaniu argumentów krytycznych ważną rolę odegrał Ryszard Kapuściński, który moją latynoamerykańską pasję i przemianę bardzo wspierał.

Sam wywołałeś temat. Sprawa twojej biografii Kapuścińskiego, proces i wszystko to, co wydarzyło się przy tej okazji, to jedna z najciekawszych opowieści o dziennikarstwie, a może w ogóle o pisaniu. I o tym, jakie strategie opowiadania historii można stosować, a jakie bywają ryzykowne. Jak dzisiaj patrzysz na „sprawę Domosławskiego”?

– Będę dyplomatyczny. Mam nadzieję, że po tamtej dyskusji wszyscy jesteśmy mądrzejsi. Widzę, że dziś biografie dużo częściej powstają w takim duchu, w jakim pisałem o Kapuścińskim. Coś się zmieniło w tym, jak

opowiadamy o wielkich postaciach – krytycznie, a zarazem doceniając to, co na docenienie zasługuje. Myślę, że bez takiej refleksji nie ma żywej kultury.

Kapuściński był i pozostaje moją ważną inspiracją – i ślady tego są w nowej książce. Był kimś, kto uświadomił nam wszystkich, że większość ludzkości mieszka na Globalnym Południu. Rozmowy z nim pomogły mi zadawać samemu sobie pytania o porządek, jaki stworzyliśmy po 1989 roku. Nie przekreślał absolutnie dobrej części tamtych przemian. To było również moje doświadczenie pokoleniowe i moja „refolucja”. I wcale nie chciałbym żyć w PRL-u, jakiego doświadczyłem w latach 80. Gdy jednak człowieka dopada porewolucyjny entuzjazm, to trochę nie widzi ciemniejszych stron rzeczywistości. Albo widzi je nie dość wyraźnie. Dla mnie kwestionowanie własnych przekonań czy dyskutowanie z przekonaniami innych, także bliskich mi osób, nie jest w ogóle problematyczne. Mogą z tego wynikać dobre rzeczy, ale stało się, jak się stało. Nie bardzo chcę w to wszystko znowu wchodzić...

Już wdępniliśmy.

– Samo streszczenie tego, co się wtedy rozegrało, zajęłoby objętość kilku wywiadów. No dobra, może jedną rzecz warto przypomnieć. Spór o książkę o Kapuścińskim rozpoczął długi proces, w którym reporterzy i reporterki w Polsce zaczęły przyglądać się uważniej samym sobie. Co i w oparciu o jakie źródła opisujemy. W jaki sposób. Czy to weryfikowalne i tak dalej. Sądzę, że z korzyścią dla reportażu.

Zapłaciłeś za to sporą cenę?

– Być może. Zyskałem też spore doświadczenie.

W „Rewolucja nie ma końca” powtarzają się rozdziały zatytułowane „Między dwoma światami”, ale też „Przeszłość, która nie chce odejść”. A czy jest jakaś przyszłość, która chce nadejść?

– To pytanie nurtuje mnie cały czas. Rebecca Solnit, którą kilka razy przywołuję, pisała, że „nadzieja oznacza po prostu, że inny świat jest możliwy, a nie że jest ziemią obiecaną...”. Zmiana społeczna sama z siebie nigdy nie przychodzi. Ci, którzy mają władzę i zasoby, jeszcze nigdy dobrowolnie nie podzielili się nimi. Bez działania, bez zaangażowania lepsza przyszłość nie nadejdzie, a status quo odsłoni tylko gorsze oblicza.

Widzimy to wyraźnie dziś w Polsce. Po ostatnich wyborach wiele osób było entuzjastycznie nastawionych do nowej koalicji. Po roku widzimy, że króluje niemożność. Dzia-

łania służb granicznych wobec uchodźców pokazują, że PiS i strach przed wyborcami PiS-u umeblował głowy tych, którzy mieli przywrócić praworządność. Innym papierkiem lakmusowym jest ustawa antyaborcyjna. Kobiety powinny mieć prawo do decydowania o swoim ciele. Kropka. Wciąż chcę wierzyć, że rządzący przeprowadzą zmiany w tej sprawie do końca kadencji. Choćby częściowe – byle w dobrym kierunku.

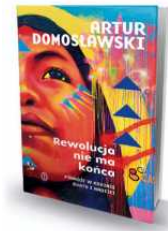
Z kolei my, obywatele, oduczyliśmy się mówić „nie”, buntować – inaczej niż obywatele krajów, o których piszę w „Rewolucji...”. Ten buntowniczy duch społeczeństw Ameryki Łacińskiej zachwyca mnie. Gdyby choć trochę z niego przeniknęło do nas, być może byłibyśmy w innym miejscu. ●



Artur Domosławski

• Artur Domosławski, reporter i biograf. Znawca Ameryki Łacińskiej, którą opisał w książkach „Gorączka latynoamerykańska” i „Śmierć w Amazonii” oraz adresowanej do małych czytelników „Kolumb. Całkiem inna historia”. Wydał też „Chrystus bez karabinu. O pontyfikacie Jana Pawła II”, „Wykluczeni”, „Ameryka zbuntowana. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności”, „Świat nie na sprzedaż. Rozmowy o globalizacji i kontestacji” i – z Wiktorem Osiatyńskim – „Wojny narkotykowe. Doniesienia z pola walki”. Większość jego książek jest dostępna w formie cyfrowej na Publio.pl

Przez lata związany z „Wyborczą”, obecnie reporter „Polityki”. Finalista „Nike” za „Wygnańca”, biografię Zygmunta Baumana, autor głośnej opowieści o Ryszardzie Kapuścińskim „Kapuściński non-fiction”, w nowej, monumentalnej książce „Rewolucja nie ma końca” wraca do Ameryki Południowej, by opowiedzieć historię nowych społecznych rewolucji.



REKLAMA

Kraj/34337865

NOWE ROZSZERZONE WYDANIE BESTSELLEROWEGO PORADNIKA JOANNY FLIS

Dodatkowy rozdział o sensie życia

JOANNA FLIS
MADAME MONDAY

PO DOROSŁEMU
ROZSZERZONE WYDANIE BESTSELLEROWEGO PORADNIKA

NIE WYSTARCZY BYĆ DOROSŁYM, ŻEBY BYĆ DOJRZAŁYM. I O TYM JEST TA KSIĄŻKA.

Autorka pokazuje, poprzez konkretne zadania i ćwiczenia, jak zmierzać ku dojrzałości. Dzięki temu to pojęcie przestaje być sloganem psychologicznym, a staje się konkretnym wyzwaniem i zadaniem dla każdego z nas.

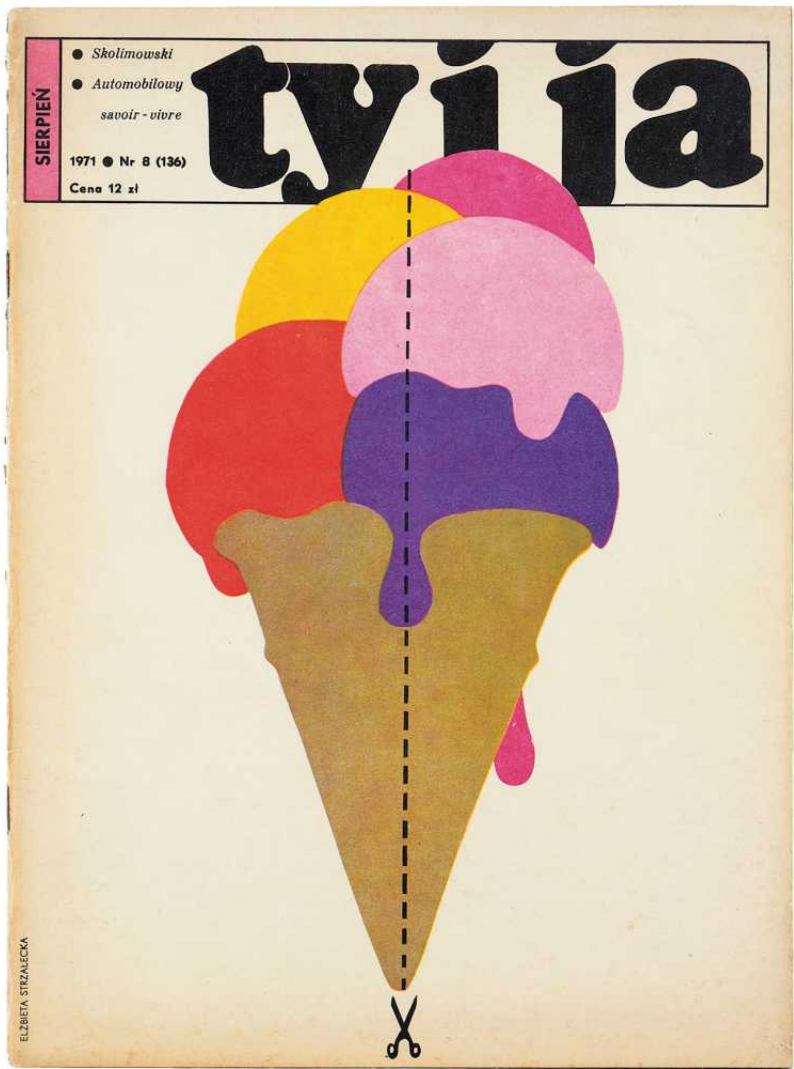
PROF. BOGDAN DE BARBARO

DO NABYCIA W **empik** ORAZ NA **K** KULTURALNY SKLEP.PL W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA **publio.pl**

Wydawnictwo
Agora

Sztuka

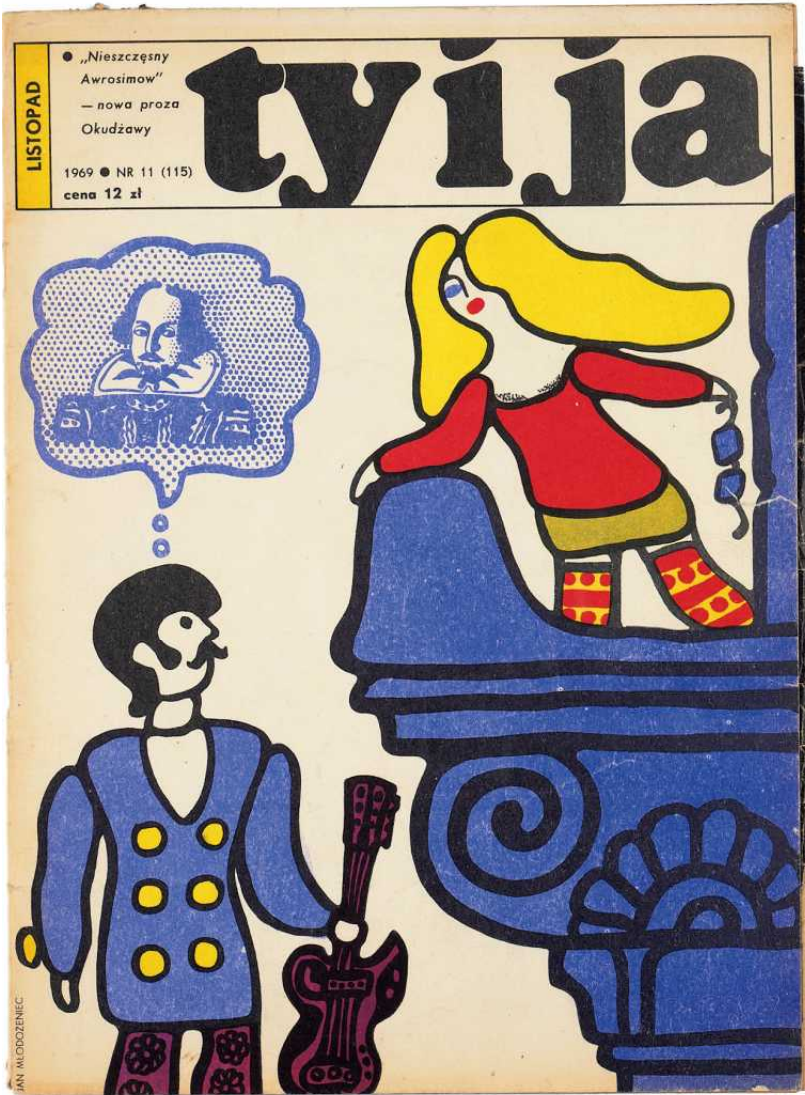
CODZIENNOŚCI W PEERELU



Z JULIĄ LIBERĄ I AGATĄ SZYDŁOWSKĄ,
KURATORKAMI WYSTAWY „TY I JA». LAJFSTAJLOWY
MAGAZYN Z PEERELU” ROZMAWIA DAWID DRÓŹDŹ



Nie wszystko było siermiężne. W PRL-u było pismo,
które pokazywało normalny, mądry, ładny świat.
Mowa o wydawanym na przełomie lat 60. i 70.
magazynie „Ty i Ja”.



DAWID DRÓŹDŹ: Czym w latach 60. był w Polsce lajfstajl?

JULIA LIBERA: W Polsce używało się raczej sformułowania „kultura życia codziennego”!

AGATA SZYDŁOWSKA: Myślę, że jest to nawet lepsze pojęcie niż lajfstajl, bo w istocie o tę kulturę życia codziennego chodzi – o kulturę rozumianą jako sztuka, literatura, ale także moda, estetyka, obyczaje, kulinaria, wychowanie dzieci czy kwestie małżeńskie. To po prostu sztuka codzienności.

W latach 60. na Zachodzie zapoczątkowano dyskusję o stylu życia w kontekście konsumpcji i tego, jak wybory dotyczące hobby czy jedzenia różnicują ludzi. Pojęcie stylu życia pojawiło się w krajach kapitalistycznych i było mocno związane z gospodarką rynkową. Oczywiście w Polsce żyliśmy w innym systemie,

ale w magazynie „Ty i Ja” ukazywały się treści, które współcześnie pojawiają się pod szyldem lajfstajlu.

Tak więc nasz tytułowy lajfstajl jest zapożyczeniem terminu z innego kontekstu i innej kultury, który jednak dużo lepiej przemawia do dzisiejszych odbiorców i jest zrozumiały.

Jak to w ogóle możliwe, że takie „zachodnie” lajfstajlowe pismo zaczęło ukazywać się w Polsce w czasach głębokiej komuny?

J.L.: Teresa Kuczyńska, która założyła to pismo wraz z Romanem Jurysem, mówi, że to było echo odwilży. W latach 60. pojawiła się świadomość, że brakuje pisma dla wykształconych kobiet. Udało im się namówić Ligę Kobiet, aby została wydawcą. Dostali dzięki temu przydział papieru.

Juryś, przedwojenny komuni-
sta, człowiek o niebywale szeroki-
ch horyzontach, był pierwszym
redaktorem naczelnym. Po wojnie
był wicenaczelnym „Trybuny Lu-
du”, z której odszedł w 1956 roku.
Później pracował w „Zwierciadle”,
gdzie poznał wspomnianą Teresę
Kuczyńską, młodą dziennikarkę.
Tytuł „Ty i Ja” odnosi się do pary
założycieli – mężczyzny i kobiety.

Juryś został wywalony po
trzech latach po interwencji Go-
mulk. W jednym z numerów opu-
blikowano zdjęcie byłego sekre-
tarza Komitetu Warszawskie-
go PZPR Stefana Staszewskiego
na wernisażu wystawy Aliny Sza-
pocznikow. Staszewski stoi obok
rzeźby w pozie Napoleona. Go-
mulka był wtedy z nim w konflik-
cie. Po zobaczeniu tego zdjęcia za-
rządził, aby zamknąć pismo. Osta-
tecznie magazyn udało się urato-
wać, ale Juryś musiał odejść.

Tymczasowo zastąpił go Ju-
liusz Garztecki, który jednak nie
był akceptowany przez kolegium
redaktorskie. Naczelną została
więc Maria Borowska, która przez
dziesięć lat prowadziła pismo
w sposób niebywały. Dziennikarze
wspominają ją jako osobę z nie-
zwykłą klasą i wysoką kulturą oso-
bistą. Jej nazwisko nigdy nie poja-
wiała się w piśmie.

Chciała pozostać anonimowa?

A.S.: To jest tajemnicza sprawa,
ponieważ w stopce skład redakcji
nie jest wymieniany – nie ma ani
redaktorów naczelnych, ani zespó-
łu redakcyjnego. Są wyłącznie gra-
ficy, czyli autorzy makiety. To po-
kazuje, jak ważna to była funkcja
– podkreślano autorskość oprawy.
Jeśli chodzi o autorstwo poszcze-
gólnych artykułów, bywa różnie.
Niektóre teksty w ogóle nie są pod-
pisywane, inne są podpisane pseu-
donimami.

J.S.: Przeprowadziliśmy śledz-
two, aby odkryć, kto był auto-
rem niezwykle popularnej rubry-
ki „Opiekun domowy”. Okazało
się, że byli to socjolog Jerzy Szacki
i krytyk Roman Zimand. Dlaczego
nie podpisywali swoich tekstów?
Przypuszczam, że dlatego, że by-
li związani zawodowo z innymi te-
matami.

A.S.: Tak jak Tadeusz Żakiej,
muzykolog, który w „Ty i Ja” pi-
sał o kulinariach. Publikował pod
pseudonimami Maria Lemnis
i Henryk Vitry. Podejrzewam, że
ludzie, którzy mieli kariery gdzieś
indziej, nie chcieli być kojarzeni
z tematami, które mogły być uzna-
wane za błahie czy niepoważne.

Marcin Wicha zauważa, że „Ty i Ja” to bezpośredni zwrot do obywatela, zrywający z ceremonialnym „obywatelu” albo kolektywnym „wy”.

A.S.: To pokazuje nam zwrot, któ-
ry dokonał się w czasie odwilży
w kierunku bezpośredniości i pry-
watności. „Ty i Ja” zaczęło uka-
zywać się cztery lata po odwilży
– pojawiają się meble o modnych,
organicznych formach, jazz czy
filmy takie jak „Niewinni czaro-
dzieje” Andrzeja Wajdy czy „Nóż
w wodzie” Romana Polańskiego.

Mamy zwrot ku młodości, przy-
jemności, ale też lekkości i niefor-
malności. Polska to już nie tylko
czarne smutne Wolgi, ale też mło-
dzieżowe skutery Osa. Lata 60. nie
były monolitem. Wciąż było dużo
ciężkości, ale coraz większą popu-
larnością cieszyła się kultura bez
zadęcia. „Ty i Ja” ze swoją bezpo-

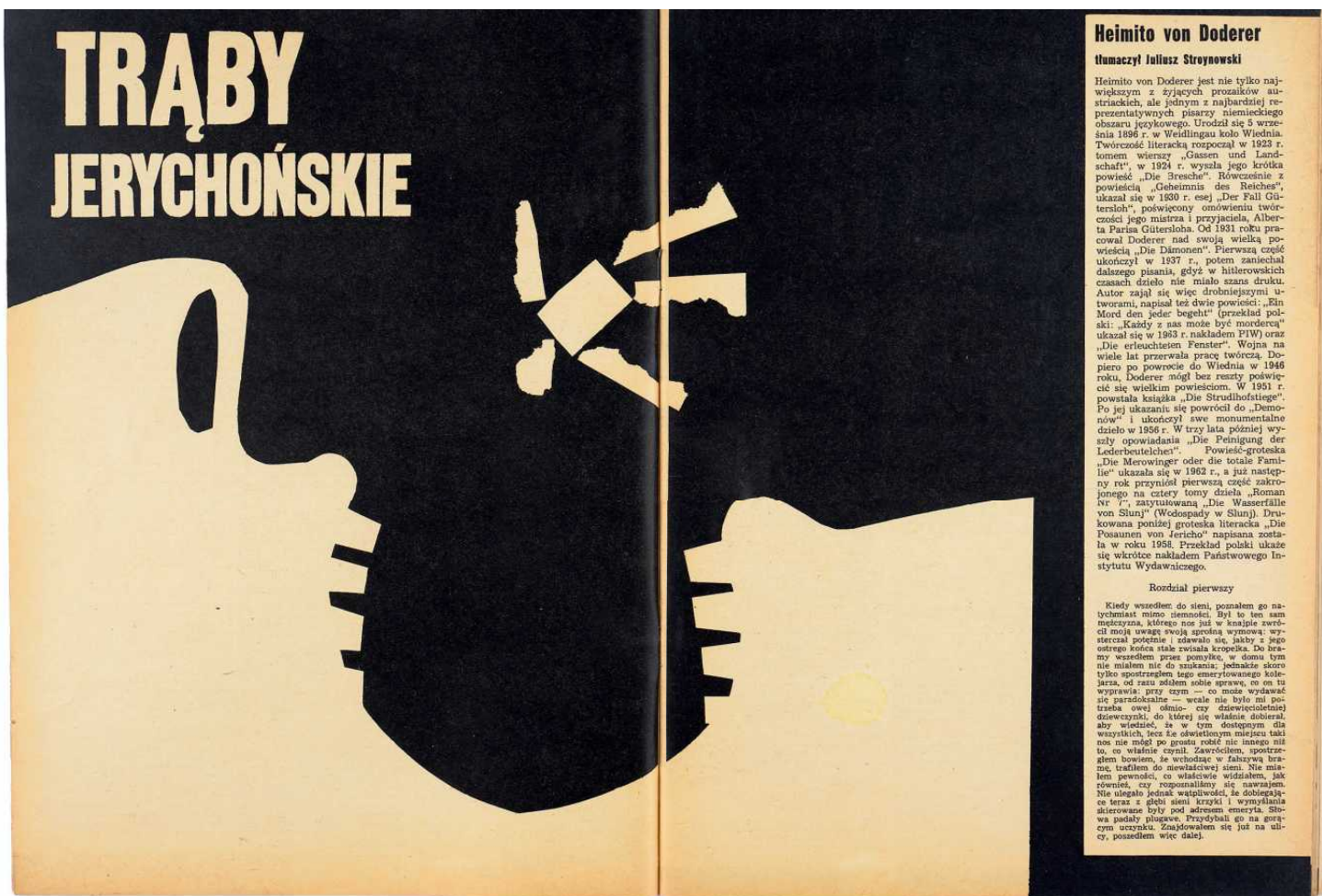
średniością, lekkością i poczuciem
humoru wpisało się w ten nastrój.

Po wyjściu z wystawy pomyśla- łem: „Jak to możliwe, że w latach 60. w Polsce powstawało tak progresywne pismo”. W „Ty i Ja” pisano otwarcie o seksualności, antykoncepcji, feminizmie czy zachodniej kulturze.

A.S.: PRL był pruderyjny, o seksie
nie pisano w kontekście innym niż
planowanie rodziny. W „Ty i Ja”
mieliśmy do czynienia z wyjątko-
wymi treściami, choć nie przesza-
dzałabym z jego progresywnością,
ponieważ mieszcza się one w gra-
nicach normy – a normą był zwią-
zek dwupłciowy.

W latach 60. w Polsce doszło do
zmian obyczajowych. W 1956 ro-
ku wprowadzono prawo do abor-
cji – na początku było ono ograni-
czone, a od 1960 roku aborcja była
na życzenie. Tzw. kobieca prasa pi-
sała o planowaniu rodziny – cho-
dziło o edukowanie w zakresie an-
tykoncepcji, aby te aborcje nie by-
ły nadużywane.

„Ty i Ja” wyróżniało się języ-
kiem, jakim o takich sprawach pi-
sano. Nie infantylizowano czytel-
niczek tak jak w mniej ambitnych



Heimito von Doderer

tłumaczył Juliusz Strykowski

Heimito von Doderer jest nie tylko naj-
większym z żyjących prozaików au-
striackich, ale jednym z najbardziej re-
prezentatywnych pisarzy niemieckiego
obszaru językowego. Urodził się 5 wrze-
śnia 1896 r. w Weidlingau koło Wiednia.
Twórczość literacką rozpoczął w 1923 r.
tomem wierszy „Gassen und Land-
schaft”, w 1924 r. wyszła jego krótka
powieść „Die Streiche”. Rozwinięte z
powieścią „Geheimnis des Reiches”,
ukazał się w 1930 r. esej „Der Fall Gü-
tenbach”, poświęcony omówieniu twór-
czości jego mistrza i przyjaciela, Alber-
ta Parisa Gütersloha. Od 1931 roku pra-
cował Doderer nad swoją wielką po-
wieścią „Die Dämonen”. Pierwszą część
ukończył w 1937 r., potem zaniedbał
dalejsze pisanie, gdyż w hitlerowskich
czasach dzieło nie miało szansa druku.
Autor zajął się więc drobniejszymi ut-
worami, napisał też dwie powieści: „Ein
Mord den jeder begeht” (przekład polski:
„Kiedy z nas może być mordercą”)
ukazał się w 1943 r. nakładem PWN oraz
„Die erleuchteten Fenster”. Wojna na
wiele lat przerwała pracę twórcą. Do-
piero po powrocie do Wiednia w 1946
roku, Doderer mógł bez restrykcji po-
święcić się wielkiemu powieściom. W 1951 r.
powstała książka „Die Strudlhölztage”.
Po jej ukazaniu się powrócił do „Demo-
nen”. I ukończył swe monumentalne
dzieło w 1956 r. W trzy lata później wy-
szły opowiadania „Die Feinigung der
Lederbeutelscher”. Powieść-groteska
„Die Mervelinger oder die totale Fam-
ilie” ukazała się w 1962 r., a już następ-
ny rok przyniósł pierwszą część zaku-
rzonego na cztery tomy dzieła „Roman
nr 7”, zatytułowaną „Die Wasserfälle
von Slung” (Wodospady w Slung). Dru-
kowaną później groteskową literacką „Die
Poisunen von Jericho” napisana zosta-
ła w roku 1958. Przekład polski ukazuje
się wkrótce nakładem Państwowego In-
stitutu Wydawniczego.

Rozdział pierwszy

Kiedy wszedłem do sieni, poznałem go na-
tychmiast mimo ciemności. Był to ten sam
mężczyzna, którego nieśmiało w kątach zwie-
cił moją uwagę swoją sprężną wyrazą wy-
sterczał potężnie i miało się, jakby w jego
ostrego końca stała zwisała kropka. Do bra-
ny wszedłem przez pomysłową, ale dla mnie
nie miałam nic do zyskania; jednakże skoro
tylko spotkałem tego energicznego kula-
rę, od razu odleciał mi głowa, co on tu
wyprawia, przy tym – co może wydać
się paradoksalne – wcale nie było mi po-
trebna owej odśwież – czy dziesięćdziesiąt
dziesięćdziesiąt, do litery nie wiedziałem, jak
aby wiedzieć, że w tym dostępnym dla
wzroku, bez le obrotowym miejscu, tak
nie mógł po prostu robić nie innego niż
to, co właśnie zrobił. Zerknięciem, spostrze-
giem bowiem, że wchodził w falistą bra-
mę, trafiał do niewielkiej sieni. Nie miałem
pewności, co właściwie widziałem, jak
złoty, czy rozpalający się nawzajem.
Nie ulegało jednak wątpliwości, że dobiegają-
ce brzoła głębi sieni krzyk i wyrywanie
słuchowca były pod adresem emeryta. Słowa
padły piśkliwe. Przysłuchiwałem się na gor-
nym uszyku. Zauważyłem, że już na uli-
cy, poszedłem więc dalej.



Julia Libera

- Kulturoznawczyni, absolwentka Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje w Domu Spotkań z Historią w Warszawie, gdzie kieruje działem wystaw. Producentka wystaw, m.in. „Zbyszko Siemaszko. Fotograf Warszawy”, „Pozowane, podpatrzone. Fotografie Wojciecha Plewińskiego”, „Niedenthal”, „Miałowidzenie. Fotografie Czesława Olszewskiego” czy „Tadeusz Rolke. Fotografie warszawskie”.

Agata Szydłowska

- Badaczka, autorka książek, kuratorka. Absolwentka historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, Szkoły Nauk Społecznych przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, ma doktorat z etnologii. Pracuje w Katedrze Teorii Designu na Wydziale Wzornictwa Akademii Sztuk Pięknych w Warsza-
wie, gdzie prowadzi zajęcia między innymi z historii wzornictwa. Autorka i współautorka książek o typografii, polskim projektowaniu graficznym i czasopiśmie z PRL-u, m.in. „Futurał. O urzędowaniu mieszkań w PRL-u”, „Paryż domowym sposobem” i „Od solidarycy do TypoPolu”.



magazynach, np. „Przyjaciółka”
czy „Kobieta i Życie”. Tam wykony-
wano pracę u podstaw, w „Ty i Ja”
uważano, że nie trzeba tłumaczyć
podstaw, tylko trzeba informo-
wać czytelników.

J.L.: W „Ty i Ja” od początku po-
ruszono tematy seksu – pojawia-
ły się wypowiedzi ginekologów czy
Kazimierza Imielińskiego, pierw-
szego seksuologa w Polsce. Poda-
wano konkretne porady dotyczą-
ce jakości życia seksualnego. We
wspomnianej rubryce „Opiekun
domowy” promowano nowy typ
małżeństwa oparty na partner-
stwie i współodpowiedzialności.

Był artykuł pt. „Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie” amerykańskiego psychiatry Da- vida Reubena, który pisze o dość konserwatywnym podejściu ludzi do seksu, którzy uprawiają go wyłącznie w nocy, po ciemku, pod koldrą.

J.L.: Mnie zaskoczył wygląd roz-
kładówki, która przedstawia ca-
lującą się parę na krwistoczerw-
nym tle.

A.S.: Ten artykuł był zaskakują-
co na czasie. Reuben zdaje relację
z najnowszych ustaleń seksuolo-
gów amerykańskich. To był rodzaj
edukacji seksualnej, której wtedy
nie było, nieograniczającej się tyl-
ko do kwestii antykoncepcji. A tu-
taj czytamy wprost o takich rze-
czach jak przyjemność z seksu
i praca nad życiem intymnym ja-
ko ważnym komponentem relacji
damsko-męskich. To jest artykuł,
który równie dobrze mógłby się
ukazać dzisiaj.

A jakie było podejście „Ty i Ja” do roli kobiet w życiu społecz- nym? W latach 60. w Stanach i Europie Zachodniej szalała przecież druga fala feminizmu.

A.S.: Odwilżowa kobieta miała być
wielofunkcyjna – miała chodzić
do pracy, ale też opiekować się
domem i dbać o urodę. Miały jej
w tym pomagać nowoczesne urzą-
dzenia.

„Ty i Ja” starało się jednak iść
z duchem czasów i reagować na
to, co dzieje się na świecie. W jed-

nym z numerów ukazał się duży artykuł o Betty Friedan, ikonie drugiej fali feminizmu w USA. To nie byłoby zaskakujące, gdyby ten tekst pojawił się w kontekście krytyki zachodniej kultury – Friedan pisała wszakże o tym, jak zachodnie społeczeństwo kapitalistyczne tłamsi kobiety.

Ale autorka tekstu pisze w takim mniej więcej duchu: „Kochani, nie cieszymy się, że w Stanach kobiety mają złe, bo my też mamy robotę do wykonania. U nas też jest nierówność, u nas też kobieta musi siedzieć w domu i zasuwać przy obowiązkach domowych”.

W „Ty i Ja” jest mnóstwo artykułów o sprawach niebędących typowo kobiecymi: kinie, muzyce czy nauce.

A.S.: Teresa Kuczyńska zauważa, że w praktyce to było „czasopismo dla domu”. Czytały je zarówno kobiety, jak i mężczyźni oraz starsze dzieci. Było sporo mody męskiej czy tematyki kulturalnej, która nie ma płci.

Należy podkreślić, że było dość drogie, kosztowało 12 zł i szybko znikало z kiosków, co ograniczało grupę odbiorców. Siłą rzeczy to pismo czytały osoby lepiej wykształcone.

J.L.: O kinie pisał przede wszystkim krytyk Andrzej Kołodyński, który miał przywilej oglądania wielu produkcji na przedpremierowych pokazach. Teksty o niektórych filmach ukazywały się dwa czy trzy lata przed polską premierą.

Podobnie było z literaturą. W „Ty i Ja” premierowo przedrukowano fragmenty np. „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa czy „Człowieka bez właściwości” Roberta Musila. Mieli nosa, bo publikowali żyjących autorów, których dzieła nie były jeszcze w kanonie literatury – Capote’a czy Vonneguta. To były nieoczywiste wybory.

Albo Jamesa Baldwina!

A.S.: Który w Polsce ma dopiero teraz swoje pięć minut.

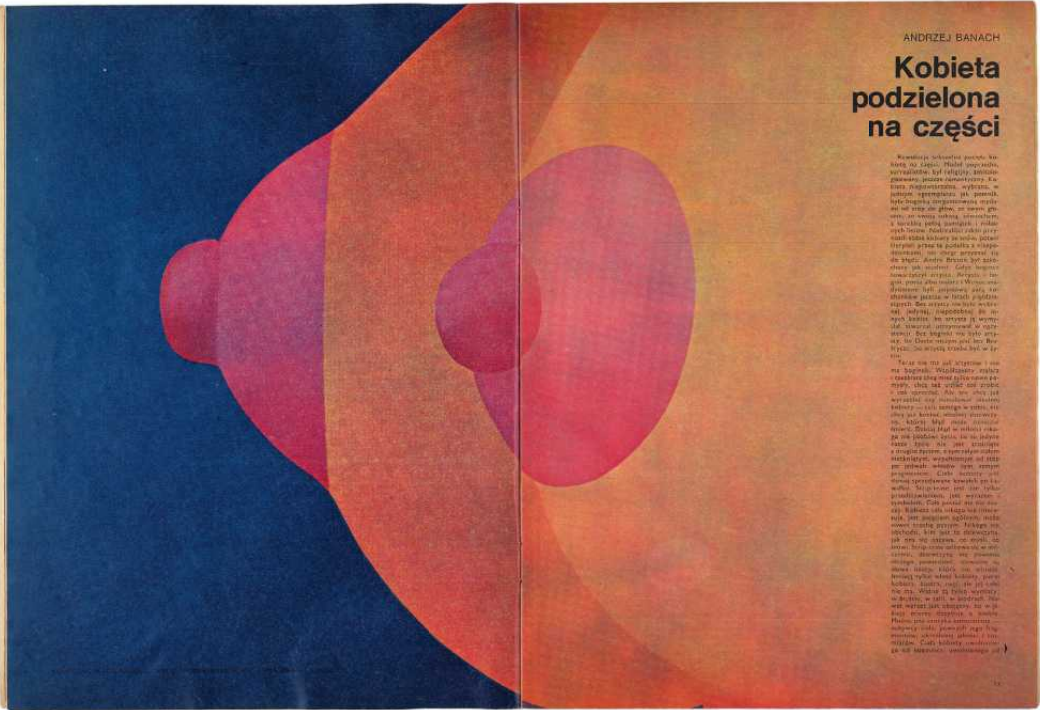
„Ty i Ja” realnie oddziaływało na społeczeństwo?

J.L.: Sekcja modowa była często krytykowana za odrealnienie. Zamieszczano np. przedruki z „Harper’s Bazaar”. Zarzuty o to, że moda była tak elitarna, są nietrafione. Prezentując paryskie swetry, pisało: takich nie kupicie, ale pokażemy wam, jak samemu sobie je wydziergać.

Czytelnicy w rozmowach z nami podkreślali, że w tej PRL-owskiej „szarzyźnie” „Ty i Ja” było inspirujące; motywowało ich do działania, rozbudzało marzenia, tworzyło gusta, promowało wybieranie wartościowych produktów – filmów, mebli czy ubrań. Ten magazyn poszerzał wyobraźnię o świecie. Nie mogliśmy pojechać do Brazylii czy londyńskiej galerii, ale mogliśmy zobaczyć, jak ten świat wygląda.

Pismo nie miało problemu z cenzurą?

A.S.: Nie spotkałyśmy się z przypadkami drastycznej ingerencji cenzury, co świadczy o tym, że nikt w „Ty i Ja” nie ryzykował publikowania wywrotowych treści. W archiwum znalazłyśmy nieoczywiste przykłady ingerencji Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – jego funkcjonariusze wylapywali błędy interpunkcyjne



W „Ty i Ja” od początku poruszano tematy seksu – pojawiały się wypowiedzi ginekologów. Podawano konkretne porady – mówią kuratorki wystawy



albo ortograficzne. Byli dodatkowo korektą.

Doszukaliśmy się tylko dwóch przykładów merytorycznej cenzury. Wyrzucono opowiadanie o filmie „Walkower” Jerzego Skolimowskiego. Dlaczego? Nie wiem. Film powstał, był dystrybuowany w kinach.

Nie ukazał się też wywiad z muzealnikiem z Jugosławii, który powiedział, że u nich można zapra-

ścić kogo się chce w przeciwieństwie do krajów kontrolowanych przez ZSRR. Było wiadomo, że to musi wylecieć.

Kluczowa była autocenzura. Wszyscy wiedzieli, o czym można pisać, a o czym lepiej nie. Natomiast nikt nie usuwał treści dotyczących nowinek z Zachodu czy krytycznych głosów wymierzonych w krajowy przemysł. Partia wręcz zachęcała do krytyki, aby motywować do wzmożonej pracy na rzecz budowy socjalizmu.

J.L. Klimat zmienił się w latach 70. Teresa Kuczyńska uważa, że „Ty i Ja” zamknięto, bo tego Zachodu było za dużo. W końcu partię to zmęczyło i postanowili przemianować pismo na ugrzeczniejszy „Magazyn Rodzinny”.

Czego możemy się dowiedzieć z „Ty i Ja” o tamtej epoce?

A.S.: Że była niejednoznaczna i zaskakująca. Że lata 60. to nie tylko niedobory, przaśność i wersalki obite nieatrakcyjnymi tkaninami. Nie wszystko było rozklekotane i siermiężne. Jasne – tę przaśność też znajdziemy. Prezentowano np. asortyment polskich sklepów. Z dzisiejszej perspektywy to

są niesamowicie śmieszne rzeczy, np. z wielką fascynacją pisano o suszarce do naczyń.

J.L.: [Przegląda magazyn w poszukiwaniu wspomnianej rubryki] O, mam! Pojemnik na gałki antymolowe, gumowy przytrzymacz do mydła... To niesamowite, jak się starali, aby przedstawić te rzeczy w atrakcyjny sposób.

Brakuje wam dzisiaj takiego pisma jak „Ty i Ja”?

A.S.: Ja bym kupowała. Mnie w ogóle brakuje tego typu magazynów.

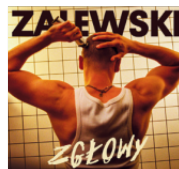
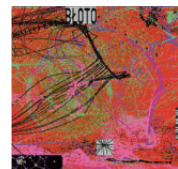
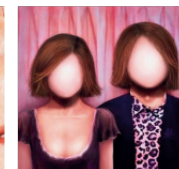
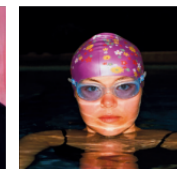
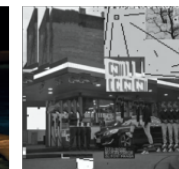
J.L.: Też bym kupowała. Teraz chłoniemy wszystko internetowo i sama muszę dokonywać wy-

borów – to, co podpowiadają mi algorytmy, wcale nie jest tym, co chciałabym mieć. W „Ty i Ja” mamy feerię tematów z dobrze napisanymi tekstami; podsuwali rzeczy – ubrania, książki, przedmioty codziennego użytku – które były naprawdę wartościowe. ●

• Wystawa pt. „»Ty i Ja«. Lajfstajlowy magazyn z Peerelu” do obejrzenia w Domu Spotkań z Historią w Warszawie do 16 marca. We wrześniu nakładem wydawnictwa DSH ukazała się książka „»Ty i Ja«. Magazyn, grafika, zjawisko” Julii Libery i Agaty Szymańskiej. Książka do kupienia online na stronie księgarni DSH za 129 zł.

wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński; MAGAZYN: KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabirska GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski FOTODYSCJA: Marta Błażejowska WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-90-11	DRUK: Wyborcza sp. z o.o. PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44 Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

POLSKA DZIESIĄTKA

									
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
Coals	Tomasz Makowiecki	Krzysztof Zalewski	Kosmonauci	Błoto	Daria ze Śląska	Kaśka Sochacka	Matylda / Łukasiewicz	Dominika Płonka	Żyto/ Noon
Sanatorium	Bailando	Zgłowy	Sorry, nie tu"	Grzybnia	Na południu bez zmian	Ta druga	Matka	Dominika Daniela	GLITCHY PRAGA



FOT. JAKUBOWCZAREK

PŁYTA ROKU „WYBORCZEJ:

Z DAŁA OD WARSZAWKI

Coals i album „Sanatorium”. Te piosenki są jak powrót do przeszłości, w którym przerabia się różne lęki. Ale finalnie się z nich wychodzi

Blisko wygrania plebiscytu na polską Płytę Roku „Wyborczej” byli już w 2020 r. z albumem „Docusoap”, ale w roku lockdownów, wygrać mogła tylko płyta o tytule „Home” Hani Rani. Teraz nasi jurorzy nie mieli już wątpliwości, że to duet ze Śląska nagrał najciekawszy polski album 2024 r. Co mogło o tym zdecydować?

Po pierwsze: Coals dojrżeli. To już nie dobrze zapowiadające się, podpatrujące zachodnie trendy „Węgielki”, ale pewny siebie, świętujący w tym roku 10-lecie istnienia zespół, który wypracował własne brzmienie. Owszem, Łukasz Rozmysłowski i Kacha Kowalczyk czerpią z nostalgicznego popu lat 80. i klubowej elektroniki lat 90., ale reagują na teraźniejszość i zdecydowanie patrzą w przyszłość.

Po drugie: „Sanatorium” to demonstracja kompozytorskiej wszechstronności

obojga oraz producenckiej biegłości Rozmysłowskiego. „Kurort” brzmi jak hymn z wymarzonej kolonii milenialsów. Doskonałe skrojony electropopowy przebój? Posłuchajcie „Reflektorów” i sprawdźcie, kiedy uda się wam od nich uwolnić. Oniryczna ballada? Proszę bardzo, zakolyszcie się z „Primabaleriną”. A jeśli wolicie tańczyć do drum’n'bassu, wskoczcie w „Nowy świat”.

Po trzecie i decydujące: Kacha na dobre porzuciła angielski na rzecz mowy ojczystej, okazując wybitny talent do kreowania duchologicznych obrazów i przywoływania w głowach słuchaczy wspomnień z czasów dawniejszych („za oknami huk, to chyba zamieć” w piosence „Ferie X lat temu”) i tych całkiem niedawnych („znowu cię mijam/ wszystko widzę wspaniale/ gra tam mi serial/ to była zima ’22” w „Reflektorach”).

Mimo kilku zaskakująco durowych jak na Coalsów akcentów („Kurort”, „Dzwony”), w tym „Sanatorium” nie jest jakoś specjalnie wesoło (choć nie jest to też, uspokajam, „Sanatorium pod Klepsydrą”). Czasy jednak też specjalnie nie napawają optymizmem. I także właśnie dlatego „Sanatorium” świetnie nadaje się na muzyczną pamiątkę z roku 2024.

Jędrzej Stodkowski

Z KACHĄ KOWALCZYK I ŁUKASZEM ROZMYŚŁOWSKIM Z DUETU COALS
ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT

Rok 2024 był dla Coals jubileuszowym, minęło dziesięć lat od powstania zespołu. Nie celebrowaliście jednak tej rocznicy z wielką pompą.

Kacha: Nie do końca czuję, że to dziesięć lat. Chyba ze względu na pandemię, która wycięła nam dwa-trzy lata z działalności. Głupio mi mówić o dziesięciu latach Coals, skoro mieliśmy taką przerwę. Oczywiście podczas pandemii trafiały się pojedyncze wydarzenia, ale w głowie wydaje mi się, że ten zespół istnieje krócej.

Łukasz: Nie wiem, kiedy go dokładnie założyliśmy. Czy kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, czy kiedy wydaliśmy pierwszą epkę? Trudno określić, kiedy powinniśmy świętować ten jubileusz.

Kiedy zagraliście pierwszy koncert?

Kacha: W listopadzie 2014 r. w Krakowie, w Alchemii. Pierwszą piosenkę wydaliśmy miesiąc wcześniej.

Dziesięć lat jak nic.

Łukasz: No dobra, chyba po prostu nie lubimy świętować.

Spróbuję was jednak namówić do krótkiego podsumowania. Do czego potrzebny był wam wtedy Coals?

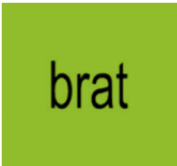
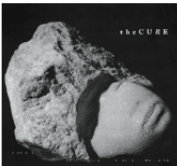
Łukasz: Poznaliśmy się w internecie, przez przypadek i niczego nie zakładaliśmy, nie umawialiśmy się, jaki to ma być zespół. Po prostu spodobało nam się wspólne robienie muzyki. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Kacha: Rzuciłam właśnie pierwsze studia, które mi się nie podobały, i miałam półroczną przerwę. Chodziłam do szkoły policealnej, żeby mieć ubezpieczenie i zniżki, ale rodzice byli na mnie strasznie źli. Próbowałam więc znaleźć coś, żeby wypełnić tę lukę. Zaczęłam jeździć do Łukasza i robić z nim muzykę, a to, co nagraliśmy, podsyłałam mamie. Tak jakoś wyszło.

Mama to kupiła?

Kacha: Początkowo uważała, że to spoko zajęcie, ale tylko jako pasja i chciała, żebym poszła do normalnej pracy albo przygotowywała się do następnych studiów. Później zresztą poszłam na studia i je skończyłam. Wtedy

ZAGRANICZNA DZIESIĄTKA

									
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
Charli XCX	Billie Eilish	Fontaines D.C.	The Cure	Nick Cave & The Bad Seeds	Tyler, the Creator	Arooj Aftab	Kendrick Lamar	Magdalena Bay	Vampire Weekend
brat	Hit Me Hard and Soft	Romance	Songs Of A Lost World	Wild God	Chromakopia	Night Reign	GNX	Imaginal Disk	Only God Was Above Us

jednak nie czułam się zbyt dobrze i robienie muzyki Coals było moją ucieczką. Dzięki temu mocno zacząłam w siebie wierzyć, no i zespół szybko stał się moją pracą.

Lukasz: Tego lata, kiedy zaczęliśmy się z Kachą spotykać, by robić muzę, miałem iść do swojej pierwszej wakacyjnej pracy. Znalazłem już sobie coś w okolicy, ale powstał zespół – i o tym zapomniałem. Tak się złożyło, że już po roku dzięki Coals pojawiły się pierwsze pieniądze. Do dziś nie miałem żadnej innej pracy.

A po co wam Coals dzisiaj?

Kacha: Dla mnie to ciągly rozwój i ciągle zaskakiwanie samej siebie. Każde nasze wydawnictwo jest inne. Przy każdym trochę ryzykujemy, choćby współpracując z nowymi ludźmi w obszarze wizualnym.

Lukasz: Też tak mam. Cieszę się, że od początku tak robiliśmy, i kiedy się zmieniamy, ludzie się nie denerwują, nie mówią nam, że tak nie wolno. Możemy próbować nowych, dziwnych rzeczy i nasi słuchacze nie będą nam mieli tego za złe. Będą się z tego cieszyć.

Kacha: Najwięcej negatywnych komentarzy pojawiło się w 2017 r., kiedy nagraliśmy z Hatti Vatti piosenkę „VHS Nightmare”, która miała dość eksperymentalny vibe. Dla ludzi, którzy słuchali nas od początku, od „Weightless” i „Sting”, to mógł być szok. Nie przejmowałam się tym jednak.

Dominują komentarze pozytywne, choć pozwalacie sobie na wiele, ciągle poszukujecie, zmieniacie się nawet w obrębie jednego albumu. Nie wszyscy muzycy mają tyle odwagi.

Kacha: Artyści często są uzależnieni od walidacji branżowej i opinii fanów, a my raczej nie. Ludzie cenią nas chyba za... całokształt. Słucha nas dużo młodych, dumnych z tego, że poznali nas już trzy lata temu, chociaż gramy od dziesięciu. Mamy też odbiorców z hip-hopowych grupek z Twittera czy Instagrama, oni są bardzo zaangażowani.

Lukasz: Ale są też fani, których widujemy na koncertach od początku. Cieszę się, że w znacznej części są to ludzie do nas bardzo podobni. To diggerzy, którzy szukają nowych dźwięków, słuchają różnej muzyki, nie deklarują, że kochają tylko gitary albo wyłącznie elektronikę.

Jako fan – rozumiem. Tylko czy jako artystom nie byłoby wam łatwiej poruszać się w obrębie jasno określonej estetyki, przynależać do jakiejś sceny?

Kacha: Cały współczesny pop jest oparty na mieszananiu mikrogatunków. Wydaje mi się, że wydanie albumu na przykład czysto ambientowego, bez glitchy czy np. elementów r’n'b, byłoby dość nudne.

Cenię zonglowanie gatunkami, ale to wzywianie, trzeba to robić z głową. Lubię na przykład „MOTOMAMI”, album Rosalii – tam jest wszystko. Z jednej strony liryczne kawałki nawiązujące do flamenco, z drugiej agresywny reggaeton, później deconstructed club. Każda piosenka jest inna, ale jednocześnie wszystko układa się w spójną całość.

Lukasz: Wydaje mi się, że robimy art pop. Jest chyba taki gatunek? Zonglujemy wpływami z różnych odmian muzyki, ale staramy się to zawsze upiosenkować.

Kultura lubi sanatoria – od „Czarodziej-skiej góry” i „Sanatorium pod Klepsydrą”, po współczesne horrory – bo to miejsca, w których rzeczywistość ulega zawieszeniu. Świadomie wpisaliście się w ten łańcuch skojarzeń?

Kacha: Nie robiliśmy świadomych nawiązań, chociaż jako nastolatka bardzo lubiłam „Sanatorium pod Klepsydrą”. Ostatnio oglądałam ze znajomą „Sanatorium miłości”, program na TVP, w którym starsi ludzie szukają swojej drugiej połowy. Bardzo spodobał mi się vibe tego serialu. Wydaje mi się, że wraz z ludźmi, z którymi pracowaliśmy nad okładką płyty i teledyskiem do „Nowego świata”, też wykreowaliśmy fajny, sanatoryjny świat.

Tytuł przyszedł do mnie w połowie drogi. Zauważyłam, że sporo piosenek łączy to, że są powrotem do przeszłości, w którym przerabia się różne lęki i problemy, ale finalnie wychodzi się z nich. Brzmienie muzyki też pasowało mi do tego tytułu, więc tak zostało. Nie było jak w przypadku Charli XCX, która najpierw wymyśliła sobie tytuł „brat”, a potem dopisała do niego piosenki.

A te wszystkie nawiązania, którymi się bawicie – i w słowie, i w dźwięku, i w obszarze wizualnym Coals – to kod, który odbiorca powinien próbować złamać? Kryje się pod nim jakieś drugie dno, konkretne przesłanie?

Kacha: Dużo rzeczy robimy spontanicznie, wręcz podświadomie, więc pozostawiamy naszym odbiorcom pełną wolność interpretacyjną. Część z nich też sama tworzy grafiki albo animacje nawiązujące do naszych piosenek, przetwarzając je po swojemu.

Z drugiej strony cieszę się, kiedy źródła tych inspiracji są odczytywane. Po publikacji „Plazy” dużo ludzi mówiło mi o tym nieistniejącym już centrum handlowym w Krakowie.

Lukasz: Ale równie dużo myśli, że to „plaża”, tylko bez polskich znaków.

Kacha: W „^^ bryzie” jest nawiązanie do Inny, tej rumuńskiej piosenkarki, która miała mnóstwo hitów w Polsce kilkanaście lat temu. Teraz wróciła moda na romanian popcorn, na te specyficzne akordeoniki i słuchają tego nastolatki, więc od razu takie nawiązania wylapują. Gram DJ sety dla osób zwykle ode mnie młodszych i to jest dla mnie megaciekawe, że słuchają tego, czego ja słuchałam 10 lat temu. Znowu jest boom na Crystal Castles i Deana Blunta. Björk jest ich ikoną, Arca też. W bańce, z którą mam styczność, jest nawet moda na Cocteau Twins i Enyę.

Lukasz: Dużo jest też przeróbek pio-senek z lat dwutysięcznych w nurcie, który nazywa się nightcore’em. Chodzi o te przyspieszone, przesterowane remiksy. Mają miliony wyświetleń. Powstaje też dużo nowych zespołów glamrockowych. Muzyka znowu zatacza koło.

Od początku byliście zauważani za granicą, by wspomnieć dwie sesje live dla radia KEXP z Seattle, występy na festiwalach, pozytywne recenzje w mediach... Nie kusilo was, żeby przeprowadzić się do Londynu albo chociaż Berlina, skąd łatwiej byłoby wam pilnować kariery?

Światowa dziesiątka

Charli XCX
Nr 1 na naszej liście



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

„Jest niezliczona lista tabelek i usług, które mierzą streamy, memy i fizyczną sprzedaż muzyki. Ale żadna z tych rzeczy nie jest w stanie wytłumaczyć »Brat Summer« – kulturowego fenomenu otaczającego ostatni album Charli XCX” – napisał na początku grudnia dziennikarz „Variety”. Próbował opisać znaczenie, jakie ta limonkowitzelona płyta i jej autorka wywarły w 2024 r.

I nie ma na to lepszego słowa niż „fenomen” właśnie. Charli XCX, brytyjska wokalistka i autorka tekstów, na ten sukces pracowała wiele lat, konsekwentnie szlifując własny styl. Jej pop jest zadziorny, przesiąknięty elektroniką, broniący się na półce z muzyką klubową, określa się go często mianem hyperpopu. „brat” umiejętnie zwalnia i przyspiesza, poruszając różne struny, ale to płyta spójna, bez wielkiego hitu, którą najlepiej pochłaniać w całości. ●

Joanna Wróżyńska

Kacha: Słyszałam, że taka przeprowadzka może być skuteczna, bo poznaje się ludzi na miejscu. Kiedyś więcej graliśmy za granicą, co wynikało nie z naszych ambicji, tylko ze strategii agencji, z którą pracowaliśmy w tamtym czasie.

Teraz jeździmy tam tylko wtedy, kiedy mamy pewność, że to dla nas opłacalne finansowo, że na miejscu czekają odbiorcy, a warunki są jakościowe. Podbijanie Zachodu jest dla artystów z Europy Środkowo-Wschodniej trudnym zadaniem, koszty są duże, a efekty niewielkie. Nie mam już do tego cierpliwości.

Lukasz: Takie wyjazdy to na początku inwestycja i ryzyko, więc traci się albo wychodzi na zero, do tego trzeba znosić trudne warunki. Pamiętam dwutygodniową trasę po Niemczech, w klubach, których właściciele wyglądali na niezadowolonych z naszego przyjazdu, więc dostawaliśmy do spania jakieś brudne kanciapy.

Przed wyjazdem za granicę dobrze jest zbudować sobie tam publiczność, co dziś można i zrobić, i sprawdzić przez internet. Jeśli o to nie zadbamy, nikt nie przyjdzie. Chyba że gra się w kultowych miejscach, gdzie ludzie, którzy interesują się muzyką, lubią sprawdzać nowe brzmienia.

Parę razy nam się to zdarzyło, na przykład w Berlinie. Cała sala ludzi, którzy chcieli nas poznać. Trochę słuchaczy nam po tym koncercie zostało.

Kacha: Jestem bardzo zadowolona z grania w Czechach. Mamy tam świetnego agenta, więc każdy z koncertów to świetne wydarzenie, zarówno od strony produkcyjnej, jak i pod względem frekwencji. Ostatnio, o dziwo, udało się sprzedać dużo biletów w Londynie.

Lukasz: Chciałbym dodać, że nikomu nie odradzam próbowania sił za granicą. Po tych pierwszych zagranicznych trasach granych w spartańskich warunkach zostają cięple wspomnienia.

Ja tu wymyślam przeprowadzkę do Londynu, a wy nawet nie pilnujecie swoich interesów w Warszawie. Mam wrażenie, że nie korzystacie z każdej okazji, nie przyjmujecie wszystkich propozycji, przez co wasza kariera płynie tempem równie spokojnym jak wasze piosenki.

Lukasz: Cieszę się, że tak się dzieje, bo to zgodne z naszą naturą. Cieszę się, że nasza kariera w ogóle płynie, że nie zniknęliśmy. Budujemy pozycję Coals powoli, nie dając się wciągnąć w ten warszawski muzyczny światek. Nie przepadam za nim.

Nie podoba mi się to, że każdy z każdym nagrywa, bo moim zdaniem nie o to chodzi w muzyce. Cieszę się, że mogą robić muzykę w swoim domowym zaciszu. Mieszkam w Cieszynie, na granicy z Czechami, więc można powiedzieć, że prawie za granicą.

„Sanatorium” za chwilę będzie płytą ubiegłoroczną, za nami dwie tury promujących ją koncertów. Co dalej?

Kacha: Działamy też poza Coals. Gram sety didżejskie i pracuję nad swoim solowym albumem, a Lukasz jest realizatorem, dużo miksuje i masteruje, przede wszystkim kawałki rapowe. Ostatnio jednak zaczęliśmy rozmawiać o nowej epce Coals. Zobaczymy, może wyjdzie już w 2025 r. Praca nad „Sanatorium” była dla nas świetnym doświadczeniem, więc warto wykorzystać tę dobrą passę.

Lukasz: Chcemy powtórzyć pomysł z minialbumu „Klan” z 2019 r., a nawet go rozszerzyć. Pozapraszać gości, porobić z nimi dziwne eksperymenty. Będziemy rozmawiać z wydawcami na ten temat, może coś większego uda się zorganizować. ●

Płyta Roku „Wyborczej” po raz 14.

- Od 2011 r. „Wyborcza” wybiera w głosowaniu najlepsze albumy roku. Do udziału w naszej zabawie zapraszamy też najlepszych dziennikarzy muzycznych w Polsce. W tym roku oprócz dziennikarzy „Wyborczej” (Justyna Grochał, Marta Gruszecka, Przemysław Gulda, Małgorzata Muraszko, Jędrzej Ślódkowski, Jarek Szubrycht, Joanna Wróżyńska) swoje ulubione płyty zgłosiło nam też 16 reprezentantów innych mediów, m.in. Radia 357, Radia Nowy Świat, Mint Magazine, Newonce, Interii, Polityki, RMF Maxx, Dwójki, Trójki, The Quietux czy Muno.pl.
- **Pełne zestawienia, opisy płyt i lista jurorów na wyborcza.pl/plytaroku.**

CZUŁOŚĆWOLNOŚĆRÓWNOWAGA

Dla jedych przekwitanie, dla innych rozkwit

Mogłoby się wydawać, że menopauza jest wspólnym doświadczeniem kobiet z całego świata. Są jednak istotne różnice w tym, jak przeżywają ją mieszkanki różnych krajów.

Zuzanna Kuffel



Menopauza jako biologiczny proces jest wpisana w oś życia prawie każdej kobiety. Jednak to, jak jej doświadczamy, nie jest uniwersalne. Poza indywidualnymi rozbieżnościami w symptomach sporo zmieniają różnice kulturowe. „Uniwersalną menopauzę” jako pierwsza zakwestionowała Margaret Lock, medyczna antropolożka. W publikacji z 2001 roku, w czasopiśmie „American Journal of Human Biology”, przedstawia menopauzę nie jako medyczny fakt, a jako społeczny konstrukt. Analizuje to, cofając się do początku dziewiętnastego

wieku i wyjaśniając, że przez kilka wieków klimakterium, czyli pewnego rodzaju transformacja właściwa dla wieku średniego, nie miało płci. Dopiero Francuzi połączyli je z menstruacją, a raczej jej końcem, tworząc termin „menopauza”. Jak pokazały późniejsze badania Lock i innych antropologów, nie wszystkie społeczeństwa w równym tempie przyjęły to medyczne spojrzenie na kobiece starzenie się. Nie deprecjonując hormonalnej terapii menopauzalnej czy innych interwencji podejmowanych w tym okresie kobiecego życia, widać, że medykalizacja menopauzy, czyli uznanie jej za problem, który wymaga leczenia, przekłada się na jej negatywne postrzeganie.

Japonki mają lepiej?

W latach 80. i 90. naukowcy porównali objawy, jakie pojawiają się u kobiet w okre-

sie okołomenopauzalnym w Massachusetts (USA), w Manitobie (Kanada) i w Japonii. Ankietę przeprowadzono wśród pań w wieku 45-55 lat. Amerykanki raportowały większość z kilkunastu wymienionych objawów trochę częściej niż Kanaadyjki i znacznie częściej niż Japonki. Najbardziej zaskakującym wnioskiem było to, że Japonki zdecydowanie rzadziej niż kobiety z Ameryki Północnej doświadczały uderzeń gorąca, postrzeganych jako jeden z flagowych objawów menopauzalnych. Potwierdziły to również badania jakościowe, a konkretnie pogłębione wywiady ze 105 mieszkankami Japonii. Niektórzy wtedy zastanawiali się jednak, czy tak duża rozbieżność odzwierciedla rzeczywistość, czy raczej Japonki „nie potrafią” odczytywać swoich objawów i nie są ich świadome. Rozstrzygnięcia tej kwestii nie

W miejscach pracy inteligentni ludzie na poważnych stanowiskach reagują na hasło „menopauza” nerwowym śmiechem albo próbują je pocieszać. Trudno się dziwić, że kobiety są menopauzą zestresowane i zawstydzone



FOT.INSIDE CREATIVE HOUSE/GETTY IMAGES

Na fali tych i podobnych badań w świecie nauki wyodrębniły się dwa fronty. Jedni uważali, że menopauza jest taka sama wszędzie, a kontekst społeczno-kulturowy jedynie wpływa na to, jak się jej objawy interpretuje i opisuje. Drudzy zaś twierdzili, że na doświadczenie transformacji menopauzalnej wpływa więcej niż sama biologia.

Margaret Lock we współpracy z innymi badaczkami – Melissą Melby i Patricią Kaufert w 2005 roku w obszernym przeglądzie literatury szukała odpowiedzi m.in. na to pytanie. Jak wyliczyła, na doświadczenie transformacji menopauzalnej wpływają uwarunkowane kulturowo nawyki, takie jak dieta, palenie i aktywność fizyczna, podejście do menopauzy i związane z nią oczekiwania, znaczenie, jakie się jej przypisuje, przyjęte „normy” dotyczące ról płciowych, a także czynniki indywidualne – stan zdrowia danej kobiety, status matrymonialny i społeczny, wykształcenie i przekonania religijne. W tej samej publikacji Melby, Kaufert i Lock przytoczyły badania nad doświadczeniem transformacji menopauzalnej m.in. wśród reprezentantek Majów w Meksyku, które pokazały, że chociaż te kobiety doświadczają spadku poziomu estrogenów, a co za tym idzie, także obniżenia gęstości kości, rzadko przydarzają im się złamania osteoporotyczne.

Lock studiowała menopauzę Japoniek ponad 20 lat temu. Jak jest dzisiaj? Według nowszych badań, m.in. z 2021 roku, Japonki coraz bardziej upodobią się do kobiet z Zachodu. Przede wszystkim, zwiększyła się częstotliwość występowania u nich uderzeń gorąca. Jednak nadal nie jest to ich najczęstszy okolomenopauzalny objaw. Ustępuje m.in. zmęczeniu, problemom z pamięcią i sztywności barków. Naukowczyni proponują dwa możliwe wyjaśnienia tego, dla czego uderzenia gorąca „podbiły” Japonię. Może być to skutek zmiany stylu życia Japoniek na bardziej „zachodni” albo efekt zwiększonej świadomości na temat menopauzy.

Co ciekawe, wskaźnik okolomenopauzalnych objawów urogenitalnych, np. w obszarze seksualności, u Japoniek według większości badań pozostaje niski. To może mieć jednak podłoże kulturowe. Seksualna przyjemność jest tam bowiem uważana za przywilej mężczyzn. Azjatki zazwyczaj nie skarżą się na problemy z libido i rzadko zgłaszają dolegliwości związane z układem płciowym czy moczowym, bo sądzą, że nie będzie to dobrze odebrane. Ta sfera nie prze staje być tabu.

Decyduje dieta?

Jak podkreślała Lock, dieta jest częścią kultury i też wpływa na doświadczenie transformacji menopauzalnej. Czy to oznacza, że jeśli Polki po 40-tce jadłyby to samo, co Japonki, też rzadziej mierzyłyby się z uderzeniami gorąca?

– Istotne jest to, że Japonki odżywiają się w ten sposób od dziecka, więc w perimenopauzę wchodzi w pewnym sensie z zapasem fitoestrogenów w organizmie. W naszym kręgu kulturowym próba naśladowania ich diety w grupie kobiet w wieku okolomenopauzalnym przyniosła mieszane rezultaty. Zauważono np., że weganki, które jedzą więcej roślin strączkowych bogatszych w fitoestrogeny, mają nieco mniej dokuczliwe objawy okolomenopauzalne. Samo zwiększenie obecności produktów bogatych w soję w diecie nie daje jednak spektakularnych efektów. To również dlatego, że izoflawony sojowe są przekształcane w aktywną formę fitoestrogenu tylko dzięki określonej bakterii, znajdującej się w jelitach. U Azjatek jest ona powszechna ale występuje jedynie u 30 proc. Europejek – mówi Anna Kopańczyk, dietetyczka zajmująca się doradztwem żywieniowym kobiet dojrzałych, autorka książki „Menopauza. Instrukcja obsługi”. Kopańczyk zachęca, żeby nie bać się soi, zwłaszcza mitów o tym, że jest rakotwórcza. W Japonii, gdzie jej spożycie jest ogromne, wskaźniki zachorowania na nowotwory są wyjątkowo niskie.

Polki, nawet gdyby chciały i mogły w ten sposób uniknąć uderzeń gorąca, w więk-

Czułość. Wolność. Równowaga

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

szości nie są w stanie zaadaptować diety Japoniek, bo jest ona dla nas zbyt egzotyczna i obca kulturowo. Anna Kopańczyk podpowiada jednak, żeby skupiać się nie na składnikach diety, a na efekcie końcowym.

– Japonki w średnim wieku, zwłaszcza na Okinawie, rozpoczynają transformację menopauzalną w lepszym zdrowiu metabolicznym w porównaniu do kobiet Zachodu. Mają prawidłową masę ciała, niski cholesterol (szczególnie LDL), brak insulinooporności, cukrzycy i nadciśnienia. Lepsze zdrowie to już na starcie menopauzy większa szansa na jej łagodniejszy przebieg. Polki mogą osiągać takie same efekty, stosując dietę w stylu śródziemnomorskim (dużo warzyw i owoców, zdrowe tłuszcze), która działa m.in. przeciwzapalnie, zastępując w tej kwestii jedną z ról estrogenu. Poza tym, są w niej rośliny strączkowe, a zatem też fitoestrogeny. Jestem dużą fanką diety śródziemnomorskiej, ponieważ jest bogata odżywczą, sezonową, różnorodną i bez sztywnych reguł, łatwo ją wdrożyć w życie w polskich warunkach – mówi dietetyczka.

Kult młodości

Zmiana diety na śródziemnomorską jest z pewnością łatwiejsza niż zmiana społecznego podejścia do menopauzy. W zależności od kraju, postrzeganie tego etapu kobiecego życia też bardzo się różni. Na zachodzie mówi się, na szczęście coraz rzadziej, o „przekwitaniu”, podczas gdy japońskie określenie na menopauzę – konenki – oznacza coś dokładnie przeciwnego, czyli regenerację i odnowienie.

Mary Jane Minkin, ginekolożka z Wydziału Medycyny uniwersytetu Yale, która w 2015 roku opublikowała badania nad doświadczeniem objawów postmenopauzalnych u kobiet w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Szwecji, Danii, Finlandii, Norwegii, Francji i Włoszech, komentując ich wyniki, powiedziała Reutersowi, że w społeczeństwach, w których wiek wiąże się z szacunkiem, a starszą kobietę się ceni i uważa za mądrzejszą, objawy menopauzy są znacznie mniej uciążliwe. Badania, w tym duża metaanaliza z 2018 roku, pokazują, że Azjatki – choć oczywiście poszczególne kraje też się w tej kwestii różnią – przeważnie podchodzą do menopau-

zy neutralnie, traktując ją jako naturalną kolej rzeczy, a czasami jako „wołę Boga”. W niektórych społecznościach, np. w Indiach, menopauza jest wręcz wyczekiwana, uważana za nowy początek albo wyzwalający moment, w którym polepsza się pozycja kobiety.

W Polsce wciąż tabu

W Polsce nadal wielu kobietom trudno pożegnać się z młodością, a społeczeństwo, w tym rynek pracy, tego nie ułatwia. Różnice między tym, jak kobiety przechodzą menopauzę w różnych miejscach na świecie, mogą wynikać też z tego, jak funkcjonuje społeczeństwo w danym kraju, np. jaką pozycję mają w nim dojrzałe kobiety. Menopauza nie jest więc wyłącznie kwestią fizjologii. Spadek poziomu estrogenów i innych hormonów może wiązać się z szeregiem nieprzyjemnych objawów, jednak część z nich albo pogarszają, albo zupełnie powodują też inne czynniki, przede wszystkim stres.

– Liczba stresorów, z jakimi człowiek musi się mierzyć, w ostatnich latach bardzo wzrosła. Oddziałują na nas stresory środowiskowe, np. zanieczyszczenie środowiska i wysokoprzetworzona, niezdrowa żywność. Oprócz nich mamy stresory społeczne i inne, związane z tym, jakie wymagania sami na siebie nakładamy – mówi prof. dr hab. Ewa Mojs, psycholożka, psychoterapeutka, kierowniczka Katedry i Zakładu Psychologii Klinicznej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. – Niezależnie od płci, stres oddziałuje na człowieka. Jeśli jest go zbyt dużo, zaczynają pojawiać się objawy somatyczne takie jak zaburzenia łaknienia, problemy ze snem albo trudności z zapamiętywaniem. Brzmi znajomo? Takie same objawy może dawać perimenopauza.

Jeśli na okres okolomenopauzalny nałożymy stres bądź przebodźcowanie, objawy menopauzy albo się nasilą, albo wystąpią u kobiet, u których niekoniecznie by się pojawiły. Stres na tym etapie życia częściowo wiąże się też ze współczesną zachodnią kapitalistyczną kulturą z surowymi kanonami piękna i z brakiem uznania dla mądrości oraz doświadczenia dojrzałych kobiet.

Prof. Ewa Mojs: Stres socjalny wynika np. z tego, że kobiety po 50-tce boją się oceny. Trudno się temu dziwić, skoro w ich miejscach pracy inteligentni ludzie na poważnych stanowiskach reagują na hasło „menopauza” nerwowym śmiechem albo próbują je pocieszać. Do tego braku zrozumienia i tabu dochodzi jeszcze inny aspekt – obawa, że młode pokolenia depczą nam po piętach. Wtedy zaczyna się pęd do tego, żeby być doskonałą, lepszą niż młodsze koleżanki. Kobiety nie słuchają swoich ciał, maskują objawy, nie zwalniają, kiedy powinny, a przecież każdy silnik, pracując ciągle na wysokich obrotach, się w końcu spali. Stąd bierze się wyczerpanie, a nawet zaburzenia o charakterze depresyjnym. Kult młodości i produktywności z pewnością wpływa na to, jak kobiety w naszym kraju przechodzą menopauzę. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34348937

Czułość. Wolność. RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

SPONSOR

KULCZYK FOUNDATION

Skandal w czasach narcyzmu

Kiedy usłyszałem, że Karpowicz wziął na warsztat losy Żwirki i Wigury, spałem się niemiłosiernie

Krzysztof Siwczyk

Być może Ignacy Karpowicz należy do wąskiej grupy polskich pisarzy, którzy dysponują najszerszą skalą autorskich przestoczeń. Trudno bowiem jednoznacznie uchwycić jakieś dominujące obsesje, z których robi swoją literaturę. „Ludzie z nieba”, najnowsza powieść, najpewniej wzmocni obraz Karpowicza jako kota Schrödingera współczesnej prozy.

Przyznam się szczerze, że czytelniczą grozą napawa mnie odzyskiwanie w literaturze historii, pisanie jej alternatywnych wersji czy fantasmagorie na temat ważnych postaci, które od lat przebywają w najpewniej urojonych zaświatach. Groza ta bierze się nie tyle z nadmiaru takich opowieści, ile z przekonania o całkowitej utopii tego rodzaju projektów. Po prostu brak we mnie wiary, że „przepisywanie” historii może w jakikolwiek sposób ją ośwoić, ewentualnie dodać jej jeszcze więcej przerażającego odium.

Chyba jestem całkowicie zepsuty przez „Historię i utopię”, fundamentalny tekst Emila Ciorana, w którym raz a dobrze autor przekonał mnie do immanentnego zła jako zasady procesów dziejowych. Zło to leżnie się w naturze człowieka, której emanacją są z kolei wszelkie próby organizowania życia społecznego, polityka, przemoc i tak dalej.

Kiedy więc wpadła mi w oko zajawka, że Karpowicz wziął na warsztat losy Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury spałem się niemiłosiernie, bo przecież na nową książkę autora „Sońki” czekałem z utęsknieniem, mając w pamięci silne przeżycie, jakim była dla mnie tamta lektura. Być może „mój „Karpowicz mieści się w „Sońce” najpelniej. Ta niewielka w sumie rzecz była wypowiedzią spełnioną, książką fundamentalnie doskonałą, mieszczącą w sobie to, co w literaturze cenię niezmiernie: dawanie głosu milczącemu dramatowi pojedynczej egzystencji i wydobywanie na światło dzienne języka wiarygodnego opowiadania o tego dramatu głębi.

Późniejsze powieści, w tym głośna „Miłość” i „Cicho, cichutko”, chyba tylko zaostrzyły mój apetyt na kolejne wcielenia prozy Karpowicza. Staralem się – w owym już zapomnianym czasie – nie ulegać me-

dialnej histerii, pod auspicjami której „Miłość” wchodziła na rynek. Czułem wyraźnie, że te książki sprawdzi czas i obronią się tak czy inaczej jako jednak teksty klasowego pisarza. Nie wiem, czy tak się stało. Dziś rynek książki utylizuje nowe tytuły w mieściąc, chyba że towarzyszy im wyraźna kampania promocyjna.

Najczęściej kampania taka próbuje utrwalić daną pozycję ciut dłużej w świadomości czytelników poprzez jakieś paliwo lotnicze: dajmy na to skandal. Tymczasem z „Ludźmi z nieba” niewiele można w tym temacie zrobić. Oto Karpowicz sensu stricto: pisarz kreatywny i kreujący. Przy okazji mocno już dojrzały, świadomy swojej jakości, robiący z językiem prozy to, co chce i jak chce.

Jako czytelnik prebooka, który był mi дарowany już jakiś czas temu, od razu wyznam, że losy legend polskiego lotnictwa ani mnie ziębią, ani grzeją i w tym temacie Karpowicz nie zrobił mi krzywdy. Po lekturze są dla mnie obaj bohaterowie dalej nazwą ulicy w każdym mieście powiatowym, elementem odprysków ze szkolnej wiedzy, składową narodowej tromtadracji.

W przeciwieństwie do kota Schrödingera są w moje wyobraźni martwi jednoznacznie. Nie ruszają się, nie wzlatują, nie aktywizują mitu ikaryjskiego. Mało tego. Przypominają mi o koszmarnych próbach zrozumienia dwudziestolecia międzywojennego, z jego gęstą od homofobii, antysemityzmu i brunatnego wzwodu narodowo-katolickiej satrapii atmosferą szybkiego schyłku mało udatnej państwowości.

Na szczęście Karpowicz nie wsadza czytelnika do ławkowego getta, żeby odbyć powtórna lekcję z historii, która przecież do niczego nam się nie może przydać, czego widomych dowodów na co dzień dostarcza nam tak zwana „prasówka”. Jesteśmy po prostu skazani na powtórki, na wieczną retardację refleksji, po której nie następuje żadna zmiana w działaniu.

Z ludzkością jest tak, jak pisał Ryszard Krynicki w wybitnym wierszu „Moja córeczka uczy się czytać”: „Moja córeczka, dotąd nieomylna, uczy się czytać i pisać/ i dopiero teraz zaczyna błądzić// a ja swoje stare błędy ludzkości/ przeżywam od nowa”. Dokładnie tak działo się w „Sońce”.

W „Ludziach z nieba” z kolei robimy krok do przodu. I jest to krok w błocie, w wielkim exodusie, w uchodźczym pochodzie, wreszcie w wygnaniu z narracji porządkującej chaos doświadczenia świata. Czym imponuje nowy Karpowicz? Chaosem właśnie. Jakimś mimetycznym radykalizmem, z któ-

Ryzykowną awiację uprawiają w tej powieści słowa, które poszukują „swoich ludzi”, by świadczyć o ich cierpieniach, miłościach i tęsknotach.

rzym nie pozwala sobie ani na moment na porządek w swojej opowieści.

Zaczynamy podróż na Wschód od przypowieści o zamieszkałym północ Europy starożytnym ludzie Saami, która otwiera nawias dla opowieści o magicznej sile swobodnego przemieszczania się w czasie i przestrzeni znakowanych tylko nieznacznie przez realizm. Owszem, „Ludzie z nieba” są osadzeni w historii międzywojnia, ale Karpowicz zdaje się stosować sztafaż historyczny w celach najdotkliwiej egzystencjalnych.

Fantasmagoryczna Kora, siostra bliźniaczka powieściowego Franciszka i rozliczne rodzeństwo o bajeczno-kwiatnych imionach, wydają się symbolizować ciasną siatkę relacji, jakie możemy zawiązywać ze światem. Zresztą Kora, faktycznie nieistniejąca, jest modus operandi powieści Karpowicza. Symbolizuje dla mnie właśnie ową kreacyjną siłę narracji poruszającej się we wszystkich kierunkach naraz, pod prąd i z duchem czasów, podług logiki wojennej pożogi i w katastroficznym jej przecuciu.

Faktycznie ryzykowną awiację uprawiają w powieści Karpowicza słowa, które poszukują „swoich ludzi”, by świadczyć o ich cierpieniach, miłościach i tęsknotach. W pewnym momencie Kora, prowadząc intelektualne gry i zabawy z Franciszkiem, powiada: „Słów nie można skrzywdzić”. I jednocześnie natyka się na błyskawiczną ripostę w następującym akapicie: „Franciszek czuł, że można. Kora w głębi duszy również, choć się do tego nie przyznawała. Przypuszczała, że słowa były jeszcze bardziej od ludzi bezbronne. Żalowała krzywd doświadczanych przez każdy wyraz z osobna, a jeszcze bardziej w kupie”.

Czytając nową książkę Karpowicza, nie mogłem uwolnić się od przemożnego wrażenia odwrócenia porządku lekturowego przyzwyczajenia, które każe podążać za losami rozlicznych bohaterów. Oto postaci repre-

zentują tutaj słowa, nie na odwrót. To o słowa, a co za tym idzie – o możliwość mówienia i pisania na przekór czy wbrew rzeczywistości toczy się walka.

Ta możliwość, pod maszynowym doświadczeniem historii jako ideologicznego terrorku i permanentnego zagrożenia, ostatecznie otwiera przestrzeń do rozważań o labilnym charakterze tożsamości, wielonarodowości, swobodnym transferowaniu prawdy w fałsz i na odwrót, wreszcie pozwala potraktować Żwirkę i Wigurę nie jako ludzi z krwi i kości, ale właśnie jako tych ludzi z nieba, do którego udało im się wzbić.

Poetycka z ducha powieść Karpowicza zdaje się głosić deziluzję silnych, jednokierunkowych narracji, które brałyby historię na obrachunki. Jestem skłonny twierdzić, że udało się pisarzowi zafundować w lekturze coś zgola odmiennego, czyli raczej odpowiadający dzisiejszemu doświadczeniu świata ratunkowy i autonomiczny język empatii, współbicia, wreszcie miłości do istnień poszczególnych, które tracimy, zanim jeszcze zdążyliśmy je pokochać. A jednocześnie język ten jest wirujący jak przejażdżka na rollercoasterze.

Zresztą jeden z piękniejszych opisów ciała nigdy nieistniejącej Kory apeluje do takiej przejażdżki: „Jeden rzut oka wystarczył Poli w zupełności, żeby uznać Korę za absolutnie piękną, stworzoną z najszlachetniejszego materiału. To nie zwyczajne ciało, pomyślała Pola, skóra lśniła, pod nią zaś rysowała się sieć albo mapa pęknięć niby na starej porcelanie. I z tej mapy pęknięć prześwitywały całe kosmosy rozmaitych twarzy, teraz stłumionych przez Korę, ale bezsprzecznie istniejących. A oczy po prostu nieziemskie! Ciele czarne i złote w tej samej chwili. Spróbowała się na nich skupić, na oczach. Okazało się to niemożliwe. One ciągle się zmieniały, pozostając takie same. One sprawiały, że patrzący zaczynał wokół nich wirować albo tracił poczucie kierunku, nagle nieważki, unieważniony i beczenny. Takie oczy ma karuzela”.

Jeżeli umówimy się, że Pola to prefiguracja czytelnika, a Kora to reprezentacja czystej sztuki pisanie, to mamy gotowy opis świetności najnowszej książki Ignacego Karpowicza.

Jeżeli z kolei za dobrą monetę weźmiemy zdanie o tym, że „człowiek nie zaczyna się nigdy sam w sobie, lecz w innych”, które reklamuje na okładce „Ludzi z nieba”, trzeba będzie się zgodzić na ten skandal. Wszak brzmi ono skandalicznie w czasach panoszącego się wszędzie i całkowicie usankcjonowanego narcyzmu. Zdaje mi się, że również przeciwko niemu odbył autor swój lot prozą – w kierunku Innych, Innego, Innej. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/3435076



We wtorek w **GAZETA wyborcza**
kalendarz na 2025 rok.
Najpiękniejsze zdjęcia kolejowe

PARTNERZY KALENDARZA
REKLAMA



HITACHI
Inspire the Next



• Amerykański pastor Andrew Brunson (z lewej) i prezydent Trump w Gabinetu Ovalnym w Białym Domu, 13 października 2018 r. Trwa tu właśnie modlitwa dzień po uwolnieniu Brunsona z więzienia w Turcji, gdzie spędził dwa lata oskarżony m.in. o szpiegostwo

FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

Nowa mapa wierzeń zbiorowych

CHOMEINI, PUTIN I SPÓŁKA

Dzisiejszy powrót religii w roli ideologii powoduje oddalanie się od siebie krajów i kultur.
Na dziesięciolecia. Albo na wieki

Krzysztof Pomian*

Obalenie szacha Iranu przez zbuntowaną ludność i opamiętanie kraju przez szyickiego kler na czele z ajatollahem Chomeinim [w 1979 r.] mogło początkowo wydawać się kolejną realizacją klasycznego scenariusza antyabsolutystycznej rewolucji z lokalnymi osobliwościami. Trzeba było czasu i decyzji porewolucyjnej władzy, by odsłonić całą nowość tego wydarzenia i jego znaczenie globalne.

Oto bowiem po raz pierwszy w historii rewolucja dokonała się nie pod czerwonymi, komunistycznymi, ale pod czarnymi sztandarami szyickiego islamu, nie pod przewodem leninistów, ale szyickiego kleru, i ustanawiała nie „dyktaturę proletariatu”, ale totalitarną teokrację. Były to tylko przejawy zasadniczej zmiany stosunków między dwiema historycznie i strukturalnie różnymi forma-

mi wierzeń zbiorowych: religią i ideologią.

Ideologie kształtowały się w Europie obok religii i przeciwko nim, aż wreszcie, w swej skrajnej postaci, stały się antyreligiami, co nie wykluczało zapożyczeń; pokazują to najlepiej przemiany socjalizmu. I co nie wykluczało szukania kompromisów i prób stawiania religii w służbę ideologii.

Ideologie były w Europie produktem dechrystianizacji i przyczyniały się zwrótnie do jej pogłębienia, usiłując narzucać społeczeństwu ich całościową organizację i urządzić życie jednostek od narodzin do śmierci inaczej niż religia, a przeważnie wbrew niej.

W Iranie, przeciwnie, religia, pozostając religią, stała się zarazem ideologią, wierzeniem futurocentrycznym, programem polityki państwa i formatowania jednostek od wyglądu zewnętrznego do życia seksualnego. Przy czym naczelnym celem tej ideologii jest nie tyle obrona mniej-

szościowej, szyickiej wersji islamu, ile ekspansja islamu, narzucenie go światu. Nigdy nieodwołana fatwa Chomeiniego przeciw Salmanowi Rushdie-mu jest tego wymownym dowodem.

Zapoczątkowane w Iranie przekształcenie religii w ideologię znalazło rychło adeptów we wszystkich krajach islamu. Przyłożył się do tego mimowolnie ZSRR, gdy jego przywódcy postanowili – kilka miesięcy po zwycięstwie Chomeiniego – bronić rządu komunistycznego w Afganistanie, wyzwalając na całym obszarze islamu, zwłaszcza w Pakistanie i w Arabii Saudyjskiej, potężny ruch solidarności, popierany i zbrojony przez Stany Zjednoczone. Ale teren był przygotowywany od dawna przez Braci Muzułmańskich, działających w podziemiu w Egipcie i w krajach Maszreku i Maghrebu.

Ideologie przeszczepione z Zachodu – komunizm, nacjonalizm z programem świeckiego państwa, różne wersje „socjalizmu arabskiego” i zawsze

mniejszościowy w tym kręgu kulturowym demokratyczny liberalizm – straciły zwolenników na rzecz islamizmu: programu zaprowadzenia szariat, a w wersjach skrajnych – przywrócenia kalifatu obalonego przez Kemala [Atatürka, prezydenta Turcji] w 1924 r. i wypowiedzenia świętej wojny Zachodowi.

Wierzenia zbiorowe, które panują obecnie na obszarze islamu, są zdecydowanie antyzachodnie i sprzeczne przeto w wielu krajach z polityką grup sprawujących władzę i zmuszonych, by ją utrzymać, korzystać z pomocy USA i państw europejskich.

Dojście do władzy partii lub osobistości z programami wytyczonymi przez tradycyjną religię przekształconą w ideologię oraz sprzężona z tym walka ze wszystkimi ideologiami zapożyczonymi z Zachodu nastąpiły w ostatnich latach nie tylko w Iranie i w krajach arabskich. Stało się tak w Indiach Narendry Modiego, w Turcji Erdogana, w Izraelu Netaniahu i Smotrucha, w Rosji Putina i w Chinach Xi Jinpinga.

Każdy z tych przypadków jest, rzecz jasna, inny. Indie i Izrael są praworządnyimi demokracjami, choć nie bez zastrzeżeń, Rosja i Chiny są rządzone autorytarnie, a Turcja łączy pozostałości demokracji z postępującym autorytaryzmem.

Wszędzie jednak zwrot ku tradycyjnym religiom, nieodłączny od walki z nowoczesnymi ideologiami, przedłuża polityczne zerwanie z podległością kolonialną, dążąc do wierzeniowego również i kulturowego uniezależnienia od dawnych metropolii, jeśli nie do zerwania z nimi w tych dziedzinach. Zachowuje jednak zachodnią naukę i technikę, z których wszyscy korzystają, zwłaszcza by się zbroić. I zdominowaną przez Zachód gospodarkę, w której wszyscy uczestniczą.

Zachód, zwalczany przez islamizmy wszelkich obediencji, od dżihadystów, talibów i ajatollahów do Erdogana, ale również przez Rosję Putina i Chiny Xi Jinpinga, i odrzucany jako wzór przez partię Modiego oraz przez Żydów haredim [ultraortodoksów] w Izraelu, wyróżnia przede wszystkim oddzielenie państwa od jakiegokolwiek religii, przynależności politycznej od wyznaniowej. A także uznanie, niekiedy tylko deklaratywne, praw człowieka, czyli „Habeas corpus”, swobody sumienia, słowa, zrzeszania się, manifestowania, a wraz z nimi pluralizmu politycznego, religijnego i społecznego, i niezawisłości sądownictwa od władzy wykonawczej.

Zachód jest tu, jak widać, synonimem oświecenia, bo to ono usankcjonowało intelektualnie normy, prawa i instytucje, które charakteryzują ustroje liberalne i są koniecznymi warunkami funkcjonowanie demokracji.

Chrześcijaństwo ulega podobnym przemianom za sprawą ruchów ewangelicznych, które, zwłaszcza w Nowym Świecie, przemieniają je w program obrony zgodnych z ich przekonaniem instytucji i norm, i odrzucenia wprowadzonej wbrew nim w pierwszym 30-leciu powojennym swobody obyczajowej i postępów dechrystianizacji.

Chrześcijaństwo staje się tu ideologią, ale ideologią programowo konserwatywną, jeśli nie wręcz wsteczną. Widać to w Brazylii, gdzie w ciągu minionego półwiecza ruchy ewangeliczne stały się rywalem dominującego dotąd katolicyzmu i siłą polityczną, która współkształtuje sprawowanie władzy. I jeszcze wyraźniej w Stanach Zjednoczonych, gdzie rola religii w życiu publicznym była zawsze znacznie większa niż w Europie i gdzie w latach 70. jej ideologizacja przybrała nową i bardziej zdecydowaną postać za sprawą takich pastorów, ewangelicznych baptystów, jak Jerry Falwell i Pat Robertson.

Wykorzystywali oni media i włączali się w kampanie wyborcze, usiłując, często z powodzeniem, promować realizujących ich postulaty kandydatów na stanowiska wybieralne wszystkich szczebli. I torpedować, zazwyczaj skutecznie, tych, którzy im nie odpowiadali.

Stworzona przez Falwella w 1979 r. i rozwiązana po dziesięciu latach organizacja Moral Majority była potężnym lobby zdolnym nie tylko przyczynić się do pierwszego zwycięstwa wyborczego Ronalda Reagana, ale nadto trwale podzielić społeczeństwo amerykańskie na zwolenników i przeciwników równouprawnienia kobiet, prawa do aborcji, praw gejów, lesbijek i innych mniejszości seksualnych, literalnego rozumienia Biblii – ta lista jest z założenia niepełna. Na tym wznoszonym od pół wieku fundamencie mógł być oprzeć się w swym marszu do władzy Donald Trump.

Ten pobieżny ogląd dzisiejszej wierzeniowej mapy świata pozwala stwierdzić, że jedyną strefą kulturową, gdzie religia nie odgrywa roli politycznej, gdzie, innymi słowy, nie została zamieniona w ideologię, jest Europa utożsamiona z Unią Europejską. Mówię to ostrożnie i nie bez zastrzeżeń, bo miejsce religii w życiu społecznym jest wytyczane suwerennie w każdym kraju członkowskim, przy czym między różnią się mocno pod tym względem od drugih.

W krajach prawosławnych Kościoły narodowe mają znaczny wpływ na polityków i politykę, inaczej niż w krajach protestanckich i tych krajach katolickich, gdzie Kościół jest realnie oddzielony od państwa. Ale nawet tam, gdzie takiego wpływu nie wywierają, jak we Francji i innych krajach Europy Zachodniej, chrześcijaństwo pozostaje bez ostentacji niezbywalnym składnikiem narodowej tożsamości, co uderzająco uwidoczniły we Francji masowe reakcje na pożar katedry Notre-Dame.

Niemniej przeto w Europie Zachodniej, choć religia wytycza niekiedy podziały partyjne i określa pre-

**Odrodzenie się nacjonalizmów
i ich dojście w niektórych krajach do władzy
jest jedną z najważniejszych zmian
na europejskiej mapie wierzeń zbiorowych.
I jedną z najgroźniejszych**

ferencje wyborców, jej rola polityczna pozostaje nieporównywalna z tą, jaką pełni ona wszędzie tam, gdzie uczyniono z niej de facto oficjalną ideologię państwa wpisaną w ustawodawstwo, w politykę kulturalną i pamięciową, w edukację, w decyzje personalne i budżetowe, jak w Polsce czasów PiS-u.

Toteż Europa Zachodnia, a wraz z nią, acz w mniejszej mierze, Unia Europejska, pozostają wyjątkami na dzisiejszej mapie wierzeń zbiorowych. Czy ten stan rzeczy utrzyma się kilkadziesiąt lat lub dłużej czy też wkrótce ulegnie zmianie? Nie sposób odpowiedzieć.

W jednym punkcie wszelako Europa zbliża się niebezpiecznie do USA i do tych stref kulturowych, w których dominują wierzenia wrogie oświeceniu. Nacjonalizmy nie zginęły bynajmniej wraz z nazizmem i faszyzmem, jak do niedawna optymistycznie uważano, a nawet zyskały nową atrakcyjność. Ich odrodzenie się i dojście w niektórych krajach do władzy, a w innych do jej progu, jest jedną z najważniejszych zmian na europejskiej mapie wierzeń zbiorowych. I jedną z najgroźniejszych.

Nacjonalizm bowiem nie uznaje z zasady za możliwą normotwórczej wspólnoty wyższego rzędu niż naród i jest spowinowacony z religią, gdyż umieszcza początki narodu w mitycznej przeszłości, a jego trwanie poza czasem historycznym, czyniąc zeń przeto swego rodzaju byt transcendentny.

Toteż odrodzenie nacjonalizmów grozi jeśli nie rozpadem Unii Europejskiej, to wydrążeniem jej od wewnątrz, sprowadzeniem do roli wspólnego rynku i politycznym uzależnieniem od Rosji, do której wszystkie one czują nie całkiem zapewne spontaniczną sympatię. Ale nacjonalizmy są groźne również dlatego, że uderzają dzisiaj w autorytet wykształconych elit i to nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy ma on legitymację naukową, jak o tym świadczą sprzecziny wobec masowych szczepień czy wobec prób zmniejszania emisji gazów cieplarnianych albo propagowanie teorii spiskowych podszytych z reguły antysemityzmem.

Ten populistyczny komponent nacjonalizmów tworzy warunki sprzyjające demagogii, kłamstwu, zastępowaniu argumentacji rzeczowej apelem do emocji – do strachu, wrogości czy nienawiści – a uregulowanej sceny publicznej areną, na której wszystkie chwytły są dozwolone, w tym – traktowanie przeciwników politycznych jak wrogów, których trzeba zniszczyć.

Kraje, w których, jak w Iranie, religia zaczęła funkcjonować jako radykalna i bezwzględna ideologia po długim często okresie, gdy zdawało się, że jako wierzenie zbiorowe uległa marginalizacji i nie jest już w stanie zapanować nad umysłami i uczuciami, są ustrojowo, kulturowo i gospodarczo bardzo różne: na obszarze islamu Iran, Irak, Syria i Liban, poza nim Izrael, Rosja, Indie i Chiny.

Ich tradycyjne religie też są różne: islam szyicki i sunnicki, mozaizm, prawosławie, hinduizm, konfucjanizm. Zwrot ku tradycyjnej religii, zideologizowanie jej i upolitycznienie dokonały się niemniej jednak w każdym z nich. Dla każdego z nich i, jak zobaczmy, dla przyszłości świata, jest to wydarzenie przełomowe o licznych i dalekosiężnych skutkach.

Jak do niego doszło? I jak mogło ono powtórzyć się wielokrotnie w całkiem innych za każdym razem warunkach? Przez długie lata miało się przecież wrażenie, że ludność, zwłaszcza w miastach, jest ześwieczona, a przywiązani do religii są tylko „wieśniacy”. Osłabnięcie czy zgola zanik religii mogły przeto wydawać się wykształconym elitom tylko kwestią czasu.

Było w tym zapewne wpajane przez postoświeceniowe historiozofie przekonanie o nieuchronności sekularyzacji i sporo pochodnego względem nich wishful thinking. Rzeczy potoczyły się bowiem zupełnie inaczej. We wszystkich wspomnianych tu społeczeństwach przytłaczająca większość mieszkańców okazała się umysłowo i uczuciowo przywiązana do religii i oczekiwała od władzy, by zapewni-

ła jej posłuch, a zarazem była sprawowana w tradycyjnym stylu, który nie miał wiele wspólnego z praworządnością w ogóle, a prawami człowieka w ich oświeceniowym rozumieniu w szczególności.

Nic dziwnego, że znaleźli się politycy, którzy te uczucia i oczekiwania zrozumieli, może nawet sami je podzieliali, a może tylko uznali, że pozwala ją one wygrać walkę o władzę – to dla nas nieistotne – i zaczęli je podsycać oraz wykorzystywać dla swoich celów, umieszczając stosunek do tradycji i religii w centrum życia politycznego.

Kwestia roli jednostki w historii była w XIX wieku przedmiotem dyskusji filozofów i historyków, którym narzuciła ją epopeja napoleońska. Ale w świecie trendów, struktur i koniunktur, zjawisk masowych, ankiet i statystyk jednostka jawiła się bardziej jako wytwór okoliczności niż jako właściwy autor wydarzeń uznanych zresztą za powierzchnię procesu historycznego kierowanego przez ukryte w głębi siły społeczne.

Było to tym bardziej zdumiewające, że XX wiek pokazał równie, jeśli nie bardziej dobitnie co czasy Napoleona, że bez uwzględnienia jednostek, ich charakterów, przekonań, doświadczeń, uprzedzeń i fobii całe polacie historii są po prostu niezrozumiałe. Wystarczy pomyśleć o Stalinie i Hitlerze po stronie totalitaryzmów i o Churchillu po stronie demokracji. Nie skłoniło to jednak, o ile wiem, do ponownego przemyślenia roli jednostki w historii, tym razem z perspektywy nauk społecznych.

A przecież w tych samych mniej więcej latach matematycy wykazali, że w dowolnym systemie, który jest lub staje się niestabilny, przestaje zachodzić odpowiedniość między przyczyną a skutkiem, co znaczy, że mała przyczyna może spowodować niewspółmiernie wielkie skutki, wyznaczając tor, po którym system będzie się odtąd poruszał, jeśli odzyska stabilność, dopóki ponownie jej nie straci, co pozwoli skierować go na inny tor.

Wszystkie te pojęcia mają dla matematyków precyzyjnie określony sens. My, historycy, skazani jesteśmy, niestety, na używanie ich luźno i metaforycznie. Z tym zastrzeżeniem wolno chyba przyjąć, że nie ma żadnych racji, dla których systemy społeczne miałyby być wyjątkami od wysłowionej przed chwilą reguły. A jeśli tak, to w niestabilnym systemie społecznym jednostka, która spełnia pewne warunki psychiczne i sytuacyjne, może wywrzeć determinujący wpływ na przyszłą historię systemu, co inaczej nie byłoby możliwe.

Nie ma chyba zadowalającej definicji niestabilnego systemu społecznego. Zgodzimy się jednak, mam nadzieję, że adekwatnymi przykładami są: kraj rozdzierany wojną domową lub taki, w którym przeciwne sobie partie polityczne nie uznają żadnego ponadpartyjnego arbitrażu i odmawiają zawarcia jakiegokolwiek kompromisu.

Te dwa przykłady wystarczą, by móc stwierdzić, że wszystkie państwa, w których dokonał się zwrot ku tradycyjnej religii, przeszły w swej niedawnej historii okres niestabilności. I właśnie w tym okresie interwencja jednostki wytyczyła na wiele lat tor systemu instytucji, gospodarki, polityki wewnętrznej i zagranicznej.

**Ideologie przeszczepione z Zachodu
– komunizm, nacjonalizm
z programem świeckiego państwa
czy demokratyczny liberalizm
– straciły w świecie zwolenników
na rzecz programu
świętej wojny z Zachodem**

Uczynienie z tradycyjnej religii urzędowej ideologii i zaprowadzenie tradycyjnego, tzn. co najmniej autorytarnego sprawowania władzy w państwie, nie są zatem, jak się to niekiedy przedstawia, zerwaniem ciągłości legalistycznej i demokratycznej narzuconym społeczeństwu przez jednego zwyrodniałego osobnika i jego popleczników. Zerwaniem ciągłości są one zaiste, ale zarazem – co bardzo przykre dla autora tych słów, zwolennika oświecenia i liberalnej demokracji – są objawieniem smutnej praw-

dy: większość chce kultywować tradycyjną religię i być rządzona autorytarnie.

Putin, Erdogan, Modi i inni wygrywają nie tylko dzięki presji wywieranej na wyborców lub zgola fałszowaniu wyborów, ale również dlatego, że większość Rosjan rozpoznaje się w Putinie i czuje się przez niego godnie reprezentowana, a to samo stosuje się do Turków i Erdogana, Hindusów i Modiego, Izraelczyków i Netaniahu, Chińczyków i Xi Jinpinga.

Możemy pocieszać się myślą, że gospodarka, nauka i technika przeobrażą z czasem wciąż jeszcze religijne, nacjonalistyczne i zachowawcze społeczeństwa, upodabniając je do dzisiejszej Europy. Nie powinniśmy sobie jednak robić złudzeń: będzie to szło powoli, trwało długo i na tej drodze będzie jeszcze wiele wstrząsów i zawrotów.

Wyparcie zachodnich ideologii przez tradycyjne religie przetworzone w ideologie powoduje nie tylko oddalanie się każdej strefy kulturowej od Zachodu. Powoduje również oddalanie się każdej z nich z osobna od wszystkich pozostałych i rosnącą wraz z tym trudność znalezienia podstaw koegzystencji skłóconych wierzeń oraz państw, które zawdzięczają im swą tożsamość.

Podobna trudność wyszła na jaw w XVI-XVII wieku, w czasach wojen między różnymi wyznaniem chrześcijaństwa łacińskiego, i trzeba było pracy kilku pokoleń prawników, teologów i filozofów, by zbu-



*Chrześcijaństwo
staje się dzisiaj ideologią.
Ale pozostaje niezbywalnym
składnikiem narodowej tożsamości.
Pokazały to we Francji
masowe reakcje na pożar
katedry Notre-Dame*

dować podstawy i sformułować normy prawa narodów, które by było do przyjęcia dla wszystkich wyznań; dało ono początek współczesnemu prawu międzynarodowemu i instytucjom powołanym, by zapewnić przestrzeganie go.

Prawo to nie jest bynajmniej bezzalożeniowe. Przeciwnie, przyjmuje ono, że istnieje wspólna wszystkim istotom ludzkim natura, która nadaje każdej jednostce ludzkiej wartość i sprawia, że należy jej się z samego tytułu bycia człowiekiem prawo do traktowania po ludzku, co w największym skrócie znaczy, że każdy powinien traktować innego, przestrzegając zasady wzajemności.

W tym sensie każdej jednostce ludzkiej przysługują prawa, których nie można jej pozbawić bezkarnie w imię jakichkolwiek przekonań. Wynikają one nie z takiego czy innego objawienia, ale z racjonalnego uznania wspólnoty człowieczeństwa nadrzędnej wobec wszystkich różnic międzyludzkich, somatycznych czy kulturowych.

Założenie to zostało wbudowane w instytucje na czele z ONZ-etem, które ze zmiennym szczęściem próbowały narzucić je w sytuacji wojen i innych konfliktów między państwami, a niekiedy nawet w ich obrębie.

Skutkiem wywiedzenia praw człowieka ze wspólnej wszystkim ludziom natury jest uznanie ich za ważne powszechnie, za przysługujące wszystkim istotom ludzkim i takie same dla wszystkich. Winny one przeto być podstawą systemu norm wbudowanych zarówno w regulacje prawne stosunków między państwami, jak w ustawodawstwo każdego z nich.

Ale na to właśnie nie chcą przystać rzecznicy zideologizowanych religii, którzy uważają ten uniwersalizm prawny za wynalazek Zachodu, za ześwieczoną wersję wbudowanego w chrześcijaństwo przekonania o jego ważności powszechnej, którą Zachód odziedziczył po swej religijnej i oświeceniowej przeszłości, a teraz narzuca ją innym strefom kulturowym, choć jest to im z gruntu obce.

Z tej perspektywy uniwersalizm prawny jawi się jako narzędzie neokolonializmu, któremu trzeba się przeciwstawić. Stąd islamskie deklaracje praw człowieka odrzucające Powszechną deklarację praw człowieka z 1948 r. Stąd idea „wartości azjatyckich” wylansowana swego czasu przez Lee Kuan Yewa,

wtedy premiera Singapuru. Stąd wreszcie faktyczna negacja uniwersalizmu wszędzie tam, gdzie tradycyjne religie mają fundować obowiązujące nakazy i zakazy, stanowić o tożsamości zbiorowej, programować przyszłość i utrwać spistość społeczną.

Słowem, wszystko wskazuje na to, że w tej mierze, w jakiej o indywidualności każdej strefy kulturowej stanowią konstytutywne dla niej wierzenia zbiorowe, oddalają się one od siebie jak galaktyki.

Czy istnieją siły zdolne przeciwdziałać temu ruchowi odśrodkowemu, tzn. zdolne zmieniać właściwe każdej strefie kulturowej wierzenia tak, by zbliżały się one lub upodabniały do tych, które są właściwe innym, czego skutkiem byłoby stopniowe ujednolicenie wierzeń w skali światowej z zachowaniem najwyżej drugorzędnych odmienności? Kandydaci do tej roli: migracje, gospodarka z wbudowaną w nią techniką, nauka taka sama dla wszystkich nie wystarczają, by uzgodnić skłócone wierzenia, a przynajmniej upodobnić je do siebie w przewidywalnej skali czasu.



Wierzyć – to uznać jakiś przedmiot mowy za rzeczywisty tylko dlatego, że uznał go za taki inny podmiot jednostkowy lub zbiorowy, który daje temu wyraz słownie lub czynnie i który jest dla tego, kto wierzy, gwarantem realności tego przedmiotu, autorytetem.

Albowiem przedmiot wiary usytuowany jest poza zasięgiem ludzkich zabiegów poznawczych jeśli nie zawsze i wszędzie, to przynajmniej tu i teraz. Wiemy o nim i możemy o nim wiedzieć tyle i tylko tyle, ile powiedział nam lub pokazał ten, od kogo pochodzi nasza o tym przedmiocie wiedza i komu przypisujemy nadprzyrodzoną zdolność nawiązywania kontaktu z przedmiotami, do których ludzie nie mają pospolicie dostępu, lub równie wyjątkowe otwarcie na ich objawianie się.

Treść wierzeń i ich siła przekonywająca są, jak z tego wynika, nieodłączne od autorytetu, który za nimi stoi, co znaczy, że aby je skutecznie podważyć, nie wystarczą argumenty na rzecz fikcyjności lub zgola absurdalności ich przedmiotu czy też niezgodności uznania go za rzeczywisty z danymi nauki.

Trzeba w tym celu zdyskwalifikować poznawczo lub moralnie autorytet, który je gwarantuje, pokazać, że nie jest godzien okazywanego mu zaufania, gdyż nie przysługują mu żadne nadprzyrodzone władze, a powoduje nim głównie lub wyłącznie żądza panowania, posiadania czy seksu.

Gospodarka, technika, nawet nauka nie kwestionują treści wierzeń religijnych i nie atakują gwarantujących je autorytetów, co pozwala wyznawać jedne i uznawać drugie, będąc zarazem skutecznym menedżerem, sprawnym inżynierem, a nawet wielkim uczonym. Zresztą samo sprowadzenie do absurdu tych treści i zdyskwalifikowanie autorytetów też nie wystarcza.

Jak świadczy historia wierzeń zbiorowych, ulegają ona rzadko całkowitemu wykorzenieniu. Przeważnie stare są spychane na margines, gdzie następnie mogą utrzymywać się bardzo długo, ale dzieje się tak wtedy dopiero, gdy pojawiają się i rozpowszechniają wierzenia nowe, gwarantowane przez nowe autorytety. Ale nawet wtedy, gdy wyznawcy nowych wierzeń dochodzą do władzy i dekretują je jako odtąd obowiązujące, trzeba czasu, by nawrócić na nie większość. Obecny powrót religii w roli ideologii, powodujący oddalanie się od siebie stref kulturowych, potrwa więc prawdopodobnie dziesięciolecia, jeśli nie wieki.

Ma to jeszcze jedną, tym razem historiozoficzną konsekwencję. Skoro bowiem zwrot ku tradycyjnym religiom uznanym za obowiązujące ideologie nie ma być tylko krótkotrwałym epizodem, na co wszystko dotychczas wskazuje, to oddalanie się od siebie stref kulturowych skłania do zakwestionowania perspektywy ich stopienia się w przewidywalnej przyszłości w jedną cywilizację światową. Perspektywy związanej z przekonaniem o powszechnej ważności wzorca reprezentowanego przez Zachód, gdyż przyszła cywilizacja światowa wyobrażana była na jego obraz i podobieństwo.



Świat, w jakim ludzkość będzie żyła przez nadchodzące dekady, jeśli nie wieki, będzie prawdopodobnie podobny do dotychczasowego o tyle, o ile zachowa on podział na wielość stref kulturowych i o ile stosunki między nimi będą niekiedy okazywać się antagonistyczne.

Wyzwaniem, jakie staje wobec tego przed Europą i jej elitami intelektualnymi, jest zachowanie wartości oświeceniowych już wbudowanych w nasze instytucje społeczne i w nawyki jednostek, a przecież

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Różycki*

Pęka owoc

*Nie potrafiłem wciąż napisać wiersza,
o który prosili mnie przyjaciele,
wysyłałem im rzeczy solidniejsze,
hełm lub kuloodporną kamizelkę,*

*coś, co by mogło chronić przed pociskiem,
buty, bandaże, latające drony
czy jakiegokolwiek inny rodzaj broni,
bardziej śmiertelny niż te tu linijki,*

*ale oni prosili mnie o słowa,
jakby to one miały zdecydować,
co pozostanie z naszych marnych czasów.
Oglądam zdjęcia, które mi przysłałeś.*

*To Izjum. Tam, gdzie pochowano ciała,
szpaki zdziobują ciepłe winogrona.*



***Tomasz Różycki** – ur. w 1970 r., poeta, eseista, tłumacz. Autor m.in. poematu „Dwanaście stacji” (Nagroda Kościelskich) i tomu wierszy „Kolonie” (finał nagrody Nike). Za tom „Ręka pszczelarza” otrzymał Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za rok 2022.

Wiersz z jego najnowszej zbioru „Hulanki & Swawole”, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 124, Kraków 2024.



FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

permanentnie zagrożonych – przy znalezieniu zarazem sposobu, by przekonać mieszkańców innych stref kulturowych do zaadaptowania ich na swój użytek bez rezygnacji z rodzimych tradycji.

Nie po to, by upodobnili się do nas. Ani ze względu na „wyższość” tych wartości w jakimkolwiek sensie tego słowa. Ale z tego tylko prozaicznego powodu, że demokracja liberalna, gospodarka rynkowa, świeckość, równouprawnienie kobiet, szacunek dla mniejszości i przestrzeganie praw człowieka, choć nie czynią społeczeństwa doskonałym i nie zwalniają z obowiązku nieustannego ulepszania go, skuteczniej niż jakiegokolwiek inne rozwiązania ustrojowe wyzwalają jednostki i zbiorowości od strachu, zwiększają zakres ich panowania nad własnym losem, pozwalają żyć godnie, w lepszych warunkach materialnych, słowem, czuć się i być istotą ludzką wśród innych ludzi.

Czy Europa zdoła podjąć to wyzwanie i spełni oczekiwania wielu Europejczyków, a zapewne nie tylko ich? I co powinniśmy zrobić, by tak się stało? Odpowiedź zależy nie tylko od nas, również od czynników zewnętrznych. Ale to nie zwalnia nikogo z odpowiedzialności za przyszłość. ●



* Krzysztof Pomian

• ur. w 1934 r., profesor nauk humanistycznych. Filozof, historyk, eseista. W 2001 r. został dyrektorem naukowym Muzeum Europy w Brukseli. Członek Komitetu Doradczego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność. W Polsce ukazała się w zeszłym roku (słowo/obraz terytoria) jego trytomowa praca „Muzeum. Historia światowa”.

Wykład wygłoszony na Uroczystym Posiedzeniu Naukowym Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, 16 listopada 2024 r. Tytuł – „Wyborcza”.



• 8 maja 1997 roku, obchody 50. rocznicy akcji „Wisła” na teren obozu w Jaworznie, gdzie więzieni byli Ukraińcy

FOT. ROBERT KRZANOWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Akcja „Wisła”

TO BYŁO ZŁO

Uważam za haniebną, by żądać od potomków ukraińskich wysiedleńców usprawiedliwienia tej deportacji, aby w ten sposób dowodzili swojej lojalności do Polski.

Igor Rakowski-Kłós

Przyznana po raz 16. Nagrodę Historyczną m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego dla najlepszej książki dotyczącej historii Polski po 1918 r. prof. Grzegorz Motyka otrzymał za książkę „Akcja »Wisła« '47. Komunistyczna czystka etniczna”. Laureat otrzymał statuetkę – replikę temperówki patrona nagrody – oraz 50 tys. zł. W laudacji prof. Andrzej Friszke, przewodniczący jury, uzasadniał: „Grzegorz Motyka podważa rozpowszechniany przez dziesięciolecia pogląd, że akcja „Wisła” była koniecznością strategiczną – miała odciąć zaplecze nadal groźnej partyzantki. Dowodzi, że celem była czystka, pozbycie się ludności ukraińskiej z terenów, gdzie zamieszkiwała przez setki lat. Postawiono cel jej rozproszenia w drobnych grupach na wielkim obszarze ziem zachodnich i stopniowej polonizacji”.

Z PROF. GRZEGORZEM MOTYKĄ*
ROZMAWIA IGOR RAKOWSKI-KŁÓS

Napisał pan, że „Wisła” jest kobietą. Co to znaczy?
Co najmniej połowę spośród 140 tys. wysiedlonych stanowiły kobiety.

A mężczyźni?

– Tych w sile wieku było zaledwie 30–40 tys. Kobiety, dzieci i starcy to w sumie 100 tys. osób.

Ponad dwie trzecie.

– Przyjęło się uważać, że wysiedlenia mają twarz mężczyzny podejrzanego o współpracę z podziemiem, a przynajmniej gotowego pójść do lasu, by walczyć.

Gdy wyobrazimy sobie, kim w rzeczywistości były wypełnione wagony, to łatwiej nam zrozumieć, że akcja „Wisła” była operacją karną wymierzoną w ludność cywilną, która nie była w stanie chwycić za broń.

Podstawowe zadanie operacji jej głównodowodzący gen. Stefan Mossor określił wprost: „Rozwiązać ostatecznie problem ukraiński w Polsce”. Ale im rozkazy spływały niżej, tym rządziej mówiły o czystce etnicznej. W materiałach propagandowych dla żołnierzy można znaleźć odwołanie do czystek, ale tych antypolskich: „Walcząc z ukraińskimi bandami, musimy pamiętać, że mścimy śmierć tysięcy rodzin polskich pomordowanych w bestialski sposób przez ukraińskich bandytów”.

– Wszyscy oglądamy filmy kryminalne i wiemy, że przestępcy zacierają ślady. Ówczesne władze miały świadomość, że mogą zostać pociągnięte do odpowiedzialności. Dlatego im bardziej poszerzał się krąg wtajemniczonych, tym bardziej zacieśniał się rzeczywisty cel operacji.

Jeszcze przed akcją „Wisła” była planowana operacja deportacyjna „R” biorąca swą nazwę od Rzeszowa. Miała objąć 20 tys. ludzi i być



Tak różni prezydenci jak Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński uważali akcję „Wisła” za zło, które należy potępić. Warto kontynuować tę tradycję, a prezes Nawrocki nie jest jej depozytariuszem

wymierzona przeciwko ukraińskiej partyzantce. Niemal z dnia na dzień po tym, jak oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii zabił gen. Karola Świerczewskiego, skala wysiedleń została zwielokrotniona. Elita władzy, czyli Biuro Polityczne PPR, zareagowała z taką furią, bo ktoś ośmielił się uderzyć w członka rządu?

– Takie mam wrażenie. Akcja „R” miała polegać na działaniach przeciwpartyzanckich połączonych z wysiedleniami. Wiosną 1947 roku Biuro Polityczne płynęło na fali sukcesów: podziemie spacyfikowane, PSL złamane, wybory sfałszowane, właśnie zaczynało bitwę o handel. Wtedy ginie ich kolega i wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że mógł to być jeden z nich. Polska partyzantka rozbrojona, a tymczasem ukraińska pozwala sobie na tak spektakularną akcję. To z punktu logiki władzy domagało się reakcji.

Z partyzantką zmagają się nie tylko autorytarne rządy. Jak inaczej miałyby władza poradzić sobie z UPA?

– Akcje przeciwko ukraińskiemu podziemiu nie mają charakteru przestępczego. Za te akcje polskie państwo przyznaje dziś słusznie uprawnienia kombatanckie nawet żołnierzom Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Rzecz polega na tym, że władze komunistyczne do wiosny 1947 roku koncentrowały się na zwalczaniu polskiego podziemia, uznając ukraińskie za mniej zagrażające ich politycznemu interesowi. Od początku liczba oddziałów Wojska Polskiego skierowanych przeciwko UPA była relatywnie nieduża. Gdyby władze chciały ją zlikwidować, powinny wcześniej zwiększyć siły. Poza tym należało stworzyć alternatywę dla ludności.

Jaka?

– Do końca 1946 roku UPA była jedyną formacją, która broniła ludności przed wysiedleniem do Związku Sowieckiego. Jeśli ktoś nie chciał wyjechać na poniewierkę i niepewny los, to musiał przyjaźnie patrzeć na UPA. Nieprzypadkowo jednak, gdy skończyły się wysiedlenia na Wschód, a prawa obywatelskie zaczęły być uznawane, gwałtownie spadło poparcie dla podziemia. Ludzie mówili partyzantom, żeby nie prowokowali Polaków do akcji represyjnych.

No i tak się stało.

– Akcja „Wisła” objęła też te rejony, gdzie partyzantka była słaba albo wręcz w ogóle jej nie było. Bieda w wielu miejscach była ogromna i niewiele było trzeba, by dać ludziom nadzieję na lepszą przyszłość. Władze jednak zdecydowały się na akcję represyjną i czystkę.

Wśród wysiedlonych byli także Polacy. Dlaczego?

– Istniały tajne instrukcje mówiące, że lokalni działacze PPR mogą dopisywać do kontyngentu osoby niepewne politycznie. Ludzie związani z PSL-em mieli odwagę, by protestować przeciwko wysiedleniom, uważając słusznie, że zostali wywiezieni bezprawnie. Pewien Polak spod Lubaczowa został skierowany w okolice Szczecina i poskarżył się na swoją deportację do samego Józefa Cyrankiewicza. Jeden z urzędników napisał wprost: „Przesiedleniu podlegały nie tylko rodziny określone w zażaleniu jako »ukraińskie«, ale także rodziny czysto polskie, których obecność na terenie pogranicznych powiatów województwa rzeszowskiego nie jest wskazana”.

Czy nacjonalizm był częścią DNA polskich komunistów?

– Zostawiam tę sprawę otwartą. Wydaje mi się, że paradoksem jest to, że w ruchach komunistycznych, które miały wypisany na sztandarach internacjonalizm, mamy do czynienia z wybuchami nacjonalizmu przywodzące najbardziej skrajne idee Romana Dmowskiego. Nieprzypadkowo Bolesław Piasecki zawiązał PAX i zdecydował się na kolaborację z komunistami. Ale jest i druga strona medalu. Obok tej nacjonalistycznej pokusy przynajmniej część PPR-owskiego kierownictwa pamiętała, że wielkim marzeniem jest, aby Związek Sowiecki ogarnął najpierw Eurazję, a później cały świat. W związku z tym powstałby ogólnoswiatowy naród radziecki, a wszystkie elementy narodowościowe stałyby się ornamentyką.

Niedawno Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił decyzję prokuratury IPN o umorzeniu śledztwa w sprawie akcji „Wisła”. Nie zgodził się z argumentem, że deportacja nie była zbrodnią komunistyczną. Jest pan zadowolony?

– Z satysfakcją przyjąłem wyrok sądu. Sędzia poinformował, że IPN nie skorzystał z badań naukowych, mając pod boki jednego z najlepszych znawców tej tematyki, prof. Jana Pisulińskiego, który równoległe ze mną prowadzi swoje badania. Tymczasem prokurator oparł się na ekspertyzie magistra, który pisząc z pozycji kresowo-narodowych, okazał się dla IPN najbardziej wiarygodny. Mnie szczególnie oburzyło wykorzystanie moich badań, ale nie tych, które dotyczyły akcji „Wisła”, ale zbrodni wołyńskiej.

Inny czas, inny obszar.

– Komuniści wykorzystywali krew pomordowanych na Wołyniu, by zmyć swoje winy. Aby ludzie uważali, że wysiedlenia są usprawiedliwione. Rozliczenia przestępstw komunistycznych powinny dotyczyć wszystkich zbrodni, bez patrzenia na pochodzenie etniczne ofiar i sprawców. W przeciwnym razie jest to kierowanie się nacjonalistycznym aksjomatem i wybiórczy antykomunizm. Takie postępowanie jest nie tylko nieetyczne, ale również idzie na rękę wszystkim tym, którzy chcieliby prawdę o komunizmie ukryć.

Ostatnio na łamach „Wyborczej” prof. Adam Leszczyński wnioskował, by zlikwidować pion prokuratorski IPN, a prokuratorów przenieść do Prokuratury Krajowej. A pan?

– Już tylko to umorzenie pokazało, że prokuratura IPN wymaga reformy. To brak profesjonalizmu, który jest nie do usprawiedliwienia. Nic by się nie stało, gdyby prokuratorzy trafili do Prokuratury Krajowej, a dzięki temu zajęli się normalnymi sprawami i poznali szarą prokuratorską rzeczywistość.

Czy koniec końców śledztwo ws. akcji „Wisła” nie skończy się tak, jak kończy się większość śledztw IPN, czyli umorzeniem? Ale nie dlatego, że nie było przestępstwa, tylko dlatego, że sprawcy nie żyją.

– Obawiam się, że tak się stanie. Ale gdyby taki był powód umorzenia, nie byłoby powszechnego oburzenia i decyzji sądu. Znam ludzi ze wspólnoty ukraińskiej i niektórzy mają luźny stosunek do przeszłości, ale nawet oni mieli poczucie głębokiej krzywdy, czytając komunikat IPN.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czy doświadczenie akcji „Wisła” stało się ważnym elementem dla ukraińskiego poczucia tożsamości? Trudno opowiedzieć dzieje rodziny bez wytłumaczenia, dlaczego dziadkowie czy rodzice zamieszkali na Mazurach lub Pomorzu.

– Po części tak. Niektórzy Ukraińcy mówią, że część przetrwała, a część została wynarodowiona. Ale moim zdaniem tylko część osób w 1947 roku przyznało się do ukraińskiej tożsamości. Ich tożsamość narodowa była płynna. W tym czy innym miejscu zamieszkania i tak zaczęliby się utożsamiać z państwem polskim. Tradycja przetrwała w niektórych rodzinach dzięki wytrwałości samych Ukraińców, którzy stosowali taktykę Józefa Ślimaka z „Placówki” Bolesława Prusa.

Który nie chciał sprzedać ziemi Niemiec-kim osadnikom.

– Ukraińcy kultywowali język, święta i religię. Zachowywali własną tożsamość i skutecznie oparli się fali polonizacji. Ci, którzy zachowali tożsamość, mogą sobie opowiedzieć, kim są i w ten sposób „Wisła” staje się początkiem nowej wspólnoty ukraińskiej w dzisiejszym państwie polskim.

Równocześnie polska opozycja demokratyczna, która walczyła, aby w PRL-u były szanowane prawa obywatelskie, była wyczulona na tę kwestię. Dowodem tego była obecność w Komitecie Obywatelskim w 1989 r. posła Włodzimierza Mokrego, którego rodzice byli ofiarami wysiedleń, a on sam później kierował Katedrą Ukrainistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. To sprawia, że pamięć o akcji „Wisła” stała się częścią tej najpiękniejszej karty polskiej „Solidarności”.

Napisał pan, że „wysiedlenia 1947 roku stały się w wolnej Polsce lustrem, w którym możemy zobaczyć samych siebie takimi, jacy jesteśmy”.

– Stosunek do akcji „Wisła” pokazuje, czy chcemy państwa, które ma obywatelski czy etniczny charakter. Uważam za haniebnę, by od potomków wysiedleńców akcji „Wisła” żądać usprawiedliwienia deportacji, aby w ten sposób dowodzili swojej lojalności do Polski.

Prezes IPN chce teraz startować w wyborach prezydenckich. Ma to znaczenie?

– Prokuratorzy IPN, którzy usprawiedliwili akcję „Wisła”, złamali – moim zdaniem – ustawę o IPN. Tymczasem kierownictwo IPN, które na sztandarach ma walkę ze zbrodniami komunizmu, nie zdobyło się na żaden gest, by odciąć się od decyzji prokuratury. Tak różni prezydenci jak Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński mieli do akcji „Wisła” to samo podejście: uważali ją za zło, które należy potępić. Warto kontynuować tę prezydencką tradycję, a prezes Nawrocki pokazał już, że nie jest jej depozytariuszem.

Dlaczego akcja „Wisła” wywołuje dziś takie duże emocje społeczne?

– Nie uważam tak. Goręcej było 15 czy 20 lat temu. Głosy wyrażane w serwisach społecznościowych dzielę na trzy. Jedna grupa to ludzie, którzy uwierzyli w narrację PRL-owską, że operacja była potrzebna do zwalczania podziemia ukraińskiego. Druga grupa to ci, którzy są oburzeni, skądinąd słusznie, wypowiedzią byłego już ministra spraw zagranicznych Dmytro Kuleby, który wysiedleniami chciał usprawiedliwić Wołyń ‘43. Zbrodnia wołyńska i akcja „Wisła” w kategoriach prawnych to są innego rodzaju zjawiska.

A trzecia grupa?

– To rosyjska agentura, której zadaniem jest rozniesienie polsko-ukraińskich sporów, ponieważ im bardziej iskrzy wokół historycznych tematów, tym lepiej jest je Rosjanom rozgrywać. Chociażby za wciągnięcie Polaków i Ukraińców w spór o ekshumację na Wołyniu kilka osób na Łubiance z pewnością dostało ordery. ●

*Grzegorz Motyka (ur. 1967 r.)

● historyk, politolog. Dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, członek Kolegium IPN wybrany przez Senat RP, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Zajmuje się problematyką stosunków polsko-ukraińskich po 1939 r. oraz kwestią antykomunistycznego oporu w Europie Środkowej po 1944 r.

• Fragment oprawy
łańcuchowej kodeksu
krzyżackiego z XIV wieku

FOT. P. KUREK, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI
UNIwersyteckiej w TORUNIU

Pobożna matrona zabierała modlitewnik do kościoła, manifestując swoją religijność i bogactwo. Jego oprawa budziła zazdrość, jak dziś torebka Louisa Vuittona czy Chanel.

KSIĄŻKI DLA WRAŻLIWYCH

Z PROF. **ARKADIUSZEM WAGNEREM***
ROZMAWIA **BEATA MACIEJEWSKA**

Od 14 grudnia można w Muzeum Okręgowym w Toruniu w Ratuszu Staromiejskim oglądać unikatową wystawę „Oprawy gotyckie XIII–XVI wieku ze zbiorów toruńskich”. Ekspozycja będzie dostępna dla zwiedzających do 2 marca 2025 roku.

BEATA MACIEJEWSKA: Jest pan jedną z nielicznych osób w Polsce, które mogą bez metafory powiedzieć, że czytają książki od deski do deski.

PROF. ARKADIUSZ WAGNER: To prawda, od deski do deski. Jak na leśnika przystało.

Leśnik? Jest pan historykiem sztuki, bibliologiem i kolekcjonerem- bibliofilem. – Ale również leśnikiem, co w przypadku gotyckich opraw książek może być użyteczne, bo eliminuje problem ze zidentyfikowaniem drewna, z którego zrobiono okładki.

Na przykład dobrze wysuszona dębina – a tylko takiej używano do celów introligatorskich – ma brązowy kolor, na tle którego odznaczają się rzędy ciemnych „rowków”, czyli naczyń przewodzących, umożliwiających transport wody i soli mineralnych od korzeni do liści.

Z kolei buczyna ma jasny, szarawo-żółty kolor, urozmaicany licznymi brązowymi plamkami oraz pionowymi, ciemniejszymi liniami tzw. przyrostów rocznych drewna.

Zaiste, słowo pisane miało kiedyś dużą wagę.

– Nawet bardzo dużą, bo we wczesnym i dojrzałym średniowieczu okładziny z desek dębowych miały do około 1,5 cm grubości i w zasadzie ich nie fazowano. Ciężar okładzin był przydatny w ściskaniu falujących bloków pergaminowych kart. Woluminy układano poziomo, żeby zwiększyć nacisk. Ale w 2 połowie XV w. rozpowsechnił się druk, książek zaczęło szybko przybywać, co wymagało dostarczenia na rynek introligatorów większej ilości drewnianego surowca, czemu towarzyszyło szukanie oszczędności. Okładki mogły być cieńsze, gdyż falujący pergamin został wyparty przez karty papieru, a książki zaczęto ustawiać w pionie.

Co będziemy mogli zobaczyć na wystawie w toruńskim ratuszu. Czy prawdą jest, że to pierwsza wystawa w historii nie tylko polskiego, ale również europejskiego muzealnictwa i bibliotekarstwa, poświęcona wyłącznie oprawom gotyckim? – Tak.

Ale dlaczego nikt tego wcześniej nie zrobił?

– Bo oprawy gotyckie są wizualnie skromniejsze niż oprawy barokowe czy rokokowe, błyszczące złotem i srebrem, brakuje im technicznej perfekcji arcydzieł introligatorstwa z XVII–XXI w., nie zdumiewają ekscentryczną oryginalnością materiałów czy zdobień jak oprawy awangardowe i art

déco, a autorzy wystaw chcą mieć gwarancję, że zachwycą widzów. Stąd dotychczasowe wystawy były albo przekrojowe, albo skupiały się na dorobku wybitnych introligatorów.

Pan nie boi się, że widzów zawiedzie drewno, skóra i mosiądz zamiast złota i drogich kamieni?

– Nie boję się. Oprawy gotyckie są nie mniej piękne, choć wymagają od oglądających więcej wrażliwości i uwagi. Za to przybliżają nas do zrozumienia epoki równie fascynującej jak tajemniczej. Potwierdzają na przykład wprost niewyobrażalne dla współczesnego Europejczyka znaczenie religii w życiu średniowiecznych społeczeństw, a z drugiej strony są materialnym śladem wcielania prekapitalistycznych praktyk w proces produkcji opraw inkunabułów.

Zbiory toruńskie są tak bogate, że wystarczyło eksponatów na całą wystawę?

– Oczywiście. Toruń na przestrzeni wieków nie był właściwie zniszczony, a po 1945 roku znalazły się w nim cenne zbiory bibliotek królewskich, ewakuowane pod koniec wojny do majątków Slobity (Schlobitten) i Karwiny (Karwinden) pod Pasłękiem i przejęte przez pracowników toruńskiej Biblioteki Uniwersyteckiej. Mamy kodeksy z biblioteki krzyżackich, paleotypy (książki z początków drukarstwa – red.) wytłoczone w drukarniach prawie całej łacińskiej Europy, lecz oprowione w introligatorniach Królewca, Gdańska

i Torunia czy pomniejszych miast pruskich, jak Chełmno, gotyckie księgi kancelaryjne dotyczące spraw miasta i regionu, unikatowy na skalę europejską zbiór tabliczek woskowych z XIV–XVI w., wreszcie słynne cymelium o wprawdzie renesansowym obliczu stylowym, ale XV-wiecznej metryce, tzw. Kodeks Macieja Korwina. Takich woluminów i opraw jak toruńskie, próżno by szukać w kraju.

A poza tym ten toruński klimat! Miasto reklamuje się hasłem „Gotyk na dotyk” i ma do tego pełne prawo, bo zabytki toruńskiej architektury gotyckiej należą do najstarszych w Polsce, wyróżniając się oryginalnością i wysoką klasą artystyczną. Są wprost idealną scenografią dla tej wystawy.

Oprawy krzyżackie – jak to brzmi. Czy czymś się wyróżniają?

– Czarnych krzyży na białym tle nie zobaczymy. I szkoda, bo by się efektownie prezentowały! W rzeczywistości to przykłady skromnych ściśle użytkowych opraw: grube deski dębowe lub bukowe obleczone skórą, z metalowymi zapieczkami. Takie były zresztą standardy introligatorni klasztornych XIII, XIV i nawet początku XV wieku. Na wystawie można zobaczyć krzyżacki kodeks, którego treścią jest poetycka parafraza biblijnej Księgi Daniela i zapewne z uwagi na treść zdecydowano się na kosztowną dekorację obcięć kart pergaminu: mimo ich pofalowania wciąż dobrze widoczna jest złocona wic roślinna o czarnych konturach ciągnąca się przez całą długość wszystkich trzech krawędzi bloku.

Książka była jednak rękodziełem kosztującym twórców dużo wysiłku, a nabywcę dużo pieniędzy, więc luksus powinien być widoczny.

– I był widoczny. Nawet książki z najskromniejszych bibliotek klasztornych miały formę, którą z dzisiejszej perspektywy uznalibyśmy za przejaw rozrzutności. Mimo że i pergamin, i papier były drogi – mimo surowcami, przez całe średniowiecze kolumny tekstów miały niezwykle szerokie marginesy, wypełniane czasem kosztownymi iluminacjami albo glossami czyli komentarzami użytkowników. Ale w większości przypadków pozostały do dzisiaj puste. Wzgląd estetyczny, zasady kompozycyjne były ważniejsze niż minimalizacja kosztów. Z kolei oprawy miały być solidne i niezwykle trwałe, nawet jeśli nie miały wyrafinowanej dekoracji. Przypominam, że najstarsze oprawy na wystawie powstały 800-700 lat temu i wciąż są w zadziwiająco dobrym stanie. Dzisiaj staralibyśmy się oszczędzić na tej trwałości. Książkę mamy sprzedać, a to co się z nią potem stanie jest już problemem użytkownika.

Wypatrzyłam jednak eksponat, który jest zaprzeczeniem gotyckiej skromności. To modlitewnik.

– Eksponat z wąskiej kategorii towarów luksusowych. Najbardziej kosztowne księgi modlitewne, tzw. Godzinki, wykonywano z pergaminu welinowego, wytwarzanego – co brzmi dzisiaj drastycznie – z płodów jagnięcych. Karty były niezwykle delikatne, bogato iluminowane, z użyciem złota płatkowego lub sproszkowanego najwyższej próby i barwników produkowanych z surowców sprowadzanych z dalekich krajów, takich jak lazuryt czy seladonit. Same materiały kosztowały majątek, a do tego trzeba było doliczyć pracę wybitnych iluminatorów. Oprawa takiego arcydzieła też musiała być wyjątkowa. Już nie skóra, ale kosztowne tkaniny, importowane z Włoch lub nawet z Orientu: złotogłów, brokat, aksamit, jedwab.

Pobożność i luksus chodziły w parze?

– Cecha elit kultury „jesieni średniowiecza”. Tego rodzaju woluminy – niewielkie, w oprawie tekstylnej – miały niekiedy formę sakwową, czyli przypominającą torebkę. Pobożna matrona zabierała ten modlitewnik do kościoła, manifestując jednocześnie swoją religijność i bogactwo. Taka oprawa z daleka przyciągała wzrok i budziła zazdrość, jak dziś torebka Louisa Vuittona czy Chanel.

To cudo z wystawy kosztuje z pewnością więcej niż Chanel.

– To wyjątkowy artefakt, iluminowany kodeks modlitewny, który należał do królowy duńskiej Doroty, żony księcia Albrechta Hohenzollerna i był prawdopodobnie darem ślubnym. Pierwotnie miał stosunkowo skromne okładki: deski obleczone skórą ze ślepymi tłoczeniami. Introligator wykorzystał motyw Baranka Bożego, Madonny z Dzieciątkiem, rozety i lilii. Jednak w XVI w. modlitewnik otrzymał oprawę płaszczową lub sakwową, wykonaną z czarnego aksamitu i wzbogaconą finezyjnymi okuciami złotniczymi.

Zapięcia to czysta fantazja: główki aniołków z otwartymi ustami, będącymi otworami na malutki kluczyk do odblokowania zamków. Torebka i sejf w jednym?

– Wspaniale, prawda? Przemysłny mechanizm blokował zaczep paska, który umocowany był do czubka kędzierzawej główki aniołka. W sąsiedztwie tego modlitewnika umieściliśmy figurę świętego z księgą w oprawie sakwowej, trzymaną w ręku niczym torebka, więc można zobaczyć, jak je noszono.

Królowny były gatunkiem rzadkim nawet w średniowieczu, introligatorzy by z takich zamówień nie wyżyli. Na co mogli liczyć biedniejsi klienci? Powiedz-



• **Złotniczy guz oraz zapięcie na kluczyk w kształcie główki putta na oprawie modlitewnika księżnej Doroty, XVI wiek**

FOT. P. KUREK, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI UNIwersyteckiej W TORUNIU



• **Zdobiona oprawa i wewnętrzna strona tabliczki woskowej z zachowanym tekstem z początku XV wieku**

FOT. TOMASZ DORAWA, ZE ZBIORÓW ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO W TORUNIU (2)



• **Makulatura introligatorska z pergaminowego kodeksu hebrajskiego w oprawie krakowskiej lub kazimierskiej z początku XVI wieku**

FOT. TOMASZ DORAWA, ZE ZBIORÓW KSIĄŻNICY KOPERNIKAŃSKIEJ W TORUNIU



my, że profesorowie uniwersytetu albo studenci wspierani przez rodzinę. Jak wyglądały oprawy ich książek?

– Popularne były tzw. oprawy mnisze, w których skóra pokrywa grzbiet ze związanymi skalającymi składki bloku i jedynie fragment desek okładek. Reszta drewna jest odsłonięta i na niej są zamontowane zapięcia, bo przy takiej oprawie generalnie nie stosowano okuć. Nazwa wskazywałaby na klasztorną genezę, ale w rzeczywistości były one stosowane głównie w środowisku mieszczańskim u schyłku średniowiecza. Rosła podaż książek drukowanych, a oprawy „mnisze” pozwalały obniżyć ich cenę, żeby klientów było stać na kupno kolejnych woluminów. Na wystawie pokazujemy m.in. przykład oprawy „mniszej”, chroniącej jedno z najsłynniejszych dzieł literatury późnośredniowiecznej – Stultifera navis (Statek głupców) Sebastiana Branta w bazylijskiej edycji z 1498 roku. Płatem skóry obleczone tu jedynie grzbiet i około jednej trzeciej szerokości dębowych okładek, pozostawiając ich większą część odsłoniętą. Ale introligator zadbał też o estetykę, bo powierzchnię desek oheblowano, dłuższą krawędź szafowano, a okładzinę ze skóry pokryto wyciskami tłoku, przedstawiającogo tzw. Madonnę Apokaliptyczną, w glorii promienistej, stojącej na półksiężycu.

Książki drukowane to już masówka. Duży przerób dla introligatorów. Obniżono jakość?

– Wprowadzono innowacje techniczne, pozwalające zaoszczędzić czas, bez obniżania standardów jakościowych, na przykład radelko. To mosiężny wałek z wyrytymi wzorami, które się wyciskało na skórę. Radykałnie przyspieszyło tempo nanoszenia dekoracji pasowej na okładzinę i grzbiety.

Wydawcy dzisiaj bardzo starannie wybierają kolory okładek, żeby się wyróżnić w księgarniach. A średniowieczni?

– Oczywiście, kolor jest ważny, wiele okładek było barwionych lub malowanych w jaskrawe, wręcz krzykliwe barwy, a mosiężne zapięcia błyszczą jak złoto. Ewenementem jest XIV–wieczna oprawa kodeksu prawa kanonicznego pochodząca z zamku krzyżackiego w Tapiawie (dziś Gwardiejsk, obwód królewiecki –red.). Jej dekoracja składa się głównie z wyciskanych strychulcem linii tworzących romby i trójkąty, z których niektóre pomalowano na czarno i czerwono, pozostawiając też niezamalowane pola oraz jedno – pierwotnie białe? – obwiedzione malowaną linią. Taka wielobarwna kompozycja geometryczna jest rzadkością i można przypuszczać, że odnosi się do barw heraldycznych.

Najbardziej intrygujące są jednak okładki tabliczek woskowych. Pełniły funkcję notatników, mogły być wielokrotnie wykorzystywane. Nikt z pewnością nie zakładał, że przetrwają 600 lat. Ba, że zachowa się tekst. Średniowieczni introligatorzy przygotowywali produkt na wieki wieków.

– Toruń ma olbrzymi, nawet jak na warunki europejskie, zbiór tabliczek woskowych, które są integralnie związane z historią i kulturą tego miasta. To niezwykle zabytek, ponad 120 tabliczek z drewna, wydrążonych i wypełnionych woskiem podbarwionym sadzą na czarno, spiętych paskami skóry, z drewnianymi okładkami. Używano ich w administracji miejskiej od XIII do XVI wieku. Były znacznie tańszym materiałem pisarskim niż pergamin, warstwę wosku można było zatrzeć i wyryć nowy tekst.

Co można wyczytać z woskowych tabliczek?

– Opisy transakcji zawieranych przez mieszczan, rozliczenia wzajemnych zobowiązań i różne formy spłaty długów, wilkierze i uchwały rady miejskiej, wykaz obywateli, którym przyznano prawa miejskie.

Jeśli pełniły funkcję notatników, to nie powinny być tak starannie wykonane i oprawione. A te okładki są piękne, z dekoracją roślinną i zoomorficzną. Chimery, gryfy, bazyliczki. To czysta rozrzutność.

– Tabliczki pozwalają nam zobaczyć kodeksową formę książki, która ukształtowała się u schyłku antyku i trwa do czasów współczesnych. Połączone rzemieniami tabliczki były wygodniejsze niż zwój pergaminu, z czasem zostały zastąpione kartami, ale konstrukcja została zachowana. Ciekawe jest to, że owe kodeksy woskowe wykonano m.in. z drewna gruszy i jabłoni, a był to wówczas surowiec wręcz luksusowy. W późniejszych wiekach wykonywano z niego miniaturowe rzeźby gabinetowe.

Na wystawie jest dzieło Andreasa Althamera, niemieckiego humanisty i luteranckiego reformatora. Tej książki nie można już czytać od deski do deski, bo została oprawiona w tekturę, choć materiałem okładzinowym jest nadal skóra. Z kolei książka autorstwa francuskiego prawnika, François Hotmana, również z tekturowymi okładkami, ma do połowy obleczenie ze skóry, a od połowy jest wyklejona pergaminem z gotyckiego kodeksu chorałowego.

– To już znak zanikania gotyckiej tradycji zdobnictwa introligatorskiego. Tekturowe okładki były lżejsze, więc książki stały się bardziej poręczne. Takie oprawy niewielkich druków spopularyzował pod koniec XV w. wenecki architypograf Aldus Manucjusz, a że były ładne i praktyczne, to rozpowszechniły się w całej Europie.

Tektura, owszem, ale żeby ją robić z gotyckich kodeksów?

– Wydaje nam się to dziś barbarzyństwem, podobnie jak zmiana gotyckich opraw na oprawy nowsze. Średniowieczne dzieła się zdezaktualizowały, ale pergamin był solidnym materiałem, więc zaczęto go masowo wykorzystywać jako makulaturę introligatorską. To zjawisko szczególnie było widoczne w okresie reformacji, gdy na rynek trafiła ogromna liczba katolickich kodeksów pergaminowych, od modlitewników po wielkoformatowe księgi chorałowe, ale w XIX, a nawet w XX wieku też taki proceder miał miejsce.

To brzmi strasznie.

– Ale wyobraźmy sobie, że introligatorzy nie potrzebowaliby tej makulatury. I co by się stało z tym średniowiecznymi bibliami, graduałami czy zbiorami tekstów kaznodziejskich? Zapewne zostałyby zniszczone. A tak przetrwały choćby we fragmentach jako wyklejenie grzbiotu, karta ochronna lub obleczenie okładek.

Odkąd w pol. XV wieku zaczęto produkować książki drukowane, makulaturę introligatorską pozyskiwano także z papierowych kart lub całych arkuszy inkunabułów. Wykorzystywano próbne lub błędne wydruki, lub publikacje, które się nie sprzedały, na przykład stare kalendarze lub prognozyki. Papier nie mógł się jednak równać ze znacznie wytrzymalszym pergaminem, który lepiej się sprawdzał we wtórnej roli elementu konstrukcyjnego, wzmacniającego i/lub chroniącego blok książki przed zniszczeniem. Dzięki makulaturze introligatorskiej przed nami jeszcze wiele odkryć. ●

Prof. Arkadiusz Wagner

• Historyk sztuki, bibliolog i bibliofil, pracuje w Instytucie Badań Informacji i Komunikacji UMK w Toruniu. Autor wielu książek i artykułów z zakresu tegumentologii, czyli nauki zajmującej się badaniem okładek książkowych z punktu widzenia technologicznego, historycznego i konserwatorskiego. Uhonorowany odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”, za szczególne zaangażowanie w obronę tzw. Kodeksu Korwina przed bezprawnym podarowaniem go Węgrom w 2022 r.



• Rzeźba świętego trzymającego księgę w oprawie sakwowej, XV wiek

FOT. K. DECZYŃSKI / ZE ZBIORÓW MUZEUM OKRĘGOWEGO W TORUNIU

ANTYPRAWICOWY KONSERWATYSTA

Po lekturze wywiadu rzeki z Andrzejem Romanowskim mam refleksję: nie pojmuję, jak badacz przeszłości może popadać w tak ahistoryczną moralistykę.

Marek Beylin

Andrzej Romanowski, uczony polonista, szef bezcennego Polskiego Słownika Biograficznego i temperamentny publicysta, którego ostre sądy nierzadko wzbudzają moją chęć polemiczną. Postać nie tylko krakowska, lecz również polska. Też w tym sensie, że jego główną pasją jest krytyczny namysł nad różnymi formami polskości.

Właśnie polskości w liczbie mnogiej, a nie jakaś jedna polskość, są głównymi bohaterami jego opowieści ujętej w rozmowie rzece „Życie pełne historii”. Nie ma bowiem, zauważa, czystych Polaków; wszyscy jesteśmy mieszkankami i różnych pochodzeń etnicznych, i rozmaitych kulturowych zewnętrznych wpływów, nawarstwiających się w historii. Sam wykrył własne pochodzenie ukraińskie, niemieckie i może żydowskie, więc „jestem 100-procentowym Polakiem” – deklaruje.

Co stwierdziłbym również o sobie jako Polaku pochodzenia żydowskiego i z korzeniami litewsko-szwedzko-tatarskimi. Powiedziałbym zatem: jesteśmy wielo-Polakami. Co nasi nacjonaliści skrzętnie wypierają. Dodałbym więc pod ich adresem, że, owszem, polska rasa istnieje, lecz tylko wśród kur i bydła domowego.

Jako rzecznik owej wielości Romanowski czujnie śledzi polski nacjonalizm, uderza też w rodzime mitologie – „mitomanie”, jak sam mówi. O sobie powiada, że jest konserwatystą, ale antyprawicowym, oraz katolikiem, który już nie chodzi do kościoła. Jest też „za ochroną życia poczętego”, lecz sprzeciwia się temu, by decydowało o tym państwo. Na co wpływ wywarła uwaga Jacka Kuronia. „W odpowiedzi na jakąś moją katolicką uwagę usłyszałem [od niego]: »chwileczkę. Czy my chcemy rozwiązać problem, czy uspokoić sobie sumienie?«” – wspomina.

To tylko pozorne sprzeczności światopoglądowe, zwłaszcza w naszym poplątanym kraju, gdzie tradycyjne ideowe etykiety – prawica, lewica, konserwatyzm, liberalizm, katolicyzm – przestały określać rzeczywistość i ludzkie postawy. Toteż w swoich pisarskich poczynaniach Romanowski kieruje się wartościami, a nie spójnymi ideologiami. A nade wszystko leży mu na sercu polska demokracja, stąd jego szarże czy publicystyczne rzezie dokonywane na tych postawach i nierzadko osobach, które, jak ocenia, z demokracją się kłócą.

Romanowskiego bezkompromisowy взгляд na wartości oraz publicystyka, która nie bierze jeńców, łączą się – znów sprzeczność – z jego pozytywizmem. Polega on na tym, by w trudnych czasach, w PRL czy pod rządami PiS, stać przy wartościach, pilnując ich, robić swoje i zarazem trzeźwo oceniać siły przeciwnika.

Bliska mi to postawa, choć w młodości podążaliśmy różnymi ścieżkami. Romanowski wchodził w życie publiczne w latach 70. jako polonista, publicysta oraz działacz najpierw oficjalnej organizacji studenckiej,



• **Prof. Andrzej Romanowski, historyk, polonista, polemista, szef Polskiego Słownika Biograficznego** FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

a później Stronnictwa Demokratycznego. Uznał, że taka przynależność doda mu zawodowej sprawczości. Dziś widzę w tym jedną z odmian pozytywistycznego patriotyzmu, zwłaszcza że dokonując tych wyborów, nie naruszył norm przyzwoitości. A wtedy?

Na pewno nie traktowałbym go jako osoby z przeciwnej strony. Byłem wówczas młodzieńcem z Komitetu Obrony Robotników. I moją edukację polityczną oraz etyczną zawdzięczam w dużej mierze Adamowi Michnikowi i Jackowi Kuroniowi. A uczyli oni nas, młodzież, politycznego realizmu polegającego na pokojowej nieustępliwości wobec reżimu i wykorzystywaniu okazji, by poszerzać wolności oraz stawiać na społeczną samoorganizację i edukację. Jednym z filarów owej edukacji było to, by osoby niezaangażowane w opozycję, lecz dzielące podstawowe wartości, traktować po partnersku. Aby widzieć w nich sojuszników i sojuszniczki wspólnej sprawy. Bez czego żadne formy społecznej samoorganizacji nie mogły się powieść. Cóż, przynaję, że moja młodzieńcza arogancja z trudem łykała tę naukę o poszanowaniu różnych postaw i biograficznych ścieżek. Ale wkrótce tę moją obcesowość zmyła „Solidarność” – wielkie laboratorium społecznej podmiotowości i samoorganizacji w duchu KOR.

Romanowski, oczywiście, zaangażował się w „S”. Podziwiał ów zryw, koncepcję samoo ograniczającej się rewolucji, liczne wydawnictwa odkłamujące historię, choć raził go wzbraniający radykalizm drażniący Moskwę. Jak mówi, uważał wtedy – i dziś także – że prymas Józef Glemp wykazał brak odwagi, nie przeciwstawiając się temu „terrorowi nierozumu”. Jednak wbrew temu, co twierdzi Romanowski, Glemp usiłował to robić, tylko nieskutecznie i nieudolnie.

Nieskutecznie, bo ruch „S” emancypował się nie tylko od reżimu komunistycznego, lecz również w dużej mierze od wpływów Kościoła, czemu nie przeszkadzał masowy udział w religijnych obrzędach. A nieudolnie, ponieważ Glemp wraz z wielką częścią katolickich hierarchów pragnęli zyskać kontrolę nad „Solidarnością” w najgłupszy możliwy sposób: wspierali rosnący w siłę nurt endecki przeciw „lewakom” z KOR, których uważali bodaj za największe polskie zło. Dopóki więc trwała „S”, władza Kościoła nad społeczeństwem była limitowana. Radykalnie zmienił to stan wojenny; wtedy na gruzach ruchu Kościół wyrósł na narodową potęgę, jaką wcześniej nigdy nie był.

W stan wojenny Romanowski wkroczył, jak ja i spora część społeczeństwa, z nie-nawiścią do gen. Jaruzelskiego i reżimu. Pod wpływem tych emocji bardzo nieufnie

podchodził na początku do obrad Okrągłego Stołu, podczas których, przypomnę, reżim Jaruzelskiego dogadał się z „Solidarnością” w sprawie demokratycznej ewolucji Polski. Ale zgoda reżimowej elity na zmianę ustroju radykalnie zmieniła pogląd Romanowskiego na generała i w ogóle na stan wojenny.

W sprawie Jaruzelskiego jestem w dużej mierze z autorem. Rzeczywiście niedawny przywódca Polski stanu wojennego okazał się ultralojalnym sojusznikiem świeżej i kruchej demokracji. Co wielce wpłynęło na to, że nawróciła się na nią również spora część aparatu PZPR, wojska i milicji. Tyle że samo to mogło nie wystarczyć do utrzymania lojalności tej rzeszy aktywnych osób. Jak sądzę, los Polski potoczyłby się inaczej, gdyby kształtująca się demokracja wyrzuciła postkomunistów poza nawias polityki, gdyby pod nośnymi wówczas hasłami dekomunizacji odbierano im prawa polityczne. Potężną pracę niwelującą takie pomysły wykonała część elit byleż opozycji demokratycznej, w tym Michnik i Kuroń. Widziałem w tym przedłużenie ducha KOR.

W efekcie postkomuniści okazywali się często lepszymi demokratami niż potężniejszą już wówczas skrajna prawica pragnąca urządzić Polskę na wzór endecki. Kumulacji tych nurtów doświadczyliśmy za rządów PiS. Pamięć o tym powinna dziś hamować publicystyczne pomysły, by obóz demokratyczny zaproponował – nieco na wzór Okrągłego Stołu – partii Jarosława Kaczyńskiego porozumienie w sprawie przyszłości polskiej demokracji.

To nigdy nie byli i nie będą sojusznicy demokratycznej drogi ani partnerzy demokratów. Pod tym względem Kaczyński nie umywa się do Jaruzelskiego; szef PiS pozostanie jedynie satrapą, tyleż groźnym, co groteskowym.

Świetnie rozumiem więc antyprawicową postawę Romanowskiego i niechęć do antykomunizmu po komunizmie. Zdumiewa mnie jednak jego wypowiedź: „Gdy widzę, co dziś stało się z obozem niegdysiejszej »Solidarności«, to w roku 1981 moje miejsce było przy generale Jaruzelskim. (...) Trzeba było przy nim bronić państwa”.

Nie pojmuję bowiem, jak badacz przeszłości może popadać w tak ahistoryczną moralistykę. Oczywiście w tle tego stwierdzenia stoi przekonanie, że Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny, ocalił nas przed sowiecką interwencją. Przekonanie zapewne trafne, choć wniosek z niego płynący – trzeba było stać przy generale – jest przy pozorach logiki absurdalny. Bo Romanowski stwierdza w konsekwencji, że „S” powinna była nie tyle się samoograniczać,

ile samozlikwidować. Wtedy nic by nam nie groziło.

Dostrzegam w tym echa myślenia filozofa Bronisława Łagowskiego, wyraziciela nierzadkiego w PRL realizmu, zgodnie z którym komunistyczna dyktatura, przyzwalając na ograniczony zakres autonomii, choćby intelektualnej, jest dobrem na tyle znośnym, że wszelkie próby podważania owego ładu to awanturnictwo prowadzące do katastrofy. Należy więc pielęgnować własną autonomię, już zdobytą, i potępiać wszelkie zbiorowe wystąpienia. Zgodnie z tymi przekonaniami Łagowski stał wówczas przy Jaruzelskim.

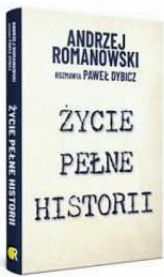
Romanowski odtwarza dziś to dawne realistyczno-cyniczne myślenie, jakby późniejsza historia nie dowiodła jego miałości. Więcej, nie pojmuję, chyba że bez „S”, bez rozkwitu społecznej podmiotowości i oddolnych elit, bez społeczeństwa obywatelskiego, jakie, choć zubożone, przetrwało w stanie wojennym, nie byłoby najpewniej Okrągłego Stołu ani tak szybkich przemian demokratycznych. Któż bowiem miałby wywierać presję na elity rządzące PRL?

Ale tej mojej niezgodzie z Romanowskim towarzyszą liczne zgody, gdy temperament publicysty łączy się w jego wywodach z kompetencją badacza. Gdy, na przykład, neguje polsko-centralistyczne pojęcie kresów na rzecz pogranicza, bardziej pojemnego i zrównującego wielość spojrzeń oraz historii obecnych na dawnych wschodnich ziemiach Polski. Gdy przekonuje, że Litwini mają prawo uważać Mickiewicza za swego pisarza, zwłaszcza że sam za Litwiną się uważał i „nigdy nie był w Polsce, raz tylko krótko przebywał w Poznańskim”. Swoją litewskość deklarował też Kościuszko, więc i on może być uważany również za postać z dziejów Litwy.

Takie wywody Romanowskiego wiążą się ściśle z etyką badacza: patrzeć na fakty, nie ulegać stereotypom czy „mitomaniom”. W tym duchu szefuje on Polskiemu Słownikowi Biograficznemu, wydawnictwu bezcennemu dla naszej wiedzy i cierpiącemu na brak pieniędzy, co paraliżuje pracę zespołu.

Jako publicysta Romanowski ma burzliwą historię. Jak opowiada, przez lata był autorem „Tygodnika Powszechnego”, z którym zerwał, gdy po śmierci Jerzego Turowicza, redaktora naczelnego i legendarnej postaci, pismo zmieniło orientację na bardziej prawicową. I pozbyło się w mało elegancki sposób Krzysztofa Kozłowskiego, postaci też wybitnej i związanej z Turowiczem. Potem publikował w „Gazecie Wyborczej”, choć nie bez scysji. Dziś jest związany z lewicowym „Przeglądem”.

Jestem pewny, że jego teksty pozostaną żwawe, jedne nierzadko sporne, wołające o polemiki, inne mądrze podważające pewniki naszego myślenia. ●



Życie pełne historii.
Rozmawia Paweł Dybicz

Andrzej Romanowski
Fundacja Oratio Recta 2024

KARIERA „KARDYNAŁA HALECZKI”

Papieże wprawdzie nie mają dzieci, ale mają siostrzeńców.

Arkadiusz Stempin

Tej logice wymiar administracyjny nadał papież Sykstus V. W 1585 roku utworzył w rzymskiej kurii urząd nepota (łac. Nepos = siostrzeniec). Od tej pory miał on przypadać w udziale najstarszemu siostrzeńcowi urzędującego papieża. W pakiecie nepot otrzymywał kapelusz kardynalski oraz pozycję, którą później piastować miał kardynał sekretarz stanu, pierwszą po papieżu.

Urząd nepota przetrwał jedynie sto lat z okładem. Kościół zlikwidował go w roku 1692 ... choć nie zlikwidował nepotyzmu. Tak jak nie powołał go do życia papież Sykstus V. Przytaczanie przykładów papieża, który przed nim forowali swoją rodzinę, sprowadzali do Rzymu, zapewniali wysokie stanowiska i dochody, wypełniłoby zbyt wiele stron. Przywołajmy tylko jednego z nich, który świat ujrzał w podupadłym rodzie Farnese. Jako drugi syn nie miał widoków na przejęcie majątku po ojcu. Musiał więc podążyć karierą kościelną. Wbrew hobby, którymi były kobiety, polowania i filozofia.

KAPELUSZ ZAŁATWIONY W ALKOWIE

Sykstus V jeszcze się nie narodził, kiedy Aleksander Farnese u progu kościelnej kariery jako skryba wtrącił swoją matkę do lochów. Za ten czyn urzędująca głowa Kościoła Innocenty VIII wtrącił młodego szlachcica do więzienia. Gnił więc Aleksander w watykańskiej warowni św. Anioła, dopóki stamtąd nie uciekł. Prawdopodobnie spuścił się po prześcieradle z wysokiego okna. A ślimaczącą się karierę kościelną postanowił przyspieszyć.

Podrzucił wpływowemu kardynałowi Aleksandrowi Borgii jako kochankę swoją piękną siostrę Gulię. Nastolatka zawróciła w głowie jurnej eminencji, było nie było już wtedy ojcu czwórki dzieci. Kiedy wreszcie w trzecim swoim podejściu Borgia został wybrany na papieża, „la Bella Giulia” awansowała do rangi papieskiej kochanki.

W alkowie wystarała się o kapelusz kardynalski dla swojego 25-letniego brata, który z kolei ze swoją kochanką zamieszkiwał Palazzo Farnese w Rzymie. Sposób, w jaki otrzymał kardynalski kapelusz, uprawnił mieszkańców Rzymu do okrzyknięcia go kardynałem gonella (haleczka) albo kardynałem Fregnese (od słowa pochwa, jednakże w wulgarnej wersji).

Eminencja Aleksander Farnese ze swoją kochanką Sylwią Ruffi doczekał się czwórki dzieciaków. Pomimo wysokich godności w Kościele religii katolickiej nie miał zbytnio w poważaniu. Dopiero w wieku 51 lat przyjął święcenia biskupie. I tylko dlatego, by zwiększyć swoje szanse na urząd papieski.

ŚMIERĆ HERETYKOM

Rachuba nie zawiodła. W 1534 roku Aleksander Farnese po zaledwie jednodniowym konklawe został głową Kościoła. Z imieniem Pawła III od razu zakasał rękawy i przystąpił do duszenia kontrreformacyjnego zrywu, który po wystąpieniu Marcina Lutra wybuchł w Europie. W pierwszej encyklice zapowiedział, że będzie dążył do „rozkwitku katolickiej wiary, a od każdej herezji uchroni wierzących. Ci bowiem na skutek przebiegłych sztuczek szatana są od niej odciągani. I muszą powrócić na łono Kościoła katolickiego. Ci natomiast, którzy



• **Papież Paweł III ze swoimi wnukami-nepotami Ottavio i Alessandrem. Obraz Tycjana datowany na około 1545 rok**

FOT. ZE ZBIORÓW MUSEO DI CAPODIMONTE

stracili rozum i nie chcą odstąpić od herezji, muszą tak surowo zostać ukarani, by odstraszać podziałac na innych”.

Wykorzenienie herezji powierzył Świętemu Oficjum, na którego czele stanęła szóstka twardogłowych kardynałów. Święte Oficjum bezpośrednio nawiązało do średniowiecznej inkwizycji, która w wielu krajach na stos wysłała krytycznych myślicieli. Szczególnie w Hiszpanii. Tak jak średniowieczna poprzedniczka, tak teraz jej rzymski wariant postawił na denuncjację i donosy informujące o przestępstwie herezji.

Jakkolwiek trzeba uczciwie przyznać, że nowe procesy przewidywały pewną ochronę dla oskarżonego. Miał prawo do adwokata, a tortury podczas przesłuchań ograniczono. Nie szafowano również tak wspaniałomyślnie karą śmierci. Skazani najczęściej lądowali w kościelnych więzieniach lub na klasztornej pokucie. Duchownym natomiast, którzy przeszli na protestantyzm, groziły galery, na których wiosłując, zaharowywali się na śmierć.

DYNASTIA WATYKAŃSKA

Twarda walka na większą chwałę Kościoła nie przeszkodziła Pawłowi III, by wprawdzie nie siostrzeńców, ale swoich wnuków – jednego w wieku 14, drugiego w wieku 16 lat – zamianować kardynałami, by któryś z nich jego wzorem zasiadł na Piotrowym Tronie. Zablęśla mu bowiem szalona myśl: przekształcić państwo papieża w dynastyczną monarchię.

W otoczeniu wnuków kardynałów, w tym Ottavia, którego uczynił księciem Parmy i Piacenzy, dał się sportretować artystycznemu gigantowi epoki – Tycjanowi. Sprowadził artystę do Rzymu, by ten krzewił dynastyczną propagandę rodziny Farnese. Ale Tycjan przechrzcił mecenasa. Trafny portret jego pędzla ukazywał podstarzałego i steranego życiem papieża w otoczeniu dwóch wnuków nepotów. Pontyfeks został obleczony w dostojność wieku, ale i przedstawiony w drapieżnym spojrzeniu. Jego wychudzona ręka czai się gotowa do zgarnięcia dowolnego drobiazgu. Genialnie uwypukla to nieokielznaną żądzę posiadania.

Flankujący papieża książę Ottavio prezentuje się jako usłużny dworzanin, giętko stojący w blokach startowych do dalszej kariery – oczywiście forsowanej po trupach. Obraz stanowi szczytowe osiągnięcie psychologicznej głębi sztuki portretowej. Niestety, został niedokończony, a długie lata, nieoprawiony w ramy, przeleżał w piwnicach rzymskiego pałacu Farnese. Historycy spekulują, czy artysta przerwał pracę, bo zbyttnio przejrzał klienta, co temu się rzecz jasna nie spodobało, czy też klient wystrychnął artystę na dudka, bo nie przekazał mu obiecanych apanaży dla jego

syna. W efekcie obrażony Tycjan wyjechał z Rzymu.

WYUZDANY GROBOWIEC

Jak na wzorowego nepotę przystało, za troszczył się papież Farnese także o swoją kochankę Sylwię Ruffini. Kobiety skazane były wtedy na wsparcie od mężczyzn, tylko nieliczne mogły się kształcić, cała ich masa służyła jako maszyny do rodzenia dzieci. Wiele umierało przy porodach. Swoją kochankę Paweł III wydał za mąż za niejakiego Giovanni Crispo. Potomstwu z tego związku zgodnie z życiową dewizą nepota zapewnił lukratywne posady, w większości kapelusze kardynalskie. Kiedy legalny małżonek dość wcześnie zmarł, Sylwia pozostała w monogamicznym związku z papieżem Farnese.

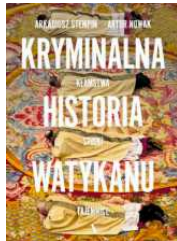
Zaopiekowana mieszkała najpierw w Rzymie, potem w Bolsena.

Paweł III oczywiście ukrywał związek, tak jak i wsparcie, jakiego sekretnie udzielał matce. Po Rzymie kursowały wprawdzie złośliwe pogłoski o seksualnej rozpuszcie papieża i jego homoseksualnych skłonnościach. Tyle że w obieg puszczał je religijny przeciwnik Marcin Luter. Nie była to prawda, ojciec święty żył w najuczciwszej monogamii zapatrzonej w polityczny sukces własnej rodziny wspierającej się na monstrualnym nepotyzmie protektora. Kiedy Paweł III zmarł po 15 latach pontyfikatu w wieku 81 lat, kochanka żyła zabezpieczona, nim odeszła z tego świata po osiemdziesiątce (1561).

Ich związek, zarazem nepotyzm papieża, doczekał się w Watykanie bezprecedenso-

wego upamiętnienia. W apsydzie bazyliki św. Piotra wznosi się grobowiec Pawła III. Pierwotnie flankowały go cztery nagie kobiece postacie. Wszystkie w wyzywających pozach. Niecodzienny kobiecy kwartet tworzyły: matka papieża Giovannella, piękna siostra Giulia, kochanka Silvia i córka Constanza. Jako alegorie reprezentowały kolejno: pokój, rozsądek, sprawiedliwość i abundandia (dostatek).

Zwłaszcza rzeźba Giulii prowokowała tak wielkim erotyzmem, że oglądający go mężczyźni czuli się jak przy kontemplowaniu pornografii. Następca Pawła III na Piotrowym Tronie nakazał wyuzdaną postać pokryć ołowianą tuniką. W późniejszym czasie dwie ostatnie rzeźby z papieskiego grobowca przeniesiono do Palazzo Farnese. Ale postać siostry, której alkowa okazała się trampoliną dla dalszej kariery brata, i matki do dziś zdobią monumentalny grobowiec. Aż zbędne, by o tym pisać – niedostępny dla turystów. I rzecz jasna, dla pobożnych pątników. ●



Kryminalna historia Watykanu

Arkadiusz Stempin, Artur Nowak
Wydawnictwo Agora

REKLAMA

Kraj/34352012

Islam Issa

Aleksandria

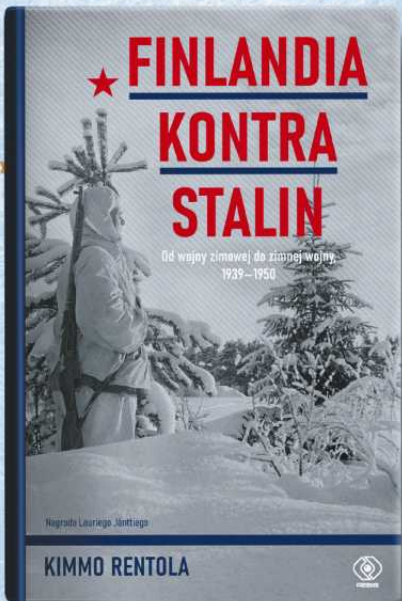
Miasto, które zmieniło świat

Aleksandria

Islam Issa



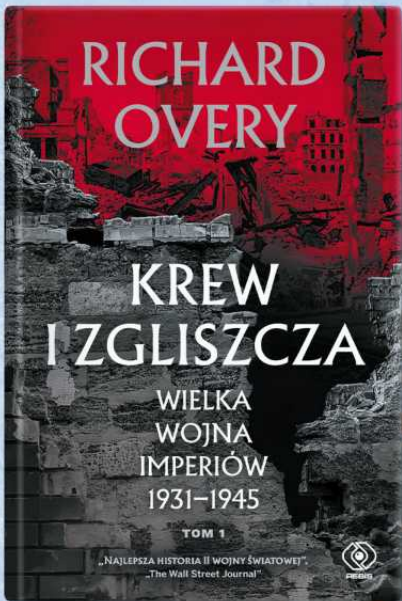
HISTORIA W NAJLEPSZYM WYDANIU



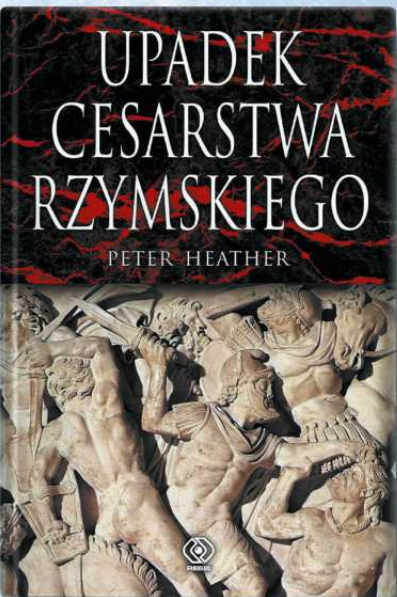
Przełomowa praca o stosunkach radziecko-fińskich 1939-1950



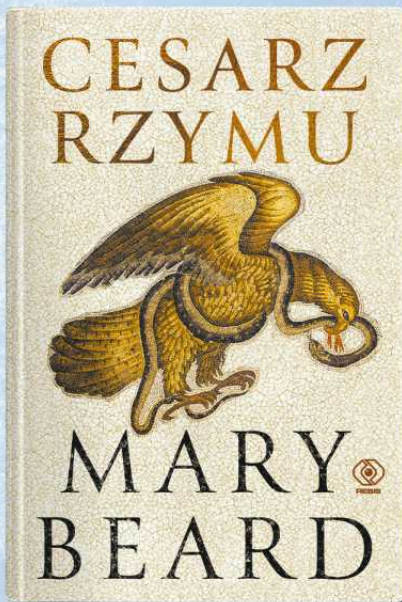
100 lat konfliktu z Palestyńczykami



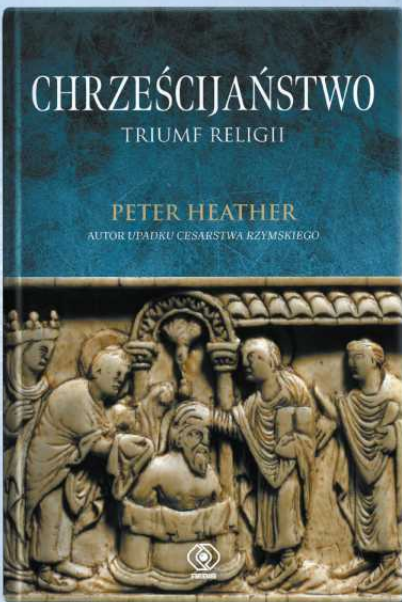
„Wielka wojna imperiów” w błyskotliwej książce jednego z najsłynniejszych historyków drugiej wojny światowej



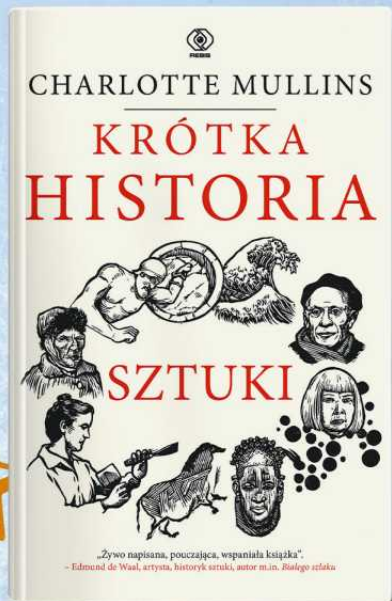
Dramatyczna historia cesarstwa rzymskiego: kolosa, który padł pod naporem barbarzyńców



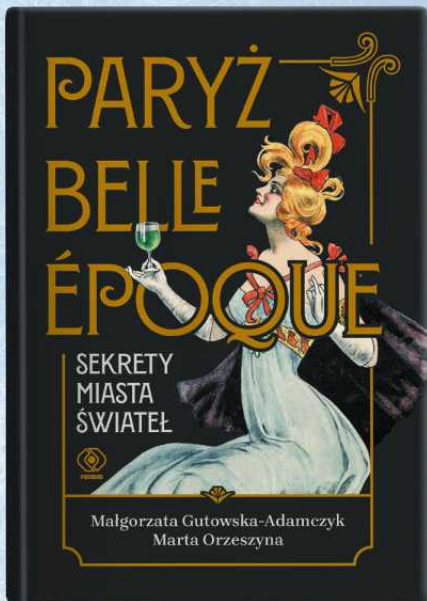
Nowe spojrzenie na cesarstwo rzymskie



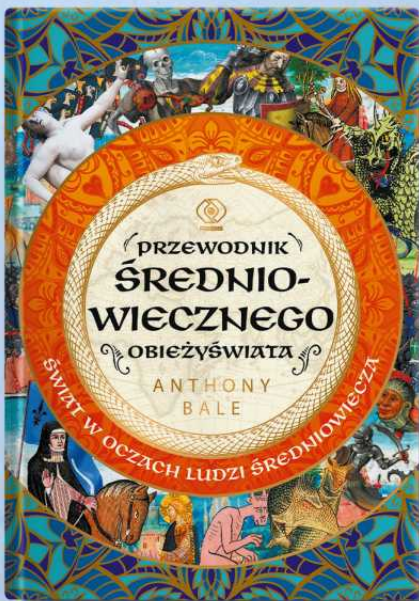
Wciągająca historia pierwszego tysiąca lat chrześcijaństwa



Inspirująca podróż w czasie obejmująca tysiące lat ludzkiej kreatywności i setki dzieł sztuki



Porywająca podróż w czasie do Paryża belle époque, światowej stolicy sztuki i miłości



Oszłamiająca wyprawa przez średniowieczny świat widziany oczami ówczesnych podróżników



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



[FB/DWREBIS](https://www.facebook.com/DWREBIS)



Dehli. Bogaty i potężny biznesmen, Yashvardhan “Yash” Raichand żyje według twardych, tradycyjnych zasad. W rodzinie wszystko zależy od niego – głowy rodu, dzieci też mają działać według utartego schematu: studia na prestiżowej, angielskiej uczelni i ożenek koniecznie z kimś o podobnym statusie ekonomicznym. Żadnych mezaliansów!

Dlatego starszy z jego synów, Rahul, adoptowany w młodym wieku przez Yasha i jego żonę, Nandini, po powrocie ze studiów w Londynie ma poślubić Nainę, przyjaciółkę z dzieciństwa, i oczywiście osobę z odpowiedniego towarzystwa. Traf chce, że spotyka Anjali, w której się zakochuje, ale która żadną miarą nie spełnia surowych wymagań Yasha dotyczącej przyszłej synowej. Rzecz jasna zgody na ożenek nie ma, a Rahul, posłuszny nakazom ojca, obiecuje zerwać z Anjali, ale kiedy ukochanej umiera ojciec, osieracając ją i jej młodszą siostrę Pooję, spontanicznie żeni się z oblubienicą, chcąc dać jej opiekę.

Yash jest wściekły. Kiedy Rahul przyprowadza Anjali do domu, wyrzeka się syna, brutalnie przypominając mu, że jest adoptowany. Rahul porzuca rodzinę i kraj i wyjeżdża do Anglii.

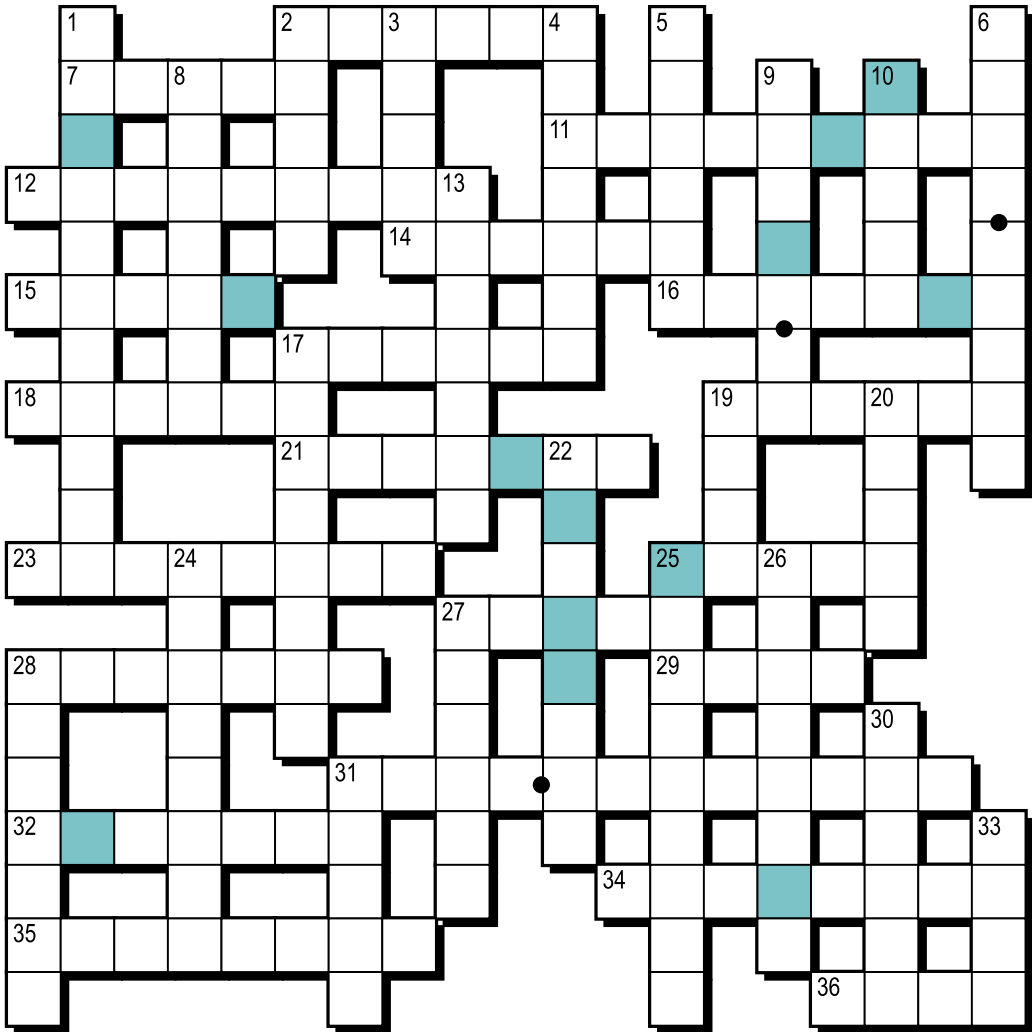
Po latach młodszy brat Rahula, Rohan poznaje prawdę o tych dramatycznych wydarzeniach. Postanawia odnaleźć Rahula i ponownie zjednoczyć rozbity rodzinę. W Londynie odnajduje nie tylko Rahula i Anjali, ale także jej młodszą siostrę, z którą kiedyś się przyjaźnił...

Film „Kabhi Khushi Kabhie Gham...”, czyli dosłownie „Czasem szczęście, czasem smutek”, znany u nas jako „Czasem słońce, czasem deszcz” był w momencie premiery, w 2001 roku, najdroższym produktem Bollywood. Kosztował 400 mln rupii (około 5-6 mln dol.), ale zarobił sześć razy tyle. Widzowie na całym świecie pokochali splecione losy rodu Raichandów i kibicowali młodemu Rahulowi w jego „pokoju misji” i oczywiście nucili przebojowe „Say Shava Shava”.

W „Czasem słońce, czasem deszcz” spotkały się dwie ikony bollywoodzkiego kina, czyli Shah Rukh Khan - zwany „Królem Khanem”, który ma na koncie ponad sto filmowych ról i Amitabh Bachchan – ten ma ekranowych wcieleni jeszcze więcej, bo ponad 200, a zwany jest po prostu „Najwspanialszym aktorem stulecia”. Ale największe oklaski zebrała inna gwiazda indyjskiej kinematografii, Kajol, która wcieliła się w Anjali. Taki zestaw gwarantował gigantyczny sukces.

Dzisiaj mijają 23 lata od premiery „Czasem słońce, czasem deszcz”. I dlatego „Weekendówkę” poświęcamy Indiom. Pretekst to chyba najlepszy z możliwych.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 132 z 7.12:

Poziomo: 4) Srebrempisany, 9) sklep, 11) Alceest, 13) Nick, Cave, 14) jezioro, 16) kupiec, 18) Smoleń, 19) Mazury, 21) Sarkoży, 22) przypadki, 24) Nagłowice, 29) Rymski-Korsakow, 31) elfy, 32) pudełko, 33) prezent, 34) okazje, 35) Dziadek, Mróz.

Pionowo: 1) Krasicki, 2) Tesla, 3) list, 5) biskup, 6) Szarzyński, 7) Nicholas, Sparks, 8) renifery, 10) Rej, 12) siostra, 15) Gogol, 17) córka, 19) Myra, 20) Ży, Mikołaj, 23) kermasze, 25) wieczór, 26) edykt, 27) figurki, 28) aktor, 30) worek.

HASŁO:
SANTA KLAUS

KRZYŻÓWKA INDYJSKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) czasem słońce, czasem on (nie tylko na ekranie)
- 7) pieniądze, którymi płaci się w Indiach
- 11) indyjski przemysł filmowy
- 12) powieść Gregory’ego Davida
- 14) wedyjska modlitwa albo hymn
- 15) tytuł indyjskiego władcy
- 16) zły los, bieda, którą cierpią setki milionów Hindusów
- 17) Mukesh, hinduski przedsiębiorca w czołówce najbogatszych ludzi świata
- 18) zawój na głowie Hindusa
- 19) Kalkuta, Puna, Waranasi, Dżajpur...

- 21) 105-karatowy Koh-i-noor pochodzący z Indii
- 23) przyprawa do wódek, likierów, ciast
- 25) zamknięta grupa społeczna ciesząca się przywilejami
- 27) święta ..., zwierzę nietykane
- 28) nazwisko autora „Księgi dżungli”
- 29) tytuł hinduskiej księżniczki
- 31) aktor – ikona Bollywoodu
- 32) ... indyjski, figura o bokach równych 13, 14 i 15
- 34) w całych Indiach oszałamia swym pięknem
- 35) poemat epicki sprzed dwóch mileniów, najpopularniejszy utwór literatury indyjskiej
- 36) małżonka boga Siwy, zwana m.in. pod imionami Durga, Parwati

Pionowo:

- 1) wielka rzeka płynąca przez Tybet, Indie i Bangladesz
- 2) rozległa wyżyna na Półwyspie Indyjskim
- 3) ... indyjski, roślina, której nasiona stosuje się do wyrobu chałwy
- 4) cenne pozostałości minionych epok, takie jak np. Brama Indii i Czerwony Fort w Delhi
- 5) czynny – na indyjskiej wyspie Barren
- 6) mauzoleum w Agrze
- 8) stan w pn.-zach. Indiach, przy granicy z Pakistanem
- 9) powieść Yanna Martela; jej bohater jest synem właściciela zoo w Indiach
- 10) ... Indii, cztery lwy na postumencie
- 13) tytuł Gandhiego
- 17) Nikobary i ...
- 19) ... indyjska, z ciecierzycy, do wypieku placek, chlebików

- 20) dawny żołnierz indyjski w służbie armii europejskiej (z liter czasownika „spija”)
- 22) ... i Andamany
- 24) mieszkanka indyjskiej metropolii
- 25) system górski w Azji Środkowej, a także przelęcz na granicy Indii i Chin
- 26) jeden z konstytucyjnych języków Indii
- 27) Park Narodowy Doliny ..., u podnóża Nanda Devi – najwyższego szczytu Indii (wpisujemy w mianownik)
- 28) języki i ... Indii, obiekt zainteresowań indologów
- 30) Rabindranath, poeta, prozaik i filozof, laureat Literackiej Nagrody Nobla
- 31) Madras, Asam, Bengal Zachodni...
- 33) w hinduizmie: bogini chroniąca przed demonami

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Roczna prenumerata

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Doskonały prezent pod choinkę

ZAMÓW NA [PRENUMERATA24.PL](https://prenumerata24.pl)

Kraj/34310976